MAGAZYN O KSIĄŻKACH

DAJĘ SŁOWO

www.czasopismodajeslowo.pl
NR 1 | STYCZEŃ-MARZEC 2023

SAMOWYDAWCY
najprężniej rozwijająca się gałąź wydawnicza w Polsce!
M. Litwinow i M. Rogalski

WYWIADY
D.B. Foryś
i jej pierwszy raz

Franciszek M. Piątkowski
o powstaniu Uniwersum Powiernika

Opowiadanie patchworkowe!
Zdecyduj, kto napisze ciąg dalszy

Najnowsza powieść
Agaty Kasiak
w rozdziałach

Roast
Leszka Bigosa i Marcina Halskiego

WYWIADY | OPOWIADANIA | RECENZJE

Spis słów

Słowa numeru

6 **Samowydawcy** najprężniej rozwijająca się gałąź wydawnicza w Polsce

25 **Zbyt długa zima** patchworkowe opowiadnie

28 **Wywiad** z D.B. Foryś

35 **Olcha z Wilczej Doliny** Agata Kasiak, powieść we fragmentach

66 **Roast** Bigos vs. Halski

77 **Wywiad** z Franciszkiem M. Piątkowskim

Słowo osobiste

13 Odezwa do początkujących autorów

15 Debiut literacki jak randka

85 #czytambolubię

150 Psychofanka na targach książki

Słownik autorów

23 Chcesz sam(a) wydać książkę?

129 Pokochaj redaktora

132 Prawa autorskie

ADRES REDAKCJI
Ul. Magnoliowa 10,
55-020 Szukalice

tel. 696071318
redakcja.dajeslowo@gmail.com

REDAKTOR NACZELNY
Mateusz Rogalski

ZASTĘPCZYNI REDAKTORA NACZELNEGO
Monika Litwinow

ZESPÓŁ
Izabela Redesiuk
Anna Strzelczyk-Cichosz
Janusz Muzyczyszyn

SAMOWYDAWCY.pl

Wysłowione

91 Fengo

111 16:07, początek lata

Dosłownie

82 Czerwony Kapturek dla dorosłych

88 Magiczna niepełnosprawność

108 Szkoła, nauczyciel i... voodoo

121 HALT! Nowy początek

125 Za górami, *Za lasami*, za siedmioma dolinami...

Odmierzone słowami

138 *Jamaica – no problem!*

Słowa dobrane

141 *Krok do przodu*

142 *Światło*

144 *Przystanek*

146 *Olej na płótnie*

Gra słów

17 Początek

Schwytani za słowo

59 Kij w mrowisko
rozmowa z Izą w Krainie Słowa

Innymi słowy

148 Wydarzenia polonijne

PROJEKT OKŁADKI, SKŁAD
D.B. Foryś

REDAKCJA I KOREKTA
Jagoda Biszkont
Katarzyna Mróz-Jaskuła
Alicja Szalska-Radomska

GRAFIKA
Klaudia Sypniewska

PRENUMERATA www.czasopismodajeslowo.pl

Zapomniana moc słowa

Potraficie sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz *daliście komuś słowo*? Wierzcie mi na słowo, że żadna z Waszych odpowiedzi na to pytanie nie zaskoczy mnie tak, jak zrobił to czternastoletni uczestnik mojego spotkania autorskiego, który zapytał: „A co to w ogóle znaczy?".

Były czasy, gdy słowo było cenniejsze od złota, a za złamanie *danego słowa*, odbierano sobie życie, bądź też było ono odbierane, ale to już zależało od tego, komu się to słowo ofiarowało. I nie trzeba sięgać do samego początku, kiedy wszystko było *tylko słowem*.

Więc, co się zmieniło? Droga ludzkości: co poszło nie tak?

Obecnie możemy mówić, a zwłaszcza pisać, co chcemy, gdzie chcemy i jak chcemy. **Na prawdę przez ostatni okres czasu po dzień dzisiejszy człowieki postanowiły że napewno nie chcą wziąść odpowiedzialności za swoje słowa**[1].

Dlaczego? Może wiedzą, że już nikt ich nie słucha. A nie słucha, bo mówią coraz mniej istotne rzeczy, które słuchania bądź czytania warte nie są. Zamiast tego lepiej się w coś pogapić, „odmóżdżyć", i o zgrozo, odmóżdżamy się coraz bardziej.

A zatem, po co to całe zamieszanie? Komu potrzebne jest kolejne, nadęte, megalomańskie i zadufane w przedstawianej przez siebie opinii (jedynej i słusznej oczywiście) czasopismo? Ano nikomu!

Na przekór tej opinii, wraz z grupą samozwańczych redaktorów postanowiliśmy, że przywrócimy słowu moc. Wspólnymi siłami z pomocą niezależnych i kreatywnych autorek i autorów będziemy nieść kaganek literackiej oświaty pod strzechy – cóż za piękna parafraza wielu fraz.

Przekazujemy w Wasze ręce pierwszy numer e-czasopisma Daję Słowo wraz z dodatkiem Daję Słówko. Mało tego, co kwartał otrzymacie od nas pakiet niezapomnianych doznań okołoliterackich – to Wam gwarantujemy.

---

[1] To zdanie zawiera aż sześć, nie licząc interpunkcji, błędów najczęściej popełnianych w Internecie – znajdź je wszystkie.

Zamierzamy na nowo przywrócić w „człowiekach”, zwłaszcza tych młodszych, zainteresowanie słowem pisanym. A najważniejsze, że nasze plany nie spoczną jedynie na czczym gadaniu. O, nie! My zamierzamy obrócić nasze słowa w czyny!

Zaprezentujemy Wam literackie *roasty* oraz *patchworkowe* opowiadania. Poprzez nietuzinkowe wywiady zapoznamy Was z wyjątkowymi autorami, a prawdziwymi recenzjami przestrzeżemy lub zachęcimy do przeczytania książek, które są warte poświęcenia im Waszej czytelniczej uwagi. Błyskotliwi felietoniści przedstawią Wam niejeden literacki galimatias, a także weźmiecie udział w wielu cyklicznych projektach powieściowych, zarówno tradycyjnych, jak i komiksowych.

Jednym słowem, zrobimy wszystko, aby zachęcić Was do czytania!

I już na sam koniec, „Daję Słowo” oraz „Daję Słówko”, że to dopiero początek...

Redaktor Naczelny
Mateusz R.M. Rogalski

PSAN SAMOWYDAWCY
Polskie Stowarzyszenie Autorów Niezależnych

Samowydawcy

Najlepiej rozwijająca się gałąź wydawnicza w Polsce

Monika Litwinow
Mateusz R.M. Rogalski

Zamknij oczy i wyobraź sobie swoją ulubioną książkę. Powieść, tomik wierszy, bajkę, wszystko jedno. Myślisz o tytule, autorze, historii, skojarzeniach i okładce. Być może wspominasz osobę, która ją poleciła, a może ekranizację. Ktoś napisał ją specjalnie dla Ciebie, niczym list. Jeżeli jest to książka opublikowana przez samowydawcę, masz pewność, że to list bardzo osobisty. Historia nie tylko zredagowana na brudno, ale również przepisana na ulubionej papeterii, w najpiękniejszej kopercie, opatrzona wyjątkowym, szczególnym znaczkiem i wysłana z największą starannością, priorytetem, poleconym i z ubezpieczeniem.

Self-publishing może się wydawać nowym trendem na rynku wydawniczym, tymczasem współczesny samowydawca idzie w ślady takich autorów jak Jane Austin, Mark Twain, Edgar Allan Poe, Emily Dickinson czy Marcel Proust.

Niewątpliwie o self-książkach mówi się coraz głośniej i tak jak na początku oddzielono światło od mroku, tak i tu należy rozdzielić self-publishing od powieści publikowanych z tzw. wydawnictwami vanity. Vanity działają bowiem na odwrotnych zasadach. W tej formie, to autor płaci za możliwość wyjścia swojego dzieła do czytelników bądź partycypuje w kosztach z tym związanymi – jeden czort. Firmy te co prawda zobowiązują się zadbać o jakość wypuszczanej wspólnie publikacji, ale zazwyczaj świadczone przez nie usługi pozostawiają wiele do życzenia. Nie ma się czemu dziwić. Przecież autor już zapłacił oficynie, zatem nie zależy jej na sprzedaży produktu wysokiej jakości.

Samowydanie to jedyna forma dająca autorowi możliwość decydowania o wszystkim. Dosłownie o wszystkim. Sam wybiera osoby, z którymi chce współpracować nad redakcją, korektą, składem, okładką itp. Bierze na

siebie pełną odpowiedzialność za książkę, gdyż ta, idąc w świat do czytelników, staje się jego ambasadorem. Wszak to ona szerzy słowo autora, a sygnowana jest jego nazwiskiem.

Idea założenia społeczności Samowydawców wykiełkowała w wyobraźni Mateusza Rogalskiego w marcu 2021 roku. Zrodziła się z potrzeby. Na samym początku powołał do życia księgarnię internetową Samowydawcy.pl. Jej głównym zadaniem było umożliwienie czytelnikom nabycia w jednym miejscu książek wielu niezależnych autorów. Do tej pory każdy z pisarzy miał własną stronę, gdzie zakup nie zawsze był atrakcyjny ze względu na stale rosnące koszty wysyłki. Następnie powstała grupa w social mediach, która w niespełna półtora roku zrzeszyła ponad osiemdziesiąt pisarek i pisarzy. Wszyscy oni samodzielnie przecierali szlaki na polskim rynku wydawniczym. Zdobyte w ten sposób indywidualne doświadczenia sprawiły, że społeczność ta stała się skarbnicą wiedzy i przestrzenią wymiany doświadczeń. Otwartość i życzliwość jej członków umożliwiają swobodne buszowanie w tej obfitości każdemu początkującemu twórcy, który zdecyduje się do niej dołączyć. Z pewnością pomoże ustrzec się przed wieloma błędami czyhającymi na debiutującego Samowydawcę.

Najważniejszym plusem samowydania, wielokrotnie podkreślanym przez autorów, jest całkowita swoboda w procesie tworzenia książki oraz treści, jaką zawiera. W tym scenariuszu nikt nikomu nie nakaże skrócenia dzieła, wycięcia niepopularnego wątku bądź przyjęcia niechcianego (choć w modnej stylizacji) projektu okładki. Self-publisher ma pełną kontrolę na każdym etapie realizowania swego wydawniczego marzenia. Oczywiście wszystko ma swoją cenę, nie tylko w kontekście kosztów inwestycji, jaką jest książka, choć i te do najmniejszych nie należą. Najbardziej deficytowym towarem okazuje się czas. Zostając Samowydawcą, autor bierze na swoje barki kolejną, pełnoetatową pracę. Od tej pory będzie odpowiedzialny za promocję i sprzedaż. Niezależnie od chęci, będzie zobowiązany do założenia sobie kont we wszelkich możliwych mediach społecznościowych i nauczenia się ich obsługiwania. Do jego nowych obowiązków należeć będzie wymyślenie oraz

zlecenie produkcji gadżetów wspomagających sprzedaż. Stanie się swoim menagerem, organizatorem spotkań autorskich i promotorem na wszelkich targach literackich. W konsekwencji poświęci rodzinne weekendy na rzecz uczestnictwa w branżowych imprezach, zwiększając swą rozpoznawalność. Jak mawia Mateusz Rogalski: bycie Samowydawcą to ciężki kawałek chleba, ale jest to najlepsza pajda, jaką w życiu jadł.

Potwierdza to zaobserwowane w grupie zjawisko przejścia poczytnych i wydawanych w tradycyjnym modelu autorów na self-publishingową stronę mocy. Bywa również, że pisarz po kilku samodzielnie zrealizowanych projektach puka do drzwi wielkich oficyn, podpisuje umowę na jedną książkę (niekiedy nawet serię), po czym rezygnuje ze współpracy. Jako autor własnej historii przeredagowuje ją, ale najczęściej wraca do pierwotnego zamysłu. Zupełnie, jakby odarcie procesu twórczego z pracy wydawniczej przestało wystarczać. Wszak nie samym pisaniem Samowydawca żyje. Oczywiście, wydłuża to proces materializowania się książki do jej fizycznej formy. Pisarz ma mniej czasu na snucie kolejnych opowieści, a dodatkowo musi nabyć nowe umiejętności, w tym odporność na opinie nieprzychylne self-publishingowi.

Ścieżka dla osób bez talentu. Alternatywa po odrzuceniu propozycji wydawnictw. Łechtanie własnego ego. Pchanie się na siłę na rynek literacki. Słaba jakość treści, redakcji, grafomaństwo, historie bez polotu. Pomysł zarezerwowany dla influencerów i gigantów znanych marek. Frazesy te, wypowiadane przez pseudoznawców literatury obecnie stały się stereotypami, którym Samowydawcy skutecznie się przeciwstawili. Wszystko to za sprawą wspólnego dbania o wysoką jakość swych książek. Wystarczy również przebrnąć przez mitomański muł i zwrócić uwagę na inne formy sztuki niezależnej, takie jak kino, teatr czy muzyka. Te sposoby artystycznej i samodzielnej ekspresji cieszą się popularnością i pochwałą społeczną. Tworzą je silni, ambitni artyści, którzy z niezachwianą wiarą we własne dzieła walczą o swoje. Niezależni i odważni, wspinający się ponad mainstreamowe korporacje. Dysonans narracji zaskakuje, ale wyzwala w pisarzach potrzebne siły do tego, aby swoimi książkami pokazać, że nieprzychylne

traktowanie self-publisherów to relikt przeszłości.

Samodzielny wydawca zapewne może żałować różnych decyzji podjętych jako debiutant. Zastanawia się, czy powinien wybrać inną gramaturę papieru lub termin premiery książki. Zrewiduje pracę kontrahentów, oceni podjęte przez siebie działania marketingowe. Zdobędzie doświadczenie i praktykę, umożliwiające mu wyciągnięcie odpowiednich wniosków. Jednakże jest coś, czego z pewnością nie pożałuje nigdy, a czego nie zagwarantuje mu inny system publikowania, a mianowicie żywotności swojego dzieła na rynku. Wśród reprezentantów branży wydawniczej panuje przykry pogląd, że życie książki to zaledwie miesiąc. Później znika z półek popularnych księgarni, kończą się recenzje, nikt nie stawia hasztagu z tytułem. Musi ustąpić miejsca kolejnym nowościom. Tymczasem aktywny samowydawca obraca ów pogląd w perzynę i cieszy się sprzedażą, która z każdym miesiącem rośnie i zyskuje na popularności. Kolejna nowa pozycja wręcz podbija atrakcyjność tych poprzednich, umacniając pozycję na literackim rynku.

Tak jak wspomnieliśmy na samym początku, zrzeszenie autorów niezależnych pod szyldem *Samowydawcy* powstało w marcu 2021 roku. Od tego czasu do Mateusza Rogalskiego i kilku zapalonych wizjonerów dołączyło ponad osiemdziesięciu przepełnionych pasją i chęcią tworzenia pisarzy. Kilka książek udostępnionych na witrynie Samowydawcy.pl rozmnożyło się do kilkuset. Pod oficjalnym szyldem zadebiutowaliśmy na Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie w październiku 2021 roku. W tym roku kalendarz samowydawców wypełniony jest wystąpieniami na kilkudziesięciu targach, festiwalach, konwentach, spotkaniach autorskich, wydarzeniach związanych z szeroko pojętą sztuką i nie tylko. Piszemy „wystąpieniami", gdyż wszystkie te imprezy staramy się wesprzeć swoimi prelekcjami, spotkaniami i panelami dyskusyjnymi na tematy wszelakie. Do naszego grona należą pisarze większości gatunków literackich publikowanych w Polsce, a są i tacy, którzy wprowadzają nowe na nasz rodzimy rynek, dlatego też możemy pochwalić się różnorodnością proponowanych przez nas prezentacji.

Jako społeczność samowydawców rozwijamy się dynamicznie i nie rozglądamy się na inne strony.

Podczas majowych Warszawskich Targów Książki w Pałacu Kultury i Nauki rozdaliśmy pierwsze nagrody dla Najpoczytniejszego Samowydawcy (Franciszek M. Piątkowski) i Najpoczytniejszej Nowości (*Przepowiednia* – Izabeli Redesiuk) w 2021 roku. W ostatnich tygodniach założyliśmy stowarzyszenie, które pozwoli na większą skalę szerzyć przyświecające nam hasło: *Samowydawcy* – wyjątkowe książki od niezależnych autorów.

Na potwierdzenie naszych słów poprosiliśmy zaledwie kilku selfpublisherów o odpowiedź na pytanie, dlaczego wybrali tę drogę wydawniczą. Oto kilka z nich.

Po pierwsze, jestem control freakiem: lubię, kiedy efekt jest zgodny z moją wizją, a żeby tak się stało, muszę pilnować całego procesu osobiście. Po drugie, byłem głęboko przekonany, że żaden wydawca nie zapewni takiej opieki debiutantowi, jaką ja sam sobie zapewnię.I po trzecie, najważniejsze: pasjonuje mnie nie tylko pisanie, ale storytelling w ogóle.

Leszek Bigos (**Wkurzony Pisarz**), autor thrillera *Kastrator*, dark fantasy *Smoczy szlak: wejście* i poematu fantasy *Zjadacz skór: księgi 1-3*.

Samowydanie to czasem jedyna droga dla takich uparciuchów jak ja. Dzięki temu mogę zrealizować wszystkie swoje szalone i ryzykowne pomysły, przy których inni pukają się w głowę.

Anna S. Cichosz, *Ziemia Winowajców*

Dla mnie samowydawnictwo to forma literackiej wolności. Nie ma lepszego uczucia w procesie wydawniczym od świadomości, że w pełni panujesz nad ostatecznych kształtem własnego dzieła literackiego.

Maks Dieter, *Strażnik Piekła*

Pisanie książki to dla mnie bardzo ważny etap w życiu. Gdy dowiadywałam się, jak mocno ingerować w moją pracę może wydawnictwo i jak mało mogę mieć w tym wszystkim do powiedzenia, powiedziałam: NIE. Mam swoją wizję i jako samowydawca realizuję ją dokładnie tak, jak chcę.

Nathalie K. Flower, *Jeszcze raz*

Jako samowydający się autor miałem realny wpływ na każdy krok w procesie wydawniczym. Koordynowałem całość prac i nic nie zadziało się bez mojej wiedzy i zgody. Dzięki temu mam absolutne poczucie, że każdy detal w Magią i odwagą *gra ze sobą jako całość: od treści, jakości papieru, czcionki po styl okładki! W moim przypadku wydanie książki było również realizacją dawnego, dziecięcego marzenia. Dlatego chciałem, żeby każdy element był maksymalnie dopieszczony i w ostatecznym kształcie taki, jaki mi odpowiada i pasuje do ogólnej koncepcji.*

Mateusz Kasprzyk, *Magią i odwagą*

Zdecydowałem się na samowydawnictwo, ponieważ chciałem mieć ostateczną decyzję dotyczącą treści i wyglądu książki. Chcę też mieć wolność w sposobach jej sprzedaży i podejmować samodzielne, niezależne decyzje, których nie muszę z nikim konsultować odnośnie do sposobów promocji i uczestnictwa w wydarzeniach, np. targach.

Marek Łasisz, *Wyspa Wielkanocna. Podróż na koniec świata*

W moim przypadku na decyzję wpłynęła ilość detali i zdjęć. Wiedziałem, że duże wydawnictwo nie poświęci wielu godzin na dopieszczenie książki początkującego autora, a bardzo zależało mi, żeby treść, zdjęcia, no i uzupełniające książkę filmy, dobrze komponowały się ze sobą. Nad książką pracowaliśmy z Magdą rok, ale włożona praca i czas są w pełni wynagrodzone, kiedy widzimy błysk w oku czytelnika, który pierwszy raz bierze ją do rąk.

Mariusz Łapiński, *Jak nie dać się zjeść Australii*, *Zwrotnik Dzioborożca*

Dlaczego zdecydowałam się na samowydawnictwo? Głównie dlatego, że taką formę publikacji polecił mi mój komiksowy nauczyciel i mentor, przede wszystkich z powodów finansowych. Z czasem zaczęłam doceniać niezależność i kontrolę nad własną twórczością, jakie daje selfpublishing.

Paulina Matyńka, *Literary Detectives*

Zdecydowałem się na samowydawanie z uwagi na to, że selfpublishing zapewnia pełną kontrolę nad procesem wydawniczym, wolność wyboru rozwiązań, które uważam za najlepsze dla moich książek i mojej twórczości w ogóle, a przede wszystkim dla radości tworzenia od pierwszego słowa powieści, do wręczenia książki czytelnikowi. To trudna, ale dająca ogrom satysfakcji przygoda, od której nie jestem w stanie już się oderwać.

Franciszek Piątkowski, *Uniwersum Powiernika*

Monika Litwinow – kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści kryminalnych *Za lasami* i *W gaju*.

Mateusz R.M. Rogalski – prawie podróżnik, prawie pisarz, autor powieści fantasy z cyklu *Obrońcy Ahury*.

Odezwa do początkujących autorów

Renata Suchodolska

Gdyby książka była dzieckiem, to moje, po porodzie, zostałoby pozostawione bez opieki przez dziesięć lat. Gdyby dziecko było książką, to dałoby się je wepchnąć do szuflady i o nim zapomnieć. Wcisnąć pod kartki, karteczki, długopisy w oczekiwaniu aż jego matka do niego dojrzeje. Ale nie jest. Dziecko – na szczęście! – nie jest książką i, w przeciwieństwie do niej, od momentu wydania na świat nie można o nim w żaden sposób zapomnieć. Domaga się jedzenia, uwagi, bliskości, czystej pieluchy. A wszystko to za pomocą dosadnego i jakże skutecznego sposobu: płaczu. Ach, gdybyż tak książki potrafiły płakać!

Może tym płaczem obudziłyby sumienie swych niefrasobliwych rodziców, autorów bez wiary, którzy pozostawiają je na pastwę losu w przepastnych szufladach swoich biurek?

Tak to sobie wyobrażam: śpię. Ja – matka książki. Śpię i pewnie śnię. Może nawet o sukcesie wydawniczym... Nagle w meandry snu wślizguje się cichy dźwięk. Zrazu bezkształtny, niewyraźny, ledwie przeczuwalny. Z czasem coraz bardziej rozpoznawalny, coraz bardziej uchwytny. To kwilenie. Kwilenie? Nawet we śnie wiem, że moje dziecko jest już nastolatkiem. Nie kwili. Poza tym, odgłos nie dochodzi z pokoju dziecięcego, a z mojego studio. Po chwili staje się jasne: nieukojone popiskiwanie wydobywa się z szuflady biurka. Może niechcący zamknęłam w niej kota, który niemożebnie ściśnięty ostatkami sił błaga o ratunek? Tak, to na pewno kot. O matko! Ukatrupiłam kota! Zrywam się z łóżka i pędzę na górę. Stuk-puk. Zamknięto... Spoglądam przez dziurę... całe biurko w wodzie, a książka płacząca siedzi na komodzie. „Cóż pani czynisz?" –

pytam rozpaczliwie. „Daj żyć, autorko" – odpowiada tkliwie.

W tym momencie snu we śnie autor doznaje olśnienia: książki pisze się po to, by je wydawać, by je czytano, a nie do szuflady. Ta banalna iluminacja nim wstrząsa. Tak, w zasadzie wiedział o tym, już kiedy zasiadał do pisania, ale – gdy wreszcie dzieło było gotowe – nie miał odwagi podjąć się wychowania swojego literackiego dziecka. A przecież poród to dopiero początek...

Gdyby książka była dzieckiem, to po jej napisaniu autor zacząłby ją wychowywać. Miałby wybór: albo oddać ją do szkoły z internatem – czyli do wydawnictwa, albo zająć się nią samemu – czyli skusić na selfpublishing. Każda z dróg, z innych powodów, wymaga ogromu samozaparcia. Każda z nich może przynieść – w inny sposób – satysfakcję. Lecz, o ile pierwsza zakłada akceptację „dzieła" przez „obcego", drugie rozwiązanie daje autorowi kompletną wolność powiązaną nierozerwalnie z... odpowiedzialnością. Nie będzie kogo obwiniać za niepowodzenie, nie będzie komu wyrzucać opieszałości. Autor sam będzie musiał swą książkę karmić spotkaniami z czytelnikami, wywiadami, wzmiankami w telewizji i gazetach, reklamami na Facebooku, postami w social mediach. Sam będzie musiał sobie „załatwić i zapłacić". Ale też sam będzie zbierał żniwo swych działań. Jeśli zacznie się o książkę troszczyć i zabiegać jak o dziecko, każdemu się nią chwalić – to wszak naturalne, dumny rodzic ma do tego prawo! – to jego książka zmężnieje, wyrośnie. Aż pójdzie w świat. Jak to z dziećmi bywa... Po drodze prawdopodobnie autor spłodzi więcej potomstwa – wiadomo: jedynakowi w życiu trudniej, a rodzeństwo się nawzajem wspiera.

Tak więc, autorze, niespełniony, niepewny, niedorosły literacie: odwagi! Napisałeś książkę? Wydaj ją! Jak? Zapytaj samowydawców.

Renata Suchodolska – muzyk, przewodnik turystyczny, pisarz. Matka i żona. Autorka debiutanckiej książki *O Matko*.

Debiut literacki jak randka

Andrea Smolarz

Na wstępie wytłumaczę się z nazwy kolumny. „Zażółć gęślą jaźń” to tekst, który graficy i projektanci książkowi wykorzystują, aby sprawdzić, jak wyglądają litery z polskimi znakami w danym kroju pisma. Jest to więc takie wyłuskanie najlepszych możliwości polszczyzny, wyciśnięcie z niej esencji. Chciałabym więc w tej kolumnie „wyżymać” konkrety na temat literatury i pisarstwa. Teksty będą krótkie, rzeczowe i subiektywne.

A teraz do sedna. Tematem tego numeru są początki, więc będzie o... debiutach literackich. To wyjątkowy moment w życiu pisarza, bo zdarza się tylko raz. Jak prawdziwa miłość – rzekliby niektórzy. Inni by polemizowali. Fakt faktem – jest to chwila, w której można czytelnika albo zauroczyć, albo zniechęcić. Dlatego pokusiłam się o porównanie debiutu do randki. Trzeba się dobrze przygotować – i nie chodzi tylko o właściwe zaprezentowanie swojej książki, ale również siebie jako autora. Wartość obu tych aspektów – nawet jeżeli będą one ładnie opakowane i powstanie wokół nich odpowiedni szum – szybko zostanie zweryfikowana, gdy zajrzy się do środka.

Udany debiut literacki jest jak udana randka – daje energię, nadzieję na więcej. Już planujesz w głowie następne książki. Już nie możesz się doczekać, kiedy znów się spotkacie. Z czytelnikami. A jeżeli jeszcze do tego dochodzą nagrody literackie, to... panie! Taki autor otoczony laurem dla najlepszego debiutu to najlepsza partia w mieście!

Pytanie, czy od razu obnażymy przed odbiorcami wszystkie nasze literackie zalety, czy może zdecydujemy się stopniować napięcie i trzymać ich lekko na dystans. Musicie to sami rozważyć, ale podpowiem: w obu tych przypadkach można popaść w skrajności. Niestety widzę zbyt wiele autorek (nomen omen) romansów, które wypuszczają jedna po drugiej kolejne książki z powtarzającymi się schematami. Jeśli chcielibyście teraz powiedzieć: ale

„mnie się podobają melodie, które już raz słyszałem[1]", to odbijam piłeczkę. One szybko się nudzą.

Z drugiej strony można tak bardzo trzymać czytelników na dystans, że w końcu zapomną o debiutancie, nawet jeśli świetnie zaprezentował się na randce.

Dlatego najlepiej – jak chyba w każdej dziedzinie życia – zachować złoty środek. Są autorzy (i to nawet na tych łamach), którzy z powodzeniem utrzymują długi kontakt z czytelnikami po udanej pierwszej randce. Umawiają się na kolejne spotkania, pozwalają się poznać i pokochać swoją literaturę.

Złoty środek jest również, a może zwłaszcza, potrzebny w kryzysie. W związku autora i czytelnika opartym na krótkich przygodach brakuje zaufania, więc w momencie tąpnięcia żadna ze stron nie może oczekiwać, że druga odpuści albo pójdzie na kompromis. Z kolei jeżeli dawno nie odzywaliśmy się do swoich czytelników, również trudno liczyć na gorące poparcie.

Czego ani sobie, ani wam nie życzę.

[1] A może jesteście na to za młodzi, by znać ten cytat...?

Andrea Smolarz – redaktorka, korektorka i projektantka. Składa książki i e-booki.
www.pracownia-zolc.pl

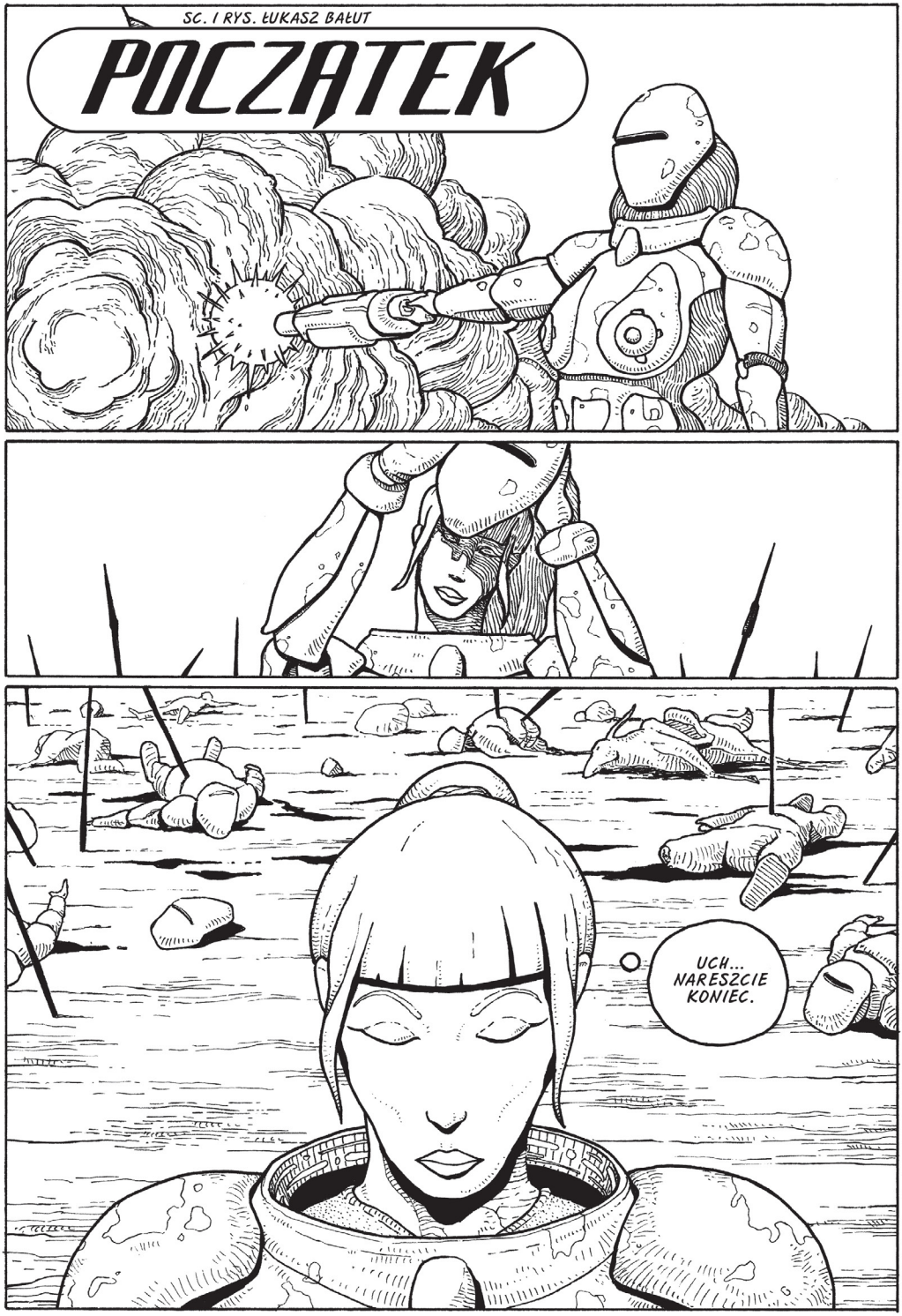
SC. I RYS. ŁUKASZ BAŁUT
POCZĄTEK
UCH... NARESZCIE KONIEC.

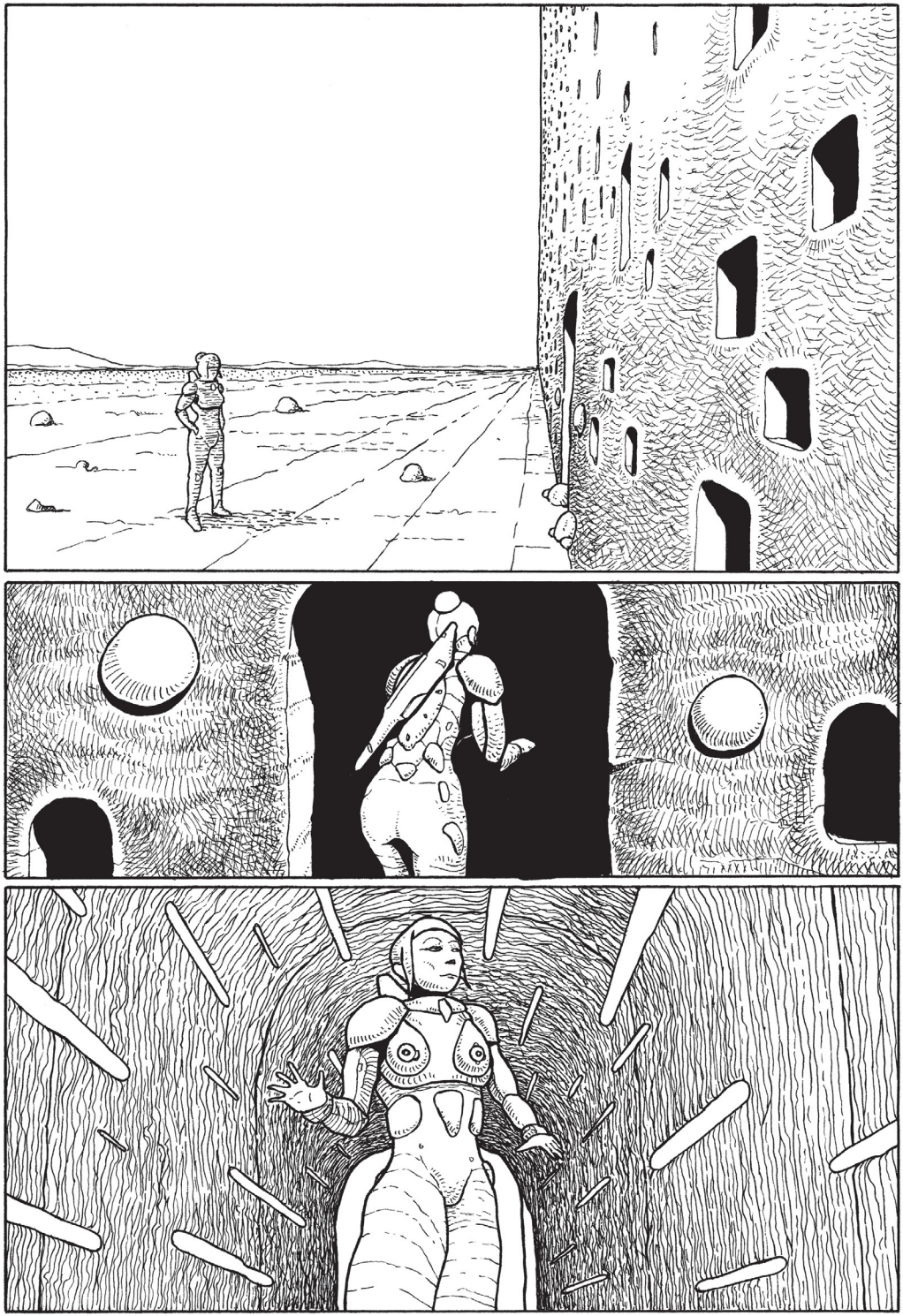

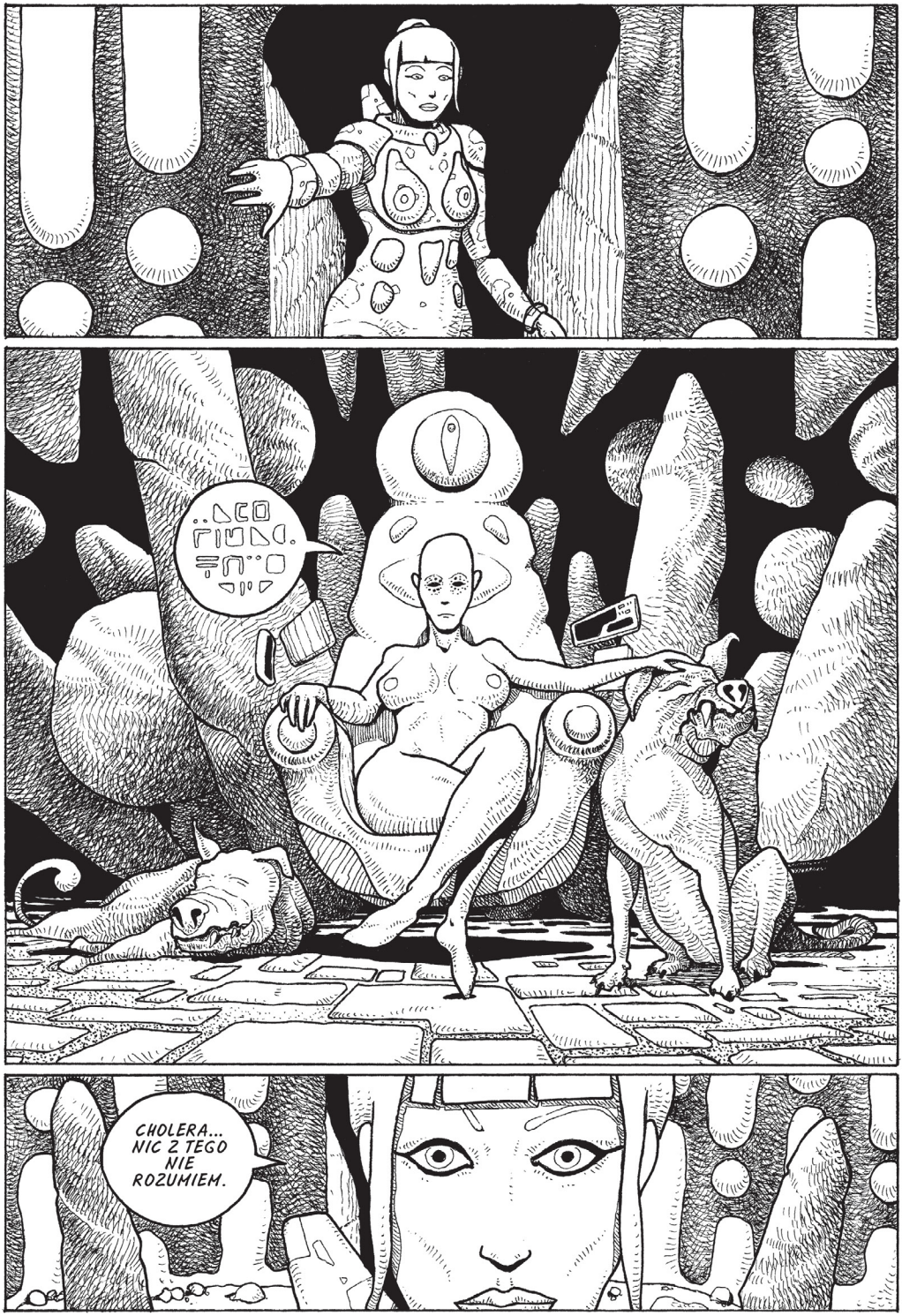
CHOLERA... NIC Z TEGO NIE ROZUMIEM.

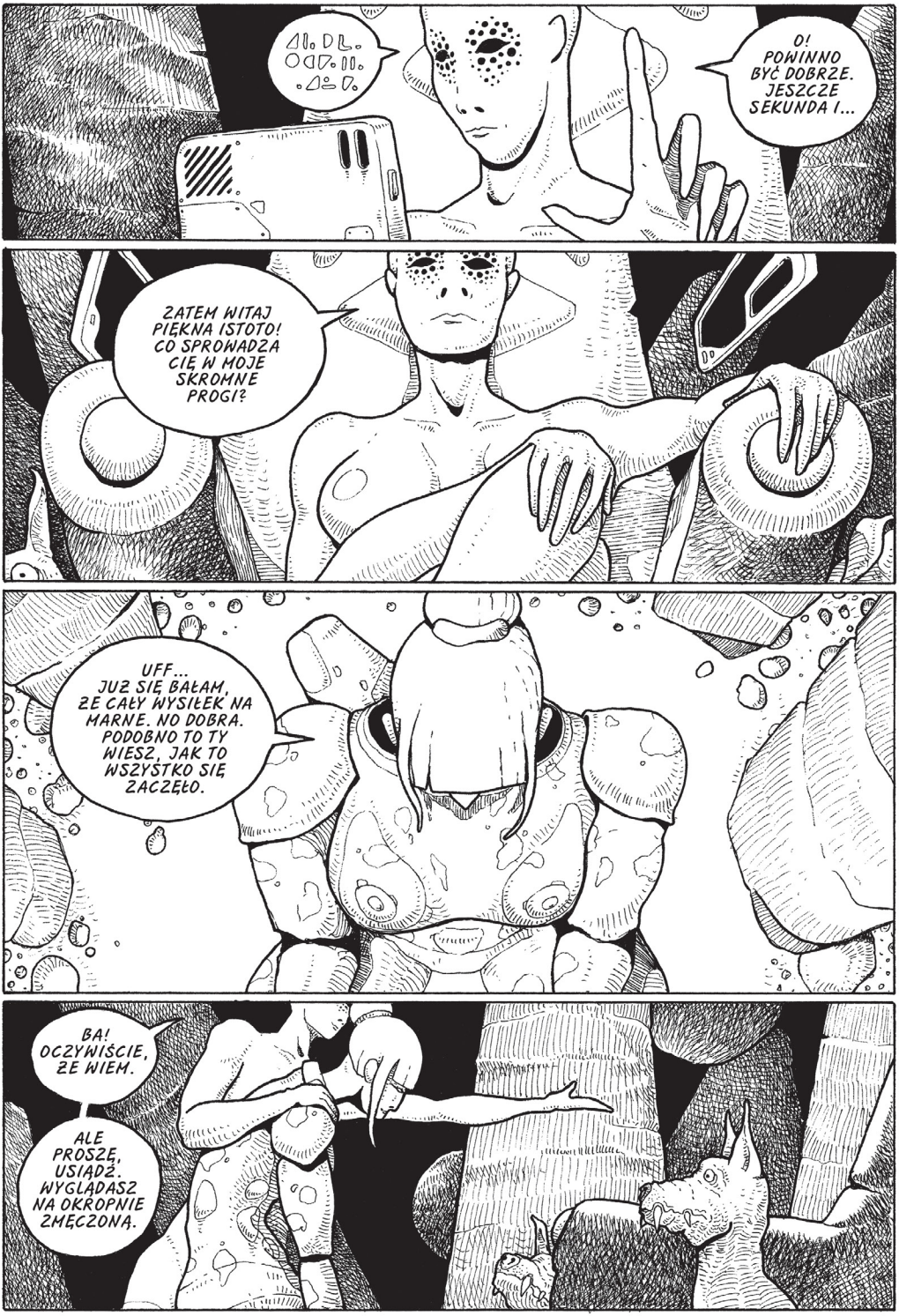
O! POWINNO BYĆ DOBRZE. JESZCZE SEKUNDA I...
ZATEM WITAJ PIĘKNA ISTOTO! CO SPROWADZA CIĘ W MOJE SKROMNE PROGI?
UFF... JUŻ SIĘ BAŁAM, ŻE CAŁY WYSIŁEK NA MARNE. NO DOBRA. PODOBNO TO TY WIESZ, JAK TO WSZYSTKO SIĘ ZACZĘŁO.
BA! OCZYWIŚCIE, ŻE WIEM.
ALE PROSZĘ, USIĄDŹ. WYGLĄDASZ NA OKROPNIE ZMĘCZONĄ.

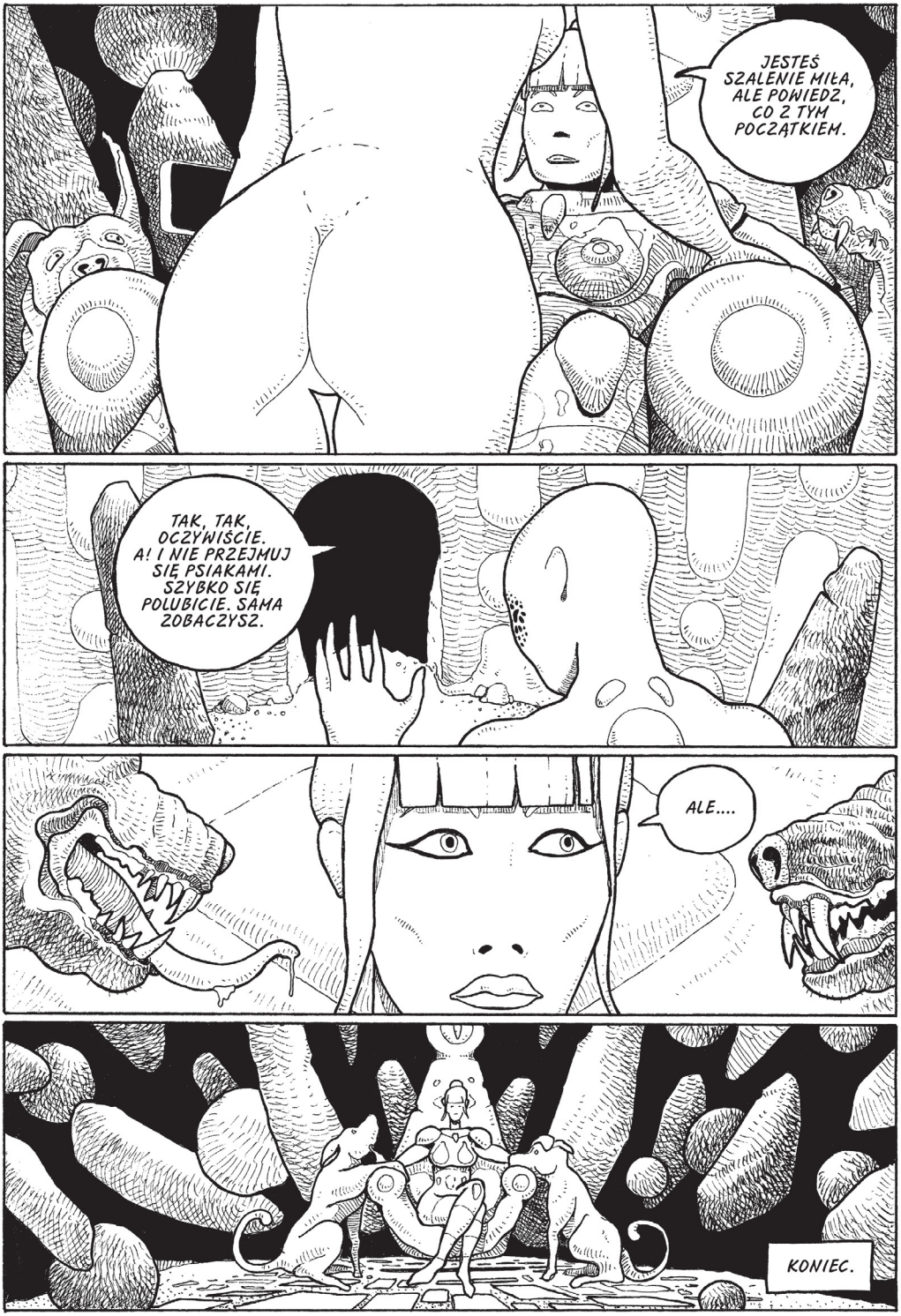
JESTEŚ SZALENIE MIŁA, ALE POWIEDZ, CO Z TYM POCZĄTKIEM.
TAK, TAK, OCZYWIŚCIE. A! I NIE PRZEJMUJ SIĘ PSIAKAMI. SZYBKO SIĘ POLUBICIE. SAMA ZOBACZYSZ.
ALE....
KONIEC.

Łukasz Bałut – rocznik 78. Architekt z wykształcenia. Od 2 lat autor niezależnych komiksów.
www.lukaszbalutart.vsble.me

Andrzej Zyszczak – składacz z powołania. Fan filmów Marvela oraz motoryzacji dla ubogich.
www.zyszczak.pl

Zapraszamy na spotkania z niezwykłymi, samowydającymi się autorami i na rozmowy dotyczące self-publishingu, literatury oraz znojnego żywota pisarzy i niezależnych artystów w Polsce. Program prowadzą Monika Litwinow (*Za lasami* i *W gaju*) i Kamil Prabucki (*Sara*). Odcinki będą emitowane w co drugi wtorek na Spotify, Google Podcasts, Stitcher, Breaker, w aplikacji Podcasty (tablety i telefony marki Apple) oraz w serwisie YouTube. Serdecznie zapraszamy.

Chcesz sam(a) wydać książkę?

Przeczytaj!

Andrzej Zyszczak

„Pośpiech jest złym doradcą", „co nagle, to po diable", „jak się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy" – to tylko część przysłów wymyślonych ponoć przez początkujących self-publisherów, którzy nieumiejętnie oszacowali czas potrzebny na przeprowadzenie procesu wydawniczego i ogłosili wszem wobec datę premiery, jeszcze zanim napisali pierwszą wiadomość do redaktora. Jak zatem określić, ile czasu zajmą: redakcja, skład, korekta czy druk, żeby nie obudzić się z ręką w nocniku?

Już na samym początku musimy zdać sobie sprawę, że mało który specjalista zdoła od ręki zająć się naszym zleceniem. Oczekiwanie na wolny termin u dobrego redaktora może potrwać od kilku miesięcy nawet do pół roku, a u korektora i składacza – od kilku tygodni do dwóch miesięcy. W tej branży zasady są podobne do tych panujących na przykład w wykończeniówce: jeśli ktoś jest niedrogi i ma dużo wolnych terminów, może albo być początkujący, albo nie cieszyć się szczególnie dobrą opinią u swoich klientów. Dlatego jeśli mamy na oku konkretnych, sprawdzonych i polecanych specjalistów, koniecznie zarezerwujmy u nich termin z odpowiednim wyprzedzeniem.

Każda porządnie przeprowadzona usługa musi też swoje potrwać, dlatego przygotujmy się na to, że czas potrzebny na redakcję standardowej książki to może być nawet miesiąc. Tempo prac redakcyjnych przy ostrożnych szacunkach wynosi około 1 arkusza wydawniczego dziennie, co oznacza, że poprawienie 10-arkuszowej powieści zajmie dwa tygodnie robocze. Wtedy plik z poprawkami wraca do autora, który powinien go przejrzeć, by sprawdzić, czy zgadza się ze wszystkimi zmianami. Następnie tekst znów będzie musiał powędrować do redaktora, by ten wyjaśnił wszystkie niejasności i kwestie sporne, a potem odesłał dokument autorowi. I tak wielokrotnie. Ten redaktorski ping-pong może

się ciągnąć przez kolejne tygodnie, zanim książka będzie się nadawała do dalszych prac.

Tempo składu jest znacznie szybsze – wprawny składacz pracuje w tempie około 4 arkuszy dziennie, więc złożenie powieści to czas około 3 dni roboczych. Trzeba jednak do tego doliczyć co najmniej 1 dzień na wykonanie layoutu, który musi zostać zaakceptowany przez autora, a później, po korekcie – kolejne 2–3 dni na wprowadzenie poprawek korektorskich.

A skoro o korekcie mowa, ta odbywa się zwykle w tempie 2–4 arkuszy dziennie, czyli trzeba na nią zarezerwować około tygodnia. A później jeszcze kilka dni na pracę własną związaną z przejrzeniem wszystkich poprawek i wyjaśnieniem ewentualnych wątpliwości. Wykonanie projektu okładki naszej książki może zająć do dwóch tygodni, ale to coś, co można zlecić w międzyczasie – na przykład równolegle z redakcją. Pamiętajmy jednak o oddaniu okładki do korekty, a tym samym o doliczeniu 2–4 dni na korektę i wprowadzenie poprawek przez grafika.

Po każdym wprowadzeniu poprawek – zarówno w środku książki, jak i na okładce – należy jeszcze zlecić weryfikację/rewizję, czyli odesłać poprawione wersje plików korektorowi, by sprawdził, czy wszystkie zmiany zostały właściwie naniesione. To może potrwać nawet kolejne 2–3 dni.

Z drukarnią warto się umówić na konkretny termin po zakończeniu redakcji, czyli wtedy, gdy już mniej więcej możemy oszacować długość naszej książki. Sam proces druku trwa zazwyczaj maksymalnie kilka dni, do tygodnia, ale słyszałem też o przypadkach przetrzymywania i sprawdzania przez drukarnię pliku przez miesiąc, zanim ostatecznie puszczono maszyny w ruch.

Podsumujmy. Na przygotowanie i wydrukowanie standardowej, 10-arkuszowej powieści należy zarezerwować co najmniej 3 miesiące, o ile umówimy wszystkich podwykonawców z odpowiednim wyprzedzeniem i… nie będziemy kombinować z dopisywaniem następnych akapitów w trakcie redakcji lub po niej. Warto się jednak zanadto nie śpieszyć i podejść do całego procesu ze spokojem, zwłaszcza że mówimy tu o dopieszczeniu literackiego dziecka, nad którym wcześniej pracowaliśmy miesiącami lub wręcz latami. Głupio byłoby to zaprzepaścić przez zbytni pośpiech na ostatniej prostej.

Zbyt długa zima

Izabela Redesiuk

Przedstawiamy Wam opowiadanie patchworkowe – historia, której ciąg dalszy zależy od Was!

Dopisz kolejny fragment lub zdecyduj, czyja historia pojawi się w kolejnym numerze. Zasady zabawy: napisz ciąg dalszy (do 3000 zzs) i wyślij go na adres **izabelared2020@gmail.com** lub dołącz do Patronów na Patronite, aby poznać alternatywne wersje i móc samemu zadecydować, który fragment przygody będzie publikowany i kontynuowany w następnym numerze czasopisma „Daję Słowo".

Twarz mężczyzny wyróżniała się spośród innych, które Tomczyk widział w ostatnich tygodniach. Ogorzała od słońca, poznaczona drobnymi zmarszczkami, jakby ktoś zmiął skórę i spróbował raz jeszcze naciągnąć ją na czaszkę. Na policzku miał świeżą bliznę, lśniącą perłowo prostą linię, ciągnącą się od żuchwy po kość jarzmową. Ciemnoniebieskie oczy skrywał cień długich rzęs.

Mężczyzna przerwał wreszcie milczenie:

– Ma pan coś przeciwko, żebym zapalił, zanim zaczniemy?

– Proszę się nie krępować – odparł Tomczyk.

W ciszy, która znów zapanowała w pełnej kurzu i ciemności hali, dźwięk pstryknięcia zapalniczki brzmiał niemal jak wystrzał. Mężczyzna głęboko zaciągnął się papierosem.

– Niech pan pyta, miejmy to już za sobą – powiedział po trzecim zaciągnięciu, gdy jego ręce przestały już nieco drżeć.

Tomczyk wyjął z kieszeni dyktafon i włączył nagrywanie. Mężczyzna zdawał się nie zwrócić na to uwagi, wpatrzony w daleki punkt na drugim końcu hali, gdzie ciemność rozdzierało ostre światło reflektorów.

– Pańska godność? – wyrwał go z zamyślenia Tomczyk.

– Samuel Rogus. Nie mam żadnego dowodu tożsamości, więc musi mi pan uwierzyć na słowo.

– Potwierdza pan, że znalazł denata w hali B zamkniętej kilkanaście lat temu fabryki butów?

– Potwierdzam.

– Czy znał pan denata?

– Nie, nie jestem tutejszy.

– Co pan tutaj robił?

Rogus spojrzał na niego niemal z zaskoczeniem.

– To samo co inni ludzie tacy jak ja robią w opuszczonych miejscach. Szukałem schronienia i liczyłem na znalezienie przydatnych rzeczy. – Zaciągnął się raz jeszcze, paląc papierosa niemal do samego filtra, po czym rzucił peta na ziemię i rozdeptał ciężkim butem. – Nie powinno to pana dziwić. Im dłużej ciągnie się ta zima, tym ciężej jest o opał, pracę i pieniądze. Codziennie widzę dziesiątki takich nomadów, ale tutaj nikt się nie zapuścił. Przynajmniej tak myślałem, dopóki nie znalazłem ciała.

Tomczyk mimowolnie zerknął na jasną plamę kilkadziesiąt metrów dalej. Chociaż zabrano już nieboszczyka, świadomość tego, że tam leżał, działała na wyobraźnię.

– Czy dotykał pan ciała?

– Nie. Od razu zadzwoniłem na policję. Zdaje się, że obudziłem pańskiego szefa – powiedział Rogus, ostatnie zdanie modulując tak, że dało się usłyszeć w nim zazdrość przemieszaną z pogardą. – Pana też pewnie wygonili z ciepłego łóżka, co? Nie każdy ma taki przywilej.

Tomczyk wstrzymał nagrywanie. Komendant nie musiał słyszeć wszystkiego.

– Panie Samuelu, to ciężkie czasy dla wszystkich. To prawda, posterunek policji jest zamknięty, tak jak wiele sklepów i instytucji. Robimy, co możemy. Dlatego rozmawiam z panem tutaj. Rozumiem, że ludzie są źli na system, który ich zawiódł, proszę mi wierzyć, że ja również nie jestem w dobrej sytuacji.

W półmroku popatrzył w oczy mężczyzny, przenikliwe, pełne złości i bólu. Zaciśnięte szczęki również

Izabela Redesiuk – absolwentka LO o profilu prawno-dziennikarskim. Fanka książek z gatunku fantasy i horroru.

zdradzały jego uczucia, a wbite głęboko w kieszenie pięści i pochylone ramiona wskazywały na odczuwane przez Rogusa zimno. – Przenieśmy tę rozmowę do mnie. Ogrzeje się pan, zje coś i opowie o sobie i dzisiejszej nocy.

To było wbrew protokołowi, lecz Tomczyk w głębi siebie wiedział, że tak należało postąpić. W znieczulonym świecie, pełnym sztywnych zasad i podziałów, ta dziwna, zbyt długa zima mogła przynieść również coś dobrego, choćby miał to być tak mały gest jak pomoc innemu człowiekowi.

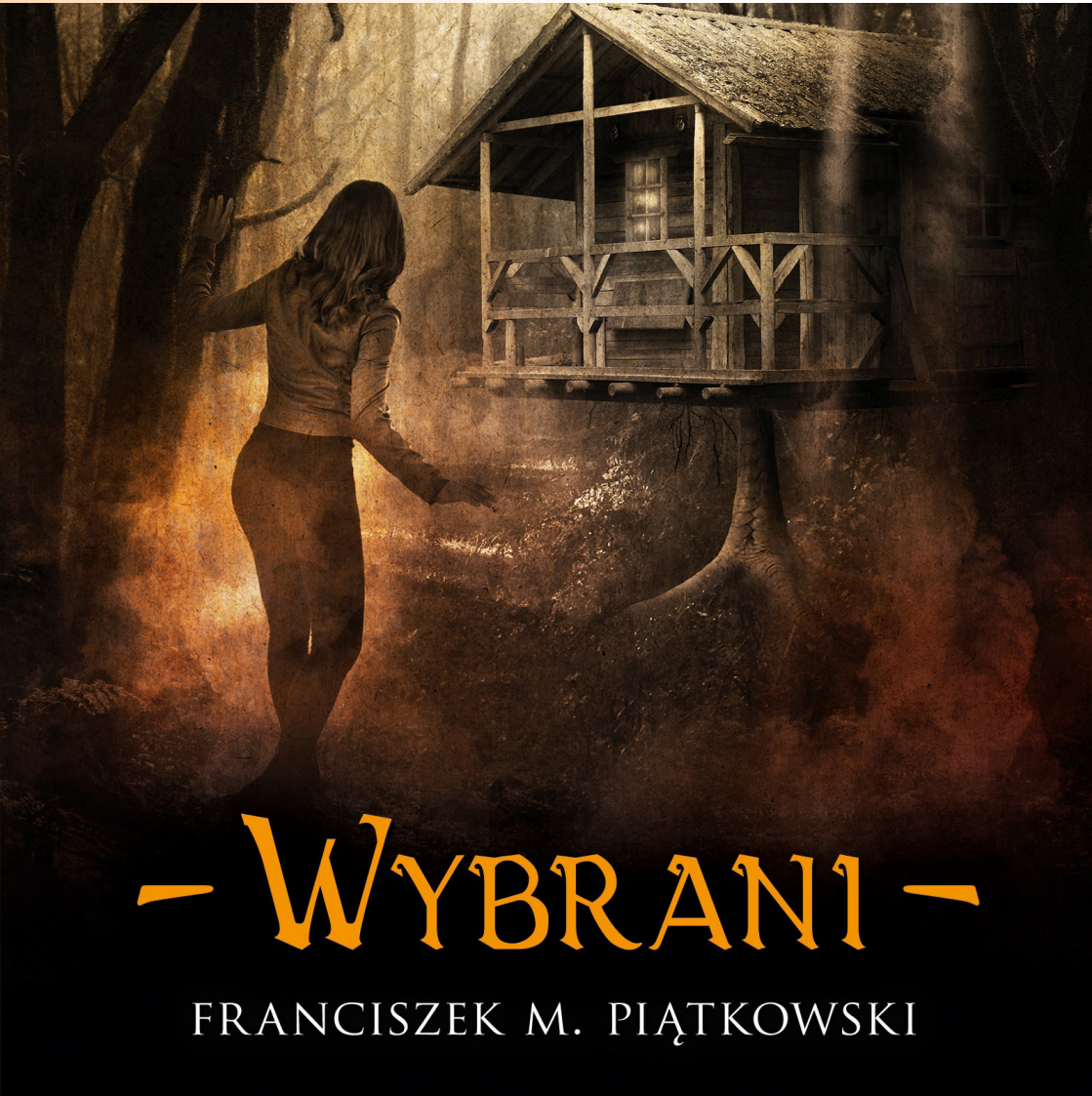

Mój pierwszy raz

rozmowa z D.B. Foryś o erotyce w literaturze i nie tylko

Prowadzi: Kamila Goszczyńska

D. B. Foryś: z wykształcenia programista i grafik, redaktor po godzinach, weekendowa pisarka z zamiłowania. Tworzy głównie fantastykę oraz romanse z elementami sensacji, erotyki i komedii. Zadebiutowała cyklem powieści *Tessa Brown*.

Cześć, bardzo się cieszę, że się spotykamy. Jesteś wszechstronną pisarką i dlatego zdecydowałam się na rozmowę z tobą. Piszesz romanse, ale też fantastykę. Możesz powiedzieć coś o swoich książkach?

Cześć. Co o nich powiem? Że ja nie potrafię się w ogóle trzymać jednego gatunku, bo mnie to nudzi. Ogólnie nikt się nie trzyma jednego. W dramacie jest na przykład romans, ale ja lubię, jak się dużo dzieje. Jak mam pomysł, to się nie ograniczam. Gdy piszę romans, nie mam oporów, by dodać wątek sensacyjny. Nie czytam książek, w których fabuła kręci się tylko wokół obyczajowego dramatu.

I właśnie to jest ciekawe w twoich książkach i w tobie. A romans stał się ostatnimi czasy bardzo popularnym gatunkiem literackim. Z jednej strony sprzedaje się jak świeże bułeczki, z drugiej – fabuły są do siebie właśnie zbliżone. Dlaczego Ty się zdecydowałaś napisać romans?

Mam na koncie kilka romansów, ale to było tak, że pisałam fantastykę, ale z wątkiem romantycznym. Za granicą to jest bardzo popularne i co chwilę nowy tytuł wskakuje na listę bestsellerów New York Timesa. W Polsce ludzie nie sięgają tak często po ten gatunek, szczególnie że u nas istnieje mocne przekonanie, że jak fantastyka, to nie, nie, nie – żadna erotyka, a ja lubię to pisać. Jak zaczynałam sięgać po fantastykę, nie zastanawiałam się nad tym. Wcześniej czytałam mnóstwo romansów fantastycznych i jakoś mi przez myśl nie przeszło, że ktoś kiedyś powie, że fantastyka z romansem jest „be".

A twoja *Mroczna pokusa*? Czy to jest typowy romans?

Tak. I wcześniej też jeszcze powstała dylogia Miłosna gra. To był pierwszy taki stricte romans, na który się zdecydowałam, bez fantastyki. Miało to być jeszcze przed pandemią jedno z opowiadań do antologii dla Fundacji Dla Transplantacji. Ponieważ odwołano wszystkie imprezy towarzyszące, wydawnictwo zrezygnowało z publikacji, ale miałam już gotowe opowiadanie, które mi się podobało. W trakcie pandemii zaczęłam przerabiać je na powieść i potem powstał drugi tom.

Co jakiś czas pojawiają się kursy pisania scen miłosnych dla autorów. Czy rzeczywiście trudno jest je pisać?

Musiałabyś zadać mi to pytanie parę lat temu, jak zaczynałam (śmiech). Pamiętam, że jak zaczynałam, to miałam taki wewnętrzny opór przed używaniem słów „penis", „cipka" i tak dalej. Na siłę próbowałam, żeby ta scena była taka subtelna i napisana nie wprost. Ale ostatnio miałam możliwość od nowa wydać mój debiut i przeglądałam różne opinie. Przede wszystkim wyrzuciłam chyba trzysta wykrzykników, bo widziałam uwagi, że moi bohaterowie wszystko krzyczą (śmiech). Jak zaczynasz, nie masz jeszcze takiego wyczucia. I te sceny erotyczne były jednak zbyt subtelne i ostatecznie je poprawiłam, i zrobiłam je bardziej naturalne. Bo wydaje mi się, że jest cienka granica między stworzeniem fajnej sceny erotycznej, którą czytasz i czujesz to coś, a sceną, podczas której masz ciarki żenady na plecach. Każdy pisze te sceny inaczej. Teraz nie zastanawiam się aż tak bardzo nad tym, po prostu piszę.

Gdzie leży, Twoim zdaniem, granica między pornografią a erotyką?

Ciekawe pytanie. Zastanawiam się, czym tak naprawdę jest pornografia, a czym erotyka. Pewnie pornografia jest erotyką, nie?

Pewnie tak, taką mocną i zależy dla kogo.

Kojarzę pornografię z obrazem, a w książce bardziej działa wyobraźnia. Może tu jest różnica. Nie jestem pewna. W książce też możemy wszystko opisać, ale czy to będzie pornografia? Takie książki z erotyką i tak są zawsze dedykowane dla osób osiemnaście plus. Nie spotkałam się natomiast nigdy z określeniem książki erotycznej jako pornografia.

Jak bardzo śmiałe sceny erotyczne znajdziemy w polskiej i zagranicznej literaturze? Widzisz jakąś różnicę?

Czytam jedną i drugą i nie widzę dużej różnicy. Ale czasem spotykam się z dziwnymi rzeczami. Kiedyś robiłam korektę książki, było to tłumaczenie z angielskiego, gdzie kobieta ledwie mogła objąć dłońmi penisa. I pomyślałam, że autorkę chyba poniosło. (śmiech) Już sobie wyobraziłam, jak tam pogotowie jedzie. (śmiech) Czasem się trafiają takie

momenty, że zastanawiasz się, jak to w ogóle możliwe. Łatwo można przekroczyć tę granicę, gdy opisywana rzecz nie jest możliwa, na przykład ciało się tak nie wygnie czy nie obrócisz głowy o 180 stopni. Ale też nie trafiam na jakieś skrajnie niesmaczne sceny. Nie lubię, gdy ktoś zbyt szybko opisuje, gdy ten akt zamyka się w jednym akapicie. Że para bohaterów się całuje, się kochają i zaraz leżą obok siebie. Bo gdy rozmowa ciągnie się przez pięć stron, czujesz upływ czasu, że rozmawiają długo, a w takich przypadkach tego wrażenia nie ma. Wydaje się, że trwało to sekundę.

Tak jak czasem w filmie. Zaczynają się całować i jest najazd kamery na okno.

Tylko w filmie wiesz, że jest tu urwana scena. Jeśli ktoś nie czuje się dobrze w scenach erotycznych, może je w ogóle przeskoczyć i zakończyć scenę. Jeszcze sobie myślę, że może dlatego niektórym nie pasują sceny erotyczne w książkach, bo są tak zrobione po łebkach albo mają za dużo szczegółów, aż takich ginekologicznych. A przecież nie trzeba opisywać, jak to się dzieje sekunda po sekundzie, bo każdy o tym wie. Chyba to kwestia wyczucia. Jak już napiszesz taką scenę, jest tyle osób, które można poprosić o ocenę, czy jest ze smakiem, czy nie. Czasami wystarczy użyć jednego słowa źle i już sobie ktoś wyobrazi zupełnie inaczej.

Właśnie chcę cię zapytać o to słownictwo. Jak bardzo ważne są zasób i dobór słów określających cielesność?

W sumie nie wiem. Jak zaczynałam pisać, nie miałam pojęcia, jak daleko chcę się posunąć.

A nie jest tak, że w naszym języku te określenia stref erogennych są albo wulgarne, albo medyczne? I trudno znaleźć nieobraźliwe?

Jeśli chodzi o męskie organy, to mamy spore pole do popisu, ale przy żeńskich jest problem. I nieraz się spotykam z tym, że ludzie próbują to w jakiś sposób zamienić i wychodzi z tego śmieszna scena zamiast pobudzająca zmysły. Pojawiają się „bobry", „szparki" i inne dziwne określenia.

Czy często i w jaki sposób pojawia się wątek inicjacji seksualnej w Twoich i nie tylko Twoich książkach?

Nie przypominam sobie, żebym czytała książkę o pierwszym razie. Było w *Darach anioła* w VI tomie, ale to była młodzieżówka i nie było sceny erotycznej, tylko wzmianka. Ogólnie sięgam po książki o dorosłych bohaterach, choć pojawia się teraz dużo młodzieżówek.

W twojej książce jest taki motyw?

W ani jednej. Chociaż planuję, ale na zasadzie wspomnienia w pewnym tekście, do którego muszę wrócić, bo mnie nawiedza i nie daje spać. Bohaterowie się spotykają po latach, a mieli ze sobą ten pierwszy raz. Nie wiem jeszcze, jak to opiszę, bo strasznie mnie irytują retrospekcje w książkach, pewnie dlatego, że zazwyczaj są zapisywane kursywą i ciężko mi się to czyta. Myślę też, że wielu autorów nie opisuje pierwszych zbliżeń, bo to taki intymny, często niezręczny moment dla każdego. Ja wolę opisywać te sceny bardziej obrazowo, barwnie, bawić się słowem. I nie cierpię na pewno gwałtów w książkach. Może dlatego, że to największy koszmar dla wielu kobiet i potem bierzesz taką

książkę i gdy czytasz o tym koszmarze, to raczej nie chcesz w to brnąć. Chyba że tworzy ważną kwestię dla głównej bohaterki. Nie jestem jednak przekonana, czy brutalne opisy są potrzebne.

A czy opisywanie pierwszych razów między doświadczonymi bohaterami jest łatwiejsze?

Z racji tego, że nigdy nie opisywałam takiego typowego pierwszego razu, trudno mi porównać. Gdy opisuję, jak bohaterowie się poznają, bez względu na ich doświadczenie, to zawsze jest to dla mnie ciekawe. I podoba mi się dążenie do tego, co się wydarzy. Bo potem nie ma już tego wow.

Jak w życiu.

Tak. Jak się z kimś spotykasz, to zawsze te pierwsze trzy miesiące są najfajniejsze (śmiech). A potem musisz się nauczyć, jak to utrzymać.

A czy współcześni pisarze mają odwagę pisać o nieheteronormatywności?

Nie czytam takich książek. Mam takich bohaterów u siebie, ale nie opisuję ich doświadczeń seksualnych. Ale znam kilka osób, które uwielbiają czytać takie sceny.

Dlaczego, podczas gdy seks jest wciąż tematem tabu w Polsce, stał się wątkiem pożądanym w książkach?

Może dlatego, że ludzie właśnie robią z tego tabu. Nie wiem, po co robić tabu z czegoś, co jest nieodłączne od zawsze. Ludzie zawsze uprawiali seks i będą go uprawiać. Moim zdaniem powinno się o tym mówić i edukować ludzi. Bo później czytamy, że jakaś nastolatka urodziła dziecko i nawet nie wiedziała, że jest w ciąży albo ukrywała ciążę, albo się pozbyła dziecka w jakiś okrutny sposób. I to wszystko się wiąże z tym, że nie ma tej edukacji. Oczywiście nie twierdzę, że dzieci powinny się uczyć o seksie, czytając książki erotyczne! Po prostu nie powinniśmy się wstydzić rozmawiać na takie tematy.

To jest też kwestia tego, jak rodzice rozmawiają z dziećmi i jak z nimi rozmawiano.

No tak. Nie mam dzieci, którym bym miała to tłumaczyć, ale nie umiałabym chyba tego tak mądrze wyjaśnić. Przez to, że to jest

tematem tabu, nie wiesz, jakich słów użyć. A dzieci nie powinny się dowiadywać, nie wiadomo skąd. Pamiętam, jak u mnie w szkole na biologii padło słowo „sperma" i wszyscy się śmiali tylko dlatego, że ktoś to powiedział. To świadczy o tym, jak niektórzy do tego podchodzą. A nie powinno tak być. Poza tym, mimo że mamy XXI wiek i tyle rzeczy się na świecie wydarzyło, dalej natykam się na takie artykuły, że jakiś rodzic się skarży, że jego córka wróciła do domu z opakowaniem podpasek i w szkole było tak, że pani nauczycielka kazała chłopcom na chwilę wyjść i cichutko, szeptem dziewczynkom opowiadała. Tak, jakby chłopcy nie mogli o tym wiedzieć. Przecież faceci powinni wiedzieć, z czym się wiąże okres. Dlaczego to ma być trzymane w jakiejś ogromnej tajemnicy?

Robi się taki podział na sprawy babskie i sprawy męskie.

No i to jest całkowicie bez sensu.

Wracając do książek. Kto najczęściej sięga po powieści erotyczne? Jest to tylko literatura kobieca?

Wydaje mi się, że nie tylko, ale chyba mam więcej czytelniczek właśnie. Zazwyczaj, jeżeli panowie kupują moje książki, to jako prezent dla pań. Faceci też na pewno czytają. Mój brat czyta moje książki.

I recenzenci (śmiech).
O! Jestem ciekawa w sumie, czy jakiś facet sobie myśli: – A dzisiaj nie obejrzę meczu z piwkiem, tylko sobie klapnę i romansik poczytam. (śmiech) Chyba nie. Pewnie dlatego na okładkach zawsze jest jakiś roznegliżowany facet, rzadko kiedy kobieta. Bo są kierowane właśnie do pań.

Dziękuję ci bardzo za rozmowę i pozytywną energię. Życzę zdobycia nowych czytelników.

Dzięki.

Kamila Goszczyńska – z wykształcenia filolożka angielska, z zawodu nauczycielka i doula, z pasji – technik weterynarii i pisarka.

Olcha z Wilczej Doliny

Rozdział 1. Narodziny wiedźmy

Agata Kasiak

Świtało nad Wilczą Doliną. Słońce ogrzewało już łąki na wyższych stokach, ledwo zaglądając w zacienione lasy. Krople rosy kapały z wolna z krytych trzciną dachów domostw, a wilgoć powoli parowała wobec ciepło się zapowiadającego poranka. Tylko nad jeziorem i bagnami pływały nieśpiesznie wczesnojesienne mgły.

Wielki pająk z pasiastym odwłokiem zachybotał w białym tunelu skrytym w trawie. Zostawił drżącą pajęczynę, niczym naszyjnik powleczoną kroplami rosy. Sobie tylko znaną dziurą w polepie między belami ścian wmaszerował do wiedźmowej chaty.

Jedno z kaprawych ślepi starej rozwarło się ciekawie. Szczeciniasty, mocno przerzedzony kłębek włosów drgnął, gdy podniosła łepetynę. Podrapała się po krostkach na szpiczastej brodzie. Krytycznie łypnęła na pająka.

– Aleś ty brzydki.

Przywitała go wprzód niby gburowato. Ale o poranku zwykle nie miała dobrego humoru. Tylko że żal jej się zrobiło druha i wnet dorzuciła pieszczotliwie:

– No, mój swojaku ty. – Ziewnęła. – To kogo zaś, mówisz, przygnało w me progi?

Zmarszczyła brwi, wnet przytomniejąc. Ostrożnie ominęła pająka tkwiącego wciąż na wygniecionej poduszce, po czym całkiem rześko zwlekła się z siennika. Jeszcze wyprostowała się, prawie całkiem, poklekotała kolanami, wreszcie zarechotała rada:

– Ale jedno ci rzeknę, Krzesimir, że co szczyny jałowicy, to nie krowie. Nie masz ci porównania. Jeszcze jak się uwarzy przy nowiu, ho, ho. Kolana jak nowe! Niejeden by się pokusił.

Tu wyjrzała dziurą w drzwiczkach na podwórze. I zamarła.

– Oż ty…

Rozwarła wrota chaty powoli, by nie spłoszyć tajemniczego stworzenia.

Zawias zgrzytnął.

– Kurwości nienaoliwione – syknęła w gniewie.

Na szczęście dziwny gość nie spłoszył się. Stał nawet, gdy wiedźma w całej okazałości wychynęła za wysoki próg, a tylko przekrzywił ciekawie łeb.

Serce zakołatało kobiecie. Świdrowała oczami z ukosa, by lepiej widzieć. Czarny wilk był masywniejszy niż zwykłe zwierzę, a jego spojrzenie, choć bursztynowe, było ludzkie. Nie miał też ogona.

– Wilkar – wymówiła dawno nieużywaną nazwę. A oczom wprost nie dowierzała.

Ruszyła ku stworzeniu, a to czekało, choć czujne. Ciekawiej przekrzywiło łeb, wciągnęło zapach człowieka.

– Skąd żeś się tu zabłąkał? – przemawiała doń. Wszak wysoko w górach mieszkali jeszcze wilkarzy, pewnie ostatni z żyjących, ale należeli do szarych klanów. Czarnego wilka wiedźma widziała w górach tylko raz i... – Toż tyś niechybnie jego miot. – Osłupiała, poznając w oczach zwierzęcia czyjeś dawne spojrzenie. – Niechby swe bebechy wysrał. – Omal nie splunęła.

Istota wyczuła niechęć obcej i bezgłośnie obnażyła kły. Na razie ostrzegawczo.

– Nie złośćże się – złagodniała i powoli wyciągnęła dłoń ku pyskowi wilka. – Nie wybierałeś se ojca, toć jemu pomstuję, nie tobie.

Zmarszczony nos stworzenia stracił groźny fałd, a istota powąchała obcą ciekawie. Potem pozwoliła ostrożnie musnąć sierść pod okiem, a dalej pogładzić ucho.

Wiedźma wyszczerzyła dziąsła w uśmiechu ulgi.

– No, aleś ty dzikus. – Musiała jednak zauważyć.

Choć wilkar dał się dotknąć, nie było to jednak typowe tej rasie zachowanie. Nawet niemal zupełnie odcięte od świata watahy szarych klanów górskich w zetknięciu z człowiekiem przybierały ludzką postać. Ten musiał być o wiele bardziej zdziczały.

– Młodziutki samiec – oceniła. – Dorodny jak na samotnika. Czyj żeś ty?

Ani drgnął. Łypnął tylko oczyskami.

Był tak wielki, że pokurczona ze starości wiedźma mogłaby na nim jeździć wierzchem.

– Rannyś? Czy wściekły? – Starała się poznać.

Zerkała nań, gdzie mogła, nie widząc jednak oznak jakiegokolwiek uszczerbku na ciele. Może poza dość licznymi bruzdami na karku, jednak wygojonymi. Musiało coś pokiereszować go kilkanaście dni temu.

– Hmm, wygnali cię, co? – domyśliła się w smutku. Zaczynała kojarzyć, kogo mogła mieć przed oczami. – Tyś zapewne bękartem ludmarowej siostry, z szarych klanów, co to w świat poszła za duszanieckim czarnym wilkiem ze świata. Czcirad mu było. Znasz li?

Milczał.

– Ech, Czcirad mu było – ponowiła – choć zwać się winien „bies" i „gwałciciel", tfu, przeklęte łajno.

Nieufne drgnienie wilkara wobec każdego jej przejawu złości powstrzymało staruchę przed dalszym bluzganiem.

– No już – złagodniała – wstań, pewnieś głodny, w progi cię zapraszam. Widnoś poczciwina, nie masz tej podłości w ślepiach, co tamten miał. Chodźże zatem.

Przywołała go gestem, ruszając z wolna ku chacie. Gdy się obejrzała, wśród błyszczących w słońcu kropel rosy jej podwórza powstał z wilka czarnowłosy młodzieniec.

Stara aż zaniemówiła.

Odrzucił ze śniadego czoła bujne loczyska i błysnął złocistymi oczami. Wyprostował się, wysoki ponad miarę i zupełnie nagi. Był tak piękny, że starucha na dłużej utknęła w połowie podwórza. Aż wzrok jej się wyostrzył!

Drgnienie wywołał jedynie widok licznych szram na całym jego ciele. Większość po wilczych kłach i pazurach, jakie ta rasa miewała po walkach toczonych między sobą.

– Wuj Ludmar tępił cię i tępił, aż w końcu przegnał, co? – westchnęła litościwie. – Chodź, dziecko. Brzuch masz zapadnięty, trza coś zjeść, źle gadam?

Młodziutka, ale przyjemnie męska twarz drgnęła w niepewnym uśmiechu.

Więcej wiedźma już nie czekała, niknąc w chacie.

Długo nie kazał się prosić. Zgiął się wpół i przekroczył wysoki próg, schylając się przed górną framugą. Potem usiadł, gdzie mu wskazała, przy małym stoliku z boku jednoizbowego wnętrza. Nozdrza chodziły

mu i ślepiami bacznie śledził każdy szczegół. Wygaszone palenisko, skórzany iskrołap nad nim, posłanie starej i graty pouwieszane przy powale czy na ścianach.

– Dużo tu smrodów, co? – zarechotała.

Położyła przed nim wczorajszy podpłomyk i kwaśne mleko z osady.

– Jedz – zachęciła, gdy się zawahał.

Powąchał, ciekawił się tym, jednak ani do ust nie przyłożył. Przerzucił na nią zdumiony wzrok.

– No, cudak, żarł nie będzie – wzięła się pod boki. – Placka nie widział? To się jada! Rozpuszczony dzikus, na jagnięcinę czeka! Widzieli go!

Młodzieniec strzelił oczyskami, jeszcze raz wbił wzrok w podane jadło. Wreszcie dał temu szansę. Powąchał, biorąc w dłonie, i ugryzł niepewnie.

– No, chwalić bogi! – Pokręciła głową nad nim, aczkolwiek dobrotliwie. A potem siadła do stołu, radując się jego pocieszną miną, gdy badawczo pogryzł i przełknął pierwszy kęs. – Ech – klasnęła ręką w udo – nadałeś mi się, ku uciesze. Dawnom się tak nie radowała, jak mi ktoś żarło wpieprzał! Mówże, jak cię zwą?

Wzruszył ramionami, już śmielszy w pochłanianiu podpłomyka.

– Ojciec cię nie nazwał, ścierwojad – znów się domyśliła – ale wuj musiał chyba. Jak wołał cię Ludmar?

Wilkarski młodzieniec znów zaprzeczył gestem.

– Ludmar, ten uparty cap, nie nadał imienia synowi siostry?! – oburzyła się.

Chłopak wykonał jakiś ponury gest, mający być jednak potwierdzeniem. Widać nie chciał, by drążyła.

– To jak mam ciebie wołać? – zagaiła cierpliwie.

Ale znów wzruszył ramionami smętnie.

– Hmm, masz ci – mruknęła – jak gadanie z Krzesimirem.

Łypnął ciekawie, ale wrócił do jedzenia. Najwyraźniej posmakowało mu.

– Ja ci zatem nadam imię – postanowiła. – Zwał się będziesz Wilko.

Zastygł z kęsem w ustach. Złote ślepia nabrały dziwnego wyrazu… wzruszenia.

Wiedźma wyraźnie wyłapała to drżenie w nim. Wręcz słyszała, jak serce zaczęło mu bić mocniej.

– Podoba ci się, Wilko? – spytała dość nawet czule.

Kiwnął głową. Był teraz jakby bardziej kruchy, naprawdę poruszony i wdzięczny.

Z wolna wrócił do gryzienia tego, co miał w ustach. Ale oczy zdradzały, jak wielkie wrażenie zrobił na nim gest obcej.

– Zatem, Wilko – podjęła zatroskana – daj znać, mówisz ty w ogóle? Potrafisz?

Znów zajrzał jej uważniej w oczy. Chwilę przygotowywał się, składając bacznie usta. Potem odparł niepewnie:

– Mało... mówię...

Ścisnęło ją za serce.

– Nie... miałem... z kim... gadać... – podjął jeszcze.

Pokiwała głową. Uśmiechnęła się życzliwie.

– To teraz masz – oznajmiła ochoczo.

Skinął, już śmielej, i odpowiedział uśmiechem.

Tak Wilko został z wiedźmą jeden dzień, potem drugi, wreszcie odważył się spytać prosto, czy może zamieszkać z nią na stałe. A że się ucieszyła nie lada, obiecali sobie wspólne towarzystwo, dopóki tylko będą chcieli.

Wilkarski młodzieniec szybko podszkolił się w mowie, z każdym dniem u boku wiedźmy weselejąc bardziej. Oczy mu jaśniały, lico rzadko kiedy ściągało zmartwienie, a złość niemal nigdy. Pogodnego był usposobienia, jak mawiała, na pewno nie po ojcu.

Na razie wzbraniała mu do osady zaglądać, a i przed ludziskami, co przychodzili na mokradła do niej, chowała go. Wolała tak. Myślała jeszcze nad tym, jak przyjęliby go we wsi. Mało kto wiedział o istnieniu szarych klanów w górach, tym bardziej o czarnych, duszanieckich ze świata. Chyba tylko najstarsi, co wierzyli jeszcze w opowieści przodków, pierwszych osadników, którzy pamiętali czasy świetności wilkarów.

Pierwsze dni Wilko spędził na zlecanych zadaniach, często odruchowo, zbyt często, przyjmując wilczą postać. Wciąż, widać, tak mu było najwygodniej.

Pewnego razu zaciekawił wiedźmę, kiedy w wilczej skórze zajadał coś na podwórzu.

– Co tam chrupiesz? – zapytała.

Łypnął tylko oczyskami, połykając coś spiesznie.

– Ech, ty. – Wzięła się pod boki. – Swoją drogą, nie widziałeś czasem Krzesimira? – Rozglądała się po pajęczynach bliżej plecionego płotu.

Wilko powstał w człowieka, strapiony. Posłał jednej z naderwanych pajęczyn wystraszone spojrzenie.

– Nie, nie – wpadła w panikę – nie chcę tego wiedzieć… – I w popłochu oklapła na próg, łapiąc się za twarz. – Mój Krzesimir!

Tymczasem Wilko bał się. Zerknęła nań, widząc, że gotów był uciec z tego strachu. Ocknęła się, wstrząśnięta, w porę wołając go:

– Wilko! Wróć! Dziecko kochane, dokąd ty?

Złagodniała, gdy odważył się zostać. Przywołała go gestem.

– To był zwykły pająk – tłumaczyła. – A jedynie udawałam do siebie, że rozmawiam z nim. Wilko mój, nie bój się, biedaku.

Oszołomiona tym, jak bardzo był kruchy w środku, poprosiła gestem, by podszedł. Uczynił to, siadając na klepisku obok progu. Potem poddał się, po zwierzęcemu opierając głowę na kolanie starej. Odważyła się i ona, kładąc mu dłoń na czuprynie i głaskając czule.

– Nigdy cię nie wygonię, Wilko – przemawiała. – I zawsześ tu u siebie, zapamiętaj.

– Tak, pani.

Ona zaś uważała odtąd, by nie spłoszyć w tej biednej istocie zaufania, którym wilkar obdarzał ją z każdym dniem bardziej.

A oboje najbardziej lubili wieczory. Siadali wtedy na progu, patrzyli na słońce zachodzące za koroną Świętego Dębu gdzieś w Uroczysku i popijali coś, nawet nieraz i wino przyniesione w podarku przez mieszkańców osady.

Wilko przyjmował starą tak, jak zwykły to czynić zwierzęta – nie zważał na jej brzydotę, czy zapachy.

– Pani, skąd czuć tu szczynami bydlęcia jakiego? – spytał raz, węsząc.

– A to ode mnie, od kolan moich. Okłady robię sobie. Pomagają.

Przyjął to skinieniem, jak każde jej inne dziwactwo czy szpetotę.

Dopił, co tam miał, po czym westchnął w odprężeniu i złożył głowę na śmierdzących kolanach starej. Uśmiechnęła się czule, zatapiając palce w rozwichrzonej, czarnej czuprynie. Pogłaskała włosy chłopaka, nieśpiesznie bawiąc się lokami. Oboje polubili ten zwyczaj, pogrążając się w pozornej zadumie. Pozornej – bo tak po prawdzie, żyli w takich chwilach najwięcej tym, jak dobrze im było we dwoje.

– Pani, co to za jeden we wsi... dziwny taki? – Przypomniało się wilkarowi. – Straszno mi przy nim.

Na moment przerwała gładzenie jego skroni.

– Wołają go Miestko. – Od razu wiedziała, o kim mógł mówić. – Hmm, straszny ci on, rzeczesz... Pewnie i straszny. – Wróciła do głaskania. – E, omijaj ty go lepiej, Wilko, jako kotka gówno. Omijaj, dziecko. Nie po drodze wam ze sobą. Takie prawa od wieków.

– Dobrze, pani. – Ani nie dopytywał, posłuszny jej.

Widziała, że zmrużył oczy wobec przyjemnego dreszczu, gdy podrapała go po plecach. Zarechotała na to.

– Cudaku ty mój – przemawiała. – Dobre dziecko, dobre. Bogowie mi ciebie nadali. Ale – zmarszczyła brwi – omijaj ty Miestwina, omijaj.

Słońce zaszło za jeziorem.

Miestwin bał się wody, choć jednocześnie toń zdawała się go wołać. Nigdy tego nie pojmował. Nie rozumiał sam siebie, zatem i nie dziwne mu było, że inni też go nie rozumieli. Odganiali.

Teraz też był na uboczu. Był inny.

Szczebioty dziewcząt ciekawiły go. Lubił patrzeć na nie, lecz z daleka. Wabiły go niemal tak mocno, jak topiel jeziora. Ale z nimi byli też chłopcy. Wiedział, że i tym razem lepiej będzie dlań, gdy nie poznają, że patrzy z zarośli. „Nie dla ciebie one i ich wdzięki, Miestuś", upominała go od dziecka babusia. On zaś wierzył jej. Rzadko też gonił z chłopakami. Dokuczali mu, a w nim wzbierała złość. Jej nie lubił najbardziej. Przerażała go, dławiła. Dusiła, jak łapa utopców, o których tyle bajano. A może więcej – jak wilkołacza łapa?

Miestko westchnął na wspomnienie opowieści starego Krzesąda o stworach. Lubił je na ten sam wyjątkowy sposób, co wizje o dziewczętach czy topieli.

Usiadł wśród szuwarów, na konarze drzewa, które zwaliło się w lustro wody zapewne od wichury lub ze starości. Chłopak podziwiał w półmroku baśniowy zamek z piasku, który pokazał mu Krzesąd. Mówił ów, że w świecie królowie mieszkają w takich i mnogo ludzi z nimi. Ale to nie pociągało Miestka. Bałby się opuścić góry. Bałby się, że w świecie jest jeszcze więcej tych, którzy wyczuwaliby jego inność i drwili z niej.

– Tuś jest! – Brzóska wyskoczył znienacka z sitowia.

Miestko tak bardzo rozmarzył się, że dał się podejść najokrutniejszemu z chłopców. Zdążył krzyknąć, po czym zachwiał się i jak długi pacnął z konaru wprost do jeziora. Nim się wygramolił, wszyscy stali nad nim, zanosząc się ze śmiechu.

Nic nie rzekł, przywykły do swojego losu. Starał się wtórować im w wesołkowatości, nawet będąc obiektem docinków. Drgnął dopiero, gdy Brzóska nadepnął na piaskowy zamek.

– Nie niszcz! – Miestwin ani nie wiedział, że potrafi tak krzyknąć o swoje.

– O?! – Brzóska udawał, że nie wie, o czym mowa, depcząc budowlę coraz bardziej. – Czego nie niszczyć?! Czego, Miestko?!

Miła i Semko śmiali się gromko, a jedynie Niestanka kręciła głową ze współczuciem, wyśmiewna tylko na tyle, by i jej nie wykpili.

Miestko posmucił się trochę nad zniszczonym zamkiem, trochę z nimi pośmiał, wreszcie wrócili do swoich spraw, a on mógł ponownie schować się w bezpiecznym odrzuceniu na uboczu towarzystwa.

Toń wody uspokajała go. Lekkie fale pluskały, odbijając się monotonnie o zwalony konar. Dreszcz przeszedł ciało Miestka. Jak mógł bać się wody i tęsknić do jej świata jednocześnie?

Nie wiedział, jak długo siedział tak w otępieniu. Ocknął się w ciszy. Uszy wyścielał mu jedynie przyjemny ton głosu Niestanki. Czasem przerywał go melodyjny szczebiot Miłej. Chłopak, ku swojemu zdumieniu poznał, że zostały same.

Wtedy obejrzały się, czując, kiedy przykleił się do nich wzrokiem. Zaraz potem wróciły do rozmowy.

– Przy Miestku możemy mówić. – Usłyszał. – Pierwej by Burek co pojął, niźli on!

Znów śmiech. Ale tego lubił słuchać. Odruchowo powtórzył ich wesołość, dopasowując się bez namysłu.

Były piękne. Urzekały go od dziecka. Mógł patrzeć na nie całymi dniami, jak zaczarowany. Znosiły to czasem, kiedy były same, pomne na jego babusię – nie chciały zasmucać dobrotliwej sąsiadki. Kochała bowiem jedynego wnuka, jedyną pamiątkę po córce, co zbałamucona przez złego człowieka ze świata, urodziła owoc zwodniczego romansu i zaraz potem zmarła. Los matki Miestwina robił wrażenie na

dziewczętach, przez co były dla niego łaskawsze. Nigdy nie wiadomo, komu bogi pobłogosławią nowym życiem, a komu ześlą śmierć.

Zatem pozwoliły mu słuchać, a on rozumiał tyle, co wszyscy we wsi wiedzieli od dawna – że Niestanka obiecana Brzósce, a serce jej wybrało Semka.

Woda odbijała ostatni blask posłonecznej łuny. Krople rozpryskiwały się wokół dwóch nagich, chlapiących się dziewcząt. Tańczyły wokół jaśniejących ciał, przypominając gwiezdne mgławice rozrzucone po nocnym niebie. Dziewczęcy śmiech wtórował pluskom pośród tataraków, niesiony echem po tafli jeziora. W takie noce ludzka młodość szła w konkury z odwiecznym trwaniem bogów, a jej piękno zawstydzało rusałki.

Jednak noce zwyczajowo nie należały do ludzi, a ta nie była wyjątkiem.

– Ciii... Słyszałaś to? – Strwożyła się nagle Niestanka, zerkając ku szuwarom.

Miła poszła za jej spojrzeniem, tracąc uśmiech.

Odkąd dorosły, już nie wierzyły w utopce czy inne bajania, wszakże żadnego z takich stworzeń nigdy na własne oczy nie ujrzały. Ale tym razem obie poczuły strach tak dziwny, że samo jego natężenie sparaliżowało je.

– Coś tam jest. – Głos Niestanki przeszedł w szept. – W tatarakach. Tam, widzę coś!

Nie wiedziała, czemu mówiła „coś". Zaskoczyła siebie.

– Toć Miestko, bo któżby? – uspokajała Miła, acz zupełnie nieprzekonana własnymi słowami.

Zakryły się ramionami, rozglądając, to znów wypatrując w mroku.

– Miestko?! – zawołała Niestanka. – Tyś to?!

I wtem oczy dziewcząt zrobiły się wielkie wobec kształtu, który zamajaczył w sitowiu. Z przerażenia żadna nie mogła dobyć głosu.

Wiedźma rozchyliła nozdrza. Coś wdarło się w nie, przerywając wieczorne podziwianie zakończenia dnia.

Wilko równie czujnie uniósł głowę. Oboje chwilę marszczyli brwi.

– Zapachniało ciemną stroną Wilczej Doliny – przemówiła wiedźma. – Tą, którą znam sprzed lat. O której ostatnimi czasy omalże zapomniałam. – Zadumała się. – Bardzo stary zapach.

– Śmiercią. Śmiercią zacuchnęło, pani.

Westchnęła, mając złe przeczucia.

Ale on złożył znów głowę na jej udzie. Czy dlań ważna śmierć w dolinie?

– Śmiercią, mówisz. – Wróciła do głaskana jego włosów. – Zawszem wiedziała, że kiedyś upomni się o tę dolinę. Ech.

– Śmierć, pani?

Zwlekała z odpowiedzią.

– Nie śmierć. Raczej ONA. I czuję JĄ coraz wyraźniej – podjęła po czasie, lecz bardziej już do siebie. – JEJ zapach coraz mocniej przenika w tę dolinę. Wyczuwam JĄ, jak wtedy, gdym przybyła w te przeklęte góry i kiedym ujrzała to stworzenie pierwszy raz. Z każdym dniem więcej tu JEJ.

Wilko uniósł twarz, zaglądając w oblicze wiedźmy uważniej.

Chwilę milczała, dając brzmieć ostatnim tego roku świerszczom. Potem westchnęła. Zamknęła oczy w zadumie.

– I tyś nietutejsza, pani?

– Nie, nie pochodzę stąd – przemówiła, cierpnąc na wspomnienie. – A narodziłam się w czasie najpodlejszym z podłych.

* * *

W owe dni nie wiedziano jeszcze, że kiedyś będą zwały się początkiem ery. Przeczuwano to jednak. Świat spływał bowiem krwią tak obficie, jak nigdy w dziejach. I nawet niebo barwiło się szkarłatem, zwłaszcza na północy.

Nadalia budowała mur, mający odgrodzić ją od dziczejących krain. Stare królestwa bliższe górom pustoszały, upadały ich stolice, a żywi i martwi zmieniali się w poczwary.

Zło z północy rozpleniło się na świat, przewodziła mu zaś karmazynowa gwiazda, jakiej dotąd nie widzieli najstarsi wróżbici.

– Coś się wypełnia. – Jeden z konnych zapatrzył się w krwawą zorzę. – Aż kark cierpnie.

– Taaa! – Drugi splunął na przeklętą ziemię. – Niechybnie ze strachu znów srać mi się zachciało, psiamać. Stać! – zarządził. Wszak zmierzchało i czas był już najwyższy na spoczynek.

Eskorta małego wozu z uwięzioną dziewczyną skrzywiła się, warkliwie unosząc wargi ku północy. Potem poschodzili z koni, prostując nogi, przeciągając się i klnąc, na co tylko popadło.

Brak ruchu wybudził Olchę. Wychyliła twarz spomiędzy chusty, swojego jedynego przyodziewku, nie licząc lichej koszuliny. Ziąb owionął ją, gdy wiatr bezlitośnie wpadł między kute kraty jej klatki. Otuliła się szczelniej, wzdychając.

Rozejrzała się, poznając kolejną noc podróży. Byli już głęboko w górskiej puszczy. Domyślała się tego po nasyceniu czerwienią dziwnej łuny na północnym niebie i po głośniejszym wyciu dochodzącym z przeklętej krainy.

– Góry Północy – wyszeptała w trwodze. – Ożeż, do ślepej kurwy nędzy, gdzie mnie te psie kuśki złamane wiozą?! Bodajby ich oblazło! Niechby scześli w gównach! Niechby ich parchaty kozioł zruchał! Nie umi taki jeden z drugim z bogami paktować, a do modłów się bierze, i mamy teraz, trzymajcie mnie bogi, krew i zgrzytanie zębów! Bodajby was co zeżarło, psie syny... Aaa! – wrzasnęła nagle, urywając gderanie, gdy jeden z wilków powstał znienacka tuż przy wozie z klatką i przyjął ludzką postać. A, że urodziwy był i dawno jej w oko wpadł, żachnęła się, starając nawet o przymilniejszy ton. – A ten co się zakrada, jak do dziewicy w prosie? – Niby zrugała wilkara.

– A zakradam się, przekąsko, bom myślał, żeś może jajko zniosła, co tak gdaczesz. I coby cię uciszyć, nim zwabisz jakie paskudztwo – tu dodał poważniej i ciszej.

– Jedno mi, cudaku, czy zeżre mnie co teraz, czy jutro – warknęła. Potem przybrała cierpiętny wyraz całkiem delikatnej i ładniutkiej twarzy: – Serce mam wielekoroć złamane, pomnij sobie. Niczym żywy trup jużem jest, któremu to nikt i nic zaszkodzić więcej nie może.

Wywrócił oczami, zostawiając jej towarzystwo i wziął się z druhami do rozpalania ognisk.

Dziewczyna w klatce przywarła do krat, westchnąwszy za odchodzącym młodzieńcem. Nie znając jego imienia, którego i inni nie zdradzili, nazwała go sobie Młodym.

– Ech, brałabym cię – rzuciła w rozmarzeniu. – Żeś to niby taki nie na moje progi... nie wiesz czasem... że com ja to szpetna jaka? Dwornisiu ty mój... Jeszcze obaczym, he, he, kto będzie piszczał jak panien...

– Jedzcie, babo.

Podskoczyła na chłodny głos z boku. Pomamrotała parę przekleństw, ale odebrała między kratami miskę zimnej strawy. Rzuciła się szybko do jedzenia, ledwo nadążając mruczeć pod nosem a to o tym, że skradają się wszyscy, że przeklęte ludzie wilkarskie, że niecnoty i banda chamów. Więcej nie miała czasu – naprawdę była głodna.

Po pustą misę przyszedł najstarszy z wilkarów, tych, którzy jechali konno w ludzkiej postaci i w pełnym uzbrojeniu. Ich barwą była czerń, a jedynie białe pasy znaczyły się w ciemnościach. Rycerz ten był jednym z wilkarów z czarnych klanów, królestwa południowego ze stolicą w Duszańcu. Czarni rycerze o białych pasach nie zwracali się do najstarszego po imieniu, więc dziewczyna nazwała go sobie Basior. Jego jednego traktowała poważnie i on jeden tak samo poważnie zachowywał się wobec niej. Był siwy i zarośnięty, ale czuła, że w razie napadu bestii, tylko on będzie zdolny narazić dla niej życie.

Tym razem podał jej ciepłą derkę i gorący napar w drewnianym, rzeźbionym kubku. Czekał chwilę, gdy piła, i ważył coś w myślach.

– Północ blisko – zagadnęła dziewczyna, z jakiegoś powodu chcąc, by został przy jej klatce jak najdłużej. – Wyjce drą ryje, jakby je chędożył sam czart.

Rzeczywiście od północy wycie bestii nasiliło się, jak co noc. Teraz było naprawdę głośne.

– Zbliżamy się – potwierdził Basior i westchnął.

Chwilę tak stał, niby to czekając, aż dziewczyna wypije ciepły napój, niby to patrząc na rubinową gwiazdę i bijącą od niej łunę. Wreszcie spytał, a w jego głosie zabrzmiała prawie ojcowska, a na pewno troskliwa nuta:

– Dziewczyno, czy prawda to, że żaden z naszych nie uczynił ci… hańby?

Drgnęła. Gdyby nie bijące od niego ciepło, ofuknęłaby go.

– Żaden – odparła jednak zwyczajnie.

Po minie wilkara poznała, że nie był z tego rad – na jakiś dziwny sposób.

– Pierwszy, ten młody – mówiła ufnie – poniechał mnie. Drugi myślał widno, że pierwszy sprawę załatwił, takoż i kolejni.

Kiwał głową.

– Taaak – westchnął znowu – wszak to rycerze.

I zadumał się. Ona zaś czekała w napięciu.

– Ale… wyjaw mi zatem, panie, to źle? – jęknęła. – Czemuś taki strapion?

Ociągał się z odpowiedzią, jakby i dla niego sprawa ta nie była oczywista.

Miał odejść, odebrawszy kubek, ale przywarła jeszcze do krat.

– Panie – jęknęła – wróż badał me łono. Toć przeciem nie głupia, wiem, po co czynił to. Może nie wyznał się? Panie, tobie muszę wyjawić wreszcie, nim za późno będzie. Posłuchaj. Ja jałowiłam wiele lat, wiele. Dziesięć lat mężatką byłam, i nic… Wszak dlategom na targ za niewolną trafiła, bom niepłodna. Bo mąż ojcu mnie oddał na powrót, a ojciec co miał czynić? Gąb do wyżywienia tyle, a tu wojna… Dlategoście mnie na targu kupili, ale nikt nie rzekł wam, żeście kupili… nic nie wartą, jałową dziewkę.

Zapadła cisza. Po niej słowa Olchy uderzyły tym mocniej:

– Zrozumcie, nie stanę się matką dla mieszańca, którego tak pragniecie.

Basior zastygł, zacisnął usta. A potem syknął:

– A jednak wróż chce ciebie.

I odszedł ku ognisku.

Mówiono w świecie, że Wilkomir porywa ludzkie kobiety, że uprowadza je w góry, tam zaś rodzą mu poczwary. Lecz skoro nie to, nie mieszaniec był celem eskorty, zatem co?

Olszynka rozważała to wszystko, czekając na tę część obozowania, kiedy pozwalali jej wyjść z klatki i załatwić swoje babskie, a po prawdzie ludzkie, sprawy.

Jak zazwyczaj, to właśnie tak zwany Młody przyszedł po nią.

– No nareszcie – mruknęła ponuro – już omal nie zlałam się w swe dostojne szaty.

Łypnął półpoważnie, po czym otwarł kłódkę i wypuścił dziewczynę. Ta zaś rzuciła się pędem w zarośla. Stamtąd doszło go jęczenie pełne wyraźnej ulgi.

Noc, choć winna być letnią i gorącą, była po prawdzie letnią, lecz potwornie zimną. Młody bez pośpiechu doszedł brzegu rzeki, doganiając Olchę i pozwolił jej spokojnie się wykąpać. Usiadł na brzegu

i powiódł posępnym wzrokiem po górskiej okolicy. Nasłuchiwał wycia bestii w stolicy Wilkomira.

– Och, jaka ulga. – Dziewczyna wyskoczyła z wody, na powrót przywdziewając koszulę i opatulając się ciepłą chustą. Doszła młodzieńca. – Jużem czekała, że jeden dzień więcej bez obmycia i parchmi niechybnie oblezę.

Uśmiechnął się. Pozwolił usiąść jej obok siebie i wziąć się za rękę. Pokręcił głową, wszelako jednak smutny.

– Wyjaw mi, błagam – szepnęła, biorąc sobie jego dłoń ku sercu – po co mnie tam wieziecie?

Prawdziwie się bała, ani nie musiała odgrywać czegokolwiek.

Widziała, że młody wilkar z szarych klanów, najbliższych Wilkomirowi, waha się. Czekała z upragnieniem, mało mając takich chwil, kiedy któryś z nich był z nią sam na sam.

– Nie wiem wszystkiego – zaczął z cicha, ulitowawszy się wreszcie nad kobietą. – Wiem tylko, że ciebie wróżbowie wyznaczyli na tę, która... może skończyć to wszystko, całe to zło.

– Jak?

– Nie wiem, dziewczyno.

– No, ale skończyć co? Może to choć wiesz?! Czyż nie jesteś z szarych klanów? Co czynicie tam? Co tam się dzieje w tych górach?! Co dzieje się w waszych Górach Północy?!

Zamilkł. Aż pożałowała, że straciła szansę.

I kiedy już pogodziła się z kolejną klęską, Młody dokończył rozmowę:

– Zdradziłem króla Wilkomira, bo popadł w szaleństwo i zaprzedał się złym bogom. Ten pakt oślepił go. A najbardziej skrzywdził swoją żonę i własne dzieci. To, com ujrzał, na zawsze już będę miał przed oczami. I choćbym miał oddać za to życie i okryć się na wieki piętnem zdrajcy, będę walczył ze światem, który stworzył wraz ze złymi bogami. Bo źli bogowie nie mogą przyczynić się do niczego, co dobre. A tobie rzec mogę tylko jedno, Olszynko – pierwszy raz zdrobnił jej imię i pierwszy raz popatrzył jej w oczy w taki sposób – że widzę w twym wejrzeniu tę, którą mój dawny pan skrzywdził najbardziej.

– Kogo? – pisnęła.

Odczekał chwilę, ważąc to, co chciał wyznać.

– Moją królową – odszepnął – żonę króla Wilkomira. Wróż rzekł, że tylko ty możesz ją uwolnić.

Zerwała się nagle na potworny ryk czegoś. Było po zmroku, a odgłos istoty przywiódł Olszynce na myśl smoka z bajań dla dziatwy!

Przywarła do krat, wypatrując. Dźwięk powtórzył się, tym razem z liczniejszych paszcz i bliżej! Tylko przez rozsądek ciała nie krzyknęła, a przeciwnie – skuliła się w sobie instynktownie.

– Co to było? – szeptała do samej siebie, bo bała się nawet głośniej spytać. Zresztą po napięciu wśród rycerzy, zwłaszcza duszanieckich, nienawykłych, jak i ona, do bliskości stworów z Grodźca, poznała, że robiło się groźnie. – Bestie. Na bogów.

Byli już w drodze, a wóz kołysał się miarowo na brukowanym gościńcu.

Brukowanym gościńcu? Olcha uważniej usadowiła się w klatce. Nie widziała jeszcze takiej drogi! Była szeroka, równa, utwardzona, z rowami po obu stronach! Dokąd wieść musiała?!

Zauważyła też, że w nocy do eskorty dołączyli nowi wilkarscy żołnierze! Tym razem nie duszanieccy, ale z szarych klanów górskich. Mieli trochę jaśniejsze konie, jak i włosy, i karnację. Wielu w wilczej postaci przemykało bokami.

Rozglądała się po okolicy, wytężała wzrok. Błyskawice nadchodzącej burzy rozjaśniające co jakiś czas niebo dawały poznać, że góry tu były bardziej strome, a droga wciskała się czasem wręcz w nie jak między ściany. Wreszcie oczom Olchy ukazała się dziwna przełęcz, pochylona nad rzeką, a zamknięta jakąś sztucznie zbudowaną barierą – jakby bramą. Uwagę przykuło drzewo, jakby wierzba płacząca – o kształcie brzemiennej kobiety.

Olcha poczuła ciarki na plecach. Wierzba zaniepokoiła ją! Dziwna…

Tu ryki poczwar były już naprawdę bliskie. Nawet ludzka kobieta wyczuwała ich woń – bestie były tuż za dziwnym murem.

Dziewczyna przerzuciła spojrzenia na rycerzy, bo ich coraz głośniejsza kłótnia doszła jej uszu.

– To jest ta noc! Czasu mało! A wy mówicie mi, że ta dziewka nie jest zapłodniona?!

Basior tłumaczył coś warkliwie rycerzowi z szarych klanów, ale zdawało się raczej, że Grodźczanin prędzej rzuci się duszanieckiemu pobratycowi do gardła, niż przyjmie jego racje!

– Wyczują ją i zagryzą!!! – darł się szary, miotając się na drodze, gdzie przystanęli.

Wtem piorun rozjaśnił niebo mocniej niż dotychczasowe i równocześnie grzmotnęło z całej siły, aż góry zatrzęsły się w posadach.

– Wróż jest pewien. To ona. – Młody wyrósł nagle, jak spod ziemi, tuż przed rycerzem z Grodźca, po czym zapadła grobowa cisza.

Bestie też przycichły, wyraźnie na dźwięk grzmotu, choć wyglądało, jakby zza muru zasłuchały się w słowa szarego.

Wilkarzy obu klanów chwilę mierzyli się wrogo. Wreszcie Grodźczanin wyminął Młodego i Basiora, dopadając klatki z ludzką kobietą. Zaciągnął się jej wonią i skrzywił oblicze.

Młody nie zamierzał czekać. Pociągnął Olchę za rękę w stronę stromej ścieżki kierującej się w bok wobec przełęczy, nie wprost. Inni, w lekkim oszołomieniu obrotem spraw, ruszyli z nimi.

Błyskawice częściej rozświetlały niebo, a w trakcie zagłuszającego słowa grzmotu Olcha usiłowała dowiedzieć się czegokolwiek od Młodego. Na próżno.

– Bestie ucichły – zauważyła, całkiem przyjemnie czując się z tym, że Młody prowadził ją za rękę. – Boją się burzy?

– Boją się wody – mruknął posępnie. I łypnął na niebo pogrążone w kłębach chmur.

– To dobrze – odetchnęła – idzie spore lanie.

Bo rzeczywiście na północy czerń wieczornego nieba oznaczała się wyraźną ścianą nadchodzącej ulewy. Kłęby przesłoniły nawet krwawą gwiazdę i bijącą od niej zorzę. Olcha miała przeczucie, że w tej burzy nadciąga jakieś zło.

– Chcę do domu – jęknęła nagle. – Młody, ja chcę wracać! Czyś ty ogłuchł?!

Zignorował kobietę, a gdy oparła się w drodze, szarpnął mocniej i wymownie wbił w nią wzrok. Uległa, nie znając takiego spośród jego obliczy. Odtąd też czuła, że ściskał jej dłoń celowo w złości.

Tymczasem zdyszana mogła wreszcie zerknąć w dół zbocza na kotlinę schowaną za murem i przełęczą. Zwolniła odruchowo, przerażona.

Błysk pioruna oświetlił tamtą przestrzeń i Olcha wyraźnie dostrzegła zamek, rzekę wijącą się równiną i… dziwne roje… czegoś!

– Co to jest?! – wrzasnęła, zatrzymując uparcie wilkara, tym razem w bardziej stanowczym buncie. – To te stwory?! To bestie?! Tam jest cała chmara!

– Tak! – odkrzyknął, równie wściekły. – I tylko królowa może nad nimi zapanować! A ONA tylko ciebie posłucha!

Zawahała się. Jej wzrok uciekł ponownie w tamtą grodzoną dolinę usianą pełzającym kłębowiskiem kosmatych poczwar, wijących się, jak okiem sięgnąć.

– Olszynko… – Wilkar zmienił ton na łagodniejszy, dotykając w przejmujący sposób jej policzka. – Tylko ty możesz przekonać królową. Tylko ty. Proszę, zaufaj mi.

Nigdy jeszcze nie patrzył jej w oczy w taki sposób.

Skinęła. Dała się prowadzić ścieżką. Pozostali rycerze podążyli za nimi.

Po jakimś czasie zaczęli schodzić w dół, skąd tchnęło mokrą darnią i zbutwiałym drewnem. Olcha nie widziała dobrze, bo burza toczyła się kołem po niebie, nieco oddaliła, a wraz z jej odejściem jasność piorunów straciła na mocy i częstotliwości. Kobieta widziała tylko majaczące u celu pochodnie. Domyśliła się bowiem, że tam ją prowadzili.

– Jesteście wreszcie. – Naprzeciw wyszła im kolejna grupa Grodźczan. – To ma być ofiara dla boginki?

Olcha zamarła, gdy nowy wilkar poświecił jej w twarz.

– Ofiara dla boginki? – Przerzuciła pytający wzrok na Młodego.

– Tak. – Ten nie zamierzał odpowiadać jej, rozmawiając teraz ze swoimi. – Poprowadzę ją. Osłaniajcie mnie. Doprowadzimy, jak najbliżej się da.

– A potem?

– Potem pani sama sobie z nią poradzi.

– Bestie rozszarpią ją. – Zwątpił któryś.

Młody warknął ku maruderowi. Z głębi gardła dobył głosu, którego żaden zwykły człowiek by nie wydał. Obnażył kły, zwierzęco marszcząc nos.

Olcha zdrętwiała.

Ale drugi z wilkarów odpuścił, ustępując Młodemu.

– Najkrótsza droga do kurhanu – oznajmił, otwierając właz w murze.

Potem popchnięto ociągającą się ludzką kobietę, tarmoszoną wciąż za rękę przez Młodego. I wtłoczono oszołomioną w jakiś zupełnie inny świat.

– Dlaczego rzekł „ofiarę"? – Usiłowała go nie drażnić. – Młody? Dlaczego... – Umilkła przerażona jego wejrzeniem.

Kiedy ciasnota przejścia przeminęła, Olcha aż wstrzymała dech. Znajdowała się we wnętrzu grodzonej doliny, widząc chmary kosmatych stworów tym razem niczym od niej nie oddzielone. Oświetlił je błysk pioruna. Wszystkie wilkopodobne istoty patrzyły prosto w ich kierunku.

– Ja wracam! – Odwróciła się na pięcie i chciała uciekać.

Wtedy idący za nią Basior uderzył ją mocno w twarz. I wzrokiem nakazał posłuszeństwo.

Przerzuciła spojrzenie na Młodego, ale było jeszcze surowsze.

– Zwietrzyły nas – syknął Grodźczanin. – Ją. Jeśli nie jest jedną z nich, daję jej góra dwa mrugnięcia okiem.

– Nie ma być jedną z nich – warknął rozdrażniony Młody. – Ma być tym, za czym moja pani tęskni najbardziej: ludzką kobietą. Głupcy!

To rzuciwszy im w twarze, pociągnął dziewczynę prosto w stronę tłumu stworów i majaczącego za nimi grobowego kopca.

Przez wymierzony policzek i wrogość Młodego Olcha zapadła w pełne bólu otępienie. Tylko to wtedy miało dla niej znaczenie.

Zdradzili ją. Młody zdradził.

Wtedy zawyła pierwsza z bestii. Inne dołączyły. Początkowo ryk tchnął żałością, lecz kolejne brzmienia przechodziły w zew złowieszczy, wreszcie wrogi. Aż przycichły w ostrzegawczym warczeniu.

– Zostawcie mnie – jęczała Olcha, trzymając się jedną dłonią za gorejący policzek.

Młody wręcz biegł, nie znosząc sprzeciwu, aż szarpana dziewczyna potknęła się, źle widząc w ciemnościach, ale też przez łzy. Wszystko rozmyło jej się przed oczami.

– Zostawcie mnie... Ja nie chcę! – Podniesiona, opierała się.

Tym razem cios padł od samego Młodego. Silniejszy niż poprzedni.

Olcha z opóźnieniem rozpłakała się. Dała się ciągnąć dalej, tym razem uważając, by tylko nie upaść i ponownie nie rozzłościć go!

Tymczasem burza obeszła dolinę i wracała. Nocne niebo zasłoniły przytłaczające czernią chmury. Grzmiało i huczało. Wiatr targał drzewa, gasił pochodnie. Wreszcie z nieba puścił się ulewny deszcz. Wiatr chlustał falami wody w idących.

– Zostawcie – prosiła jeszcze, nie wierząc, że poskutkuje.

– Uciszcie ją! – niecierpliwił się Grodźczanin.

Basior tylko warknął ku Olszynce ostrzegawczo.

Byli rozdrażnieni w ciemnościach i ulewie. Bestie gdzieś rozmyły się, woda cisnęła się do oczu.

– One nie lubią wody – mruknął Młody, wyjaśniając reszcie zachowanie stworów. – Burza jest po naszej stronie. – Kurwa, nic nie widzę! Prędko! – Wytężał wzrok. – To musi być gdzieś niedaleko.

Wreszcie zapadły całkowite ciemności. Ulewa ostatecznie zgasiła pochodnie. Czarne chmury były tak nisko, że zdawały się przygniatać świat. Niebo huczało potężnym i nieludzkim głosem.

– To tu. – Młody odetchnął na wyłaniający się ze ściany deszczu kurhan.

Wyraźnie zwolnił, jakby napawając się bliskością tego miejsca. Na jego twarzy zagościła radość i wzruszenie.

– Jest tu – oznajmił. – Czuję ją.

Następnie pokłonił się przed kamiennymi wrotami grobowca. Oczy patrzyły urzeczone, mimo strug deszczu atakujących ciało.

Olszynka posłała mu oskarżycielskie spojrzenie:

– Bodajby cię co zeżarło! – wyjęczała mu w twarz ostatkiem sił. A było to ostatnie, co wypowiedziała tej nocy.

On zaśmiał się beztrosko, patrząc, jak boginka przejmuje swą ofiarę.

Bowiem odtąd Olcha szła wprost ku drzwiom kurhanu, żegnając się bezwolnym wzrokiem z młodym wilkarem. Jej ciało zostało zawładnięte, a uwięziona w nim dusza mogła jedynie wyglądać na świat swymi dawnymi oczami.

Potem liczyło się tylko wejście do kurhanu.

Coś w grobowcu wołało ją i cieszyło się na spotkanie.

Olcha usłyszała ryk dobywający się z jego wnętrza, a potem coś odwaliło zamykające wejście wrota. Na świat wyszła ONA.

Nie wiedziała, ile lat upłynęło od tamtego czasu. Nieraz śniła o wojnie, czując swąd spalenizny i krzyk zabijanych. Nieraz nie słyszała i nie czuła nic. Bywało, że jej twarz głaskała świeża trawa, bywał i śnieg, z nim ostrza mrozu.

Ptaki śpiewały różne pieśni, rzadziej wilki. Wokół rodziło się i umierało, wiatry przynosiły cząstki innych światów.

Jednej wiosny ptaszek upuścił nasionko. Na nim zacisnęła stęsknione palce, ogrzewając całą sobą. Drzewo rosło kochane i mocne. Liście okrywały ją ciepłą pierzynką na zimę. Tętniło życiem wszelkich stworzeń poprzez długie wieki.

Z czasem zestarzało się. Aż przyszły wichry wiosenne i powaliły je.

Zapłakała nad dębem. Łzy ociepliły policzki.

Moje... Moje dziecko...

– Nie, moje...!

Głos zamilkł. Złość została. Napełniła żyły.

– Precz... – Olcha podniosła się.

Dąb kończący żywot wyrwał korzeniami sporą połać ziemi. Kobieta znalazłszy się w dziurze, gramoliła się, by powstać.

Ciało stawiało jakiś nowy opór. Nie poznawała go. Nie sprawiał go wielesetletni letarg, czy wręcz niebyt. Niemoc była czymś dziwniejszym, podejrzanym.

Olcha długo zbierała się, by powstać, lecz plecy bolały, zaś nogi drżały ze zmęczenia, nim czymkolwiek miałyby się okazję utrudzić. Ale pierwsze zobaczyła ręce. Musiała w bok nieco patrzeć, by cokolwiek zdradził zamglony obraz, jaki podawały oczy.

– Aaaa! – wystraszyła się widoku, kiedy wreszcie nastał. – Moje dłonie!

Starcze szpony powleczone pomarszczoną skórą dygotały przed przerażoną twarzą. Jej też dotknęła, niemal w obłąkaniu.

– Nieee! – Ponowny krzyk przerwał ciszę doliny.

Nogi, piersi, brzuch... Wszystko miała starcze!

Chwilę trzęsła się ze strachu. Odchodziła od zmysłów!

– Ty suko! – zmarszczyła gniewnie nos. – Ukradłaś mi młodość!

Tysiąc lat... Tysiąc...

Głos w niej napawał się trwaniem.

Kiedy wreszcie wygramoliła się z dołu po korzeniach dębu, ostatnie skrawki przyodziewku odpadły z niej, rozlatując się w pył ze starości.

– Jasna kurwa nędza…

Postała beznamiętnie, przyglądając się sobie ciekawie i smętnie. Odkryła, że lepiej widziała przez dziwne bielmo na oczach, kiedy patrzyła z ukosa.

– Taaak! – pokiwała głową z zadowoleniu. – Tera lepiej widać.

I zmarkotniała.

– Ale cycków ci nie podaruję, suko, odpłacisz mi, ty.

A potem przyjrzała się uważniej.

– A tu włosy mi nie rosły wcześniej. – Zasępiła się.

Jęła oglądać się baczniej, ciekawiej. Wreszcie – cóż było robić – wzruszyła ramionami, westchnęła ciężko nad losem i powlokła nogi w jakąkolwiek stronę.

Świdrując z ukosa dla lepszej ostrości widzenia, spostrzegła, że kurhan wciąż tkwił tam, gdzie go zapamiętała.

– Psiamać, obmierzły. Tfu. – Splunęła w tamtą stronę.

Potem przerzuciła łepetynę ku dębowi i pobiadoliła nad nim nieco. Nawet łezkę uroniła.

Moje… usłyszała w środku siebie.

– Eeee! Zawrzyj pysk! Za moje cycki pysk stul i ani mi się waż słowem bąknąć!

Sama zaś pogłaskała martwy dąb po korze i pomamrotała doń czule. Na koniec zerwała mu jeden z żołędzi i zacisnęła w pięści, całując nawet po matczynemu.

– Odrodzisz się, mój najmilszy, nic się nie bój.

I zmrużyła oczy, starając się przejrzeć dziwnie nieznajomą okolicę.

Że noc była wtedy i deszcz zalewał obraz, to wiedziała, ale żeby wokół kurhanu rozlewało się malownicze i niemal bezkresne jezioro, tego się nie spodziewała.

Chwilę wodziła starczym wzrokiem po wodzie, po górach i lasach. I dumała.

– Takie baje zatem. Hmm.

Na koniec z żołędziem ukrytym w dłoni, ściskanym przy sercu, ruszyła przed siebie, dokąd poniosły ją kuśtykające nogi.

* * *

„Olcha…”

Od wieków nie wymawiała tego imienia.

– Nazywam się Olcha – głos wiedźmy rozbrzmiał w uszach zasłuchanego wilkara.

Sama kobieta spłoszyła się na ten dźwięk.

– Ech, co ci będę bajać, Wilko. – Starucha machnęła chudą ręką. – Szkoda gadać, jak nie ma o czym mówić. No, ruszże się do jakiej roboty. Zawczasu żeśmy siedli, wody w izbie nie ma na parzenie ziółek. Nanosiłbyś, dziecko. Stoi i piękni się.

– A potem pobajasz mi o tym, pani? – nalegał, choć przymilnie.

– A pobajam, pobajam, chyba jak mi jedna taka sukowata młodość wróci!

– Co, pani? Jak suka znowu? – Śmiał się.

– A, niech cię bogi bronią przed przypominaniem jej! Padliny obmierzłej zalarwionej. Nuże bierz mi wiadra, wody nanoś.

Westchnął w ociąganiu.

– Piękni się i miny stroi, ech. – Machnęła nań ręką. – Przejść się muszę, rozgonić coś ze łba.

Tak w istocie rozeszli się, każde skrywając wesołość wobec drugiego. Wilkar po wodę ku stawom, wiedźma zaś na Uroczysko pod Świętego Dęba, którego to sama sadziła przed setkami lat z małego żołędzia.

Tym razem już w drodze poprzez Uroczysko wiedźma czuła, że skręt w trzewiach znaczył o wiele więcej niż tylko ból wspomnień. Nozdrza starej rozwarły się, a nogi same zwolniły. Dobrnęła łąką pod Świętego Dęba, zasłuchana w to, o czym szumiał.

Agata Kasiak – autorka powieści *Baśń o Wilczej Dolinie*, *Wiedźma z Bronaczowa*, *Radosna Nowina* i *Mogiłka*.

– Mmm… – mruknęła w niedowierzaniu.

W głowie mignął obraz, potem drugi.

Ujrzała to, złapała wizję.

Szuwary poruszane letnim, wieczornym wiaterkiem. Leciutko zmarszczona tafla wody. Przybrzeżny piasek chłonący rzęsistą, karmazynową ciecz. I ciało. Stygnące, nagie ciało z rozprutą krtanią. Przerażone oczy z obrazem mordercy odbitym na zawsze w źrenicy.

Wiedźma weszła w nie całą sobą, poznając potwora.

– Przeklęty… – wymamrotała, wracając do rzeczywistości. Warknęła do siebie odruchowo.

Dąb zaszumiał liśćmi żałobnie. Jak zawsze, gdy krew spłynęła w Wilczej Dolinie.

Psychologiczne fantasy, jakiego jeszcze nie było.
Nie każdy strażnik jest godny zaufania.
Nie każdy skazaniec jest łotrem.

CICHOSZA
STREFA-CICHOSZA.PL

Kij w mrowisko

rozmowa o stanie polskiego rynku recenzenckiego z Izą w Krainie Słowa

Prowadzi: Anna S. Cichosz

Izabela Pichla-Kapuściok: znana jako Iza w Krainie Słowa. Aktywnie przyczynia się do szerzenia literatury w mediach społecznościowych, gdyż książki nie tylko czyta, ale również opisuje je i opiniuje. Sama siebie nazywa słowoholiczką i gadułą. Jak się okazuje, ma do powiedzenia wiele ciekawych rzeczy.

Żeby zatem było „po bożemu" i tak jak akademickie kręgi chcą, zacznijmy od terminologii. Zdejmie to z nas poczucie winy, gdyby ktoś nam zarzucił działanie nieprofesjonalne. No to czym właściwie jest ta recenzja?

Recenzja dla mnie – i to jest moje subiektywne zdanie, tego się będę trzymała – to jest taka forma polecenia mi książki, z której coś wiem, ale nie za dużo. Nie są mi zdradzane smaczki, ale wiem, kto to napisał, jaki to jest gatunek, mniej więcej co tam się dzieje, czy akcja jest szybka, czy bohaterowie są wiarygodni. Przy czym ja absolutnie nie neguję tego, żeby recenzent gdzieś tam w podsumowaniu napisał, że „mnie osobiście, moim subiektywnym zdaniem ta książka wzruszyła, dała do myślenia, odrzuciła albo dla mnie jest zbyt brutalna, zbyt nudna, miała za dużo opisów...". W recenzji jest miejsce na subiektywne uczucia i emocje, ale cała powinna być napisana w tonie obiektywnym.

Przyczepię się do jednego słówka, którego użyłaś, ale przyczepię się pozytywnie, bo mi się ono podoba. Mianowicie: FORMA. Dla mnie pewnym wyznacznikiem obiektywizmu jest to, czy została zachowana forma recenzji. Mam wrażenie, że zapominamy o tym, że recenzja to jest przecież również FORMA LITERACKA. Zamiast tego, mamy dzisiaj tendencję do czepiania się szczegółów dotyczących świata i historii w kontekście absurdów. Gdybyśmy wydawali *Harry'ego Pottera* dzisiaj i nagle te wszystkie „recenzje" instagramowe i fejsbukowe zalałyby ten tytuł

i powyciągały tylko te absurdy, te teksty, które wyrwane z kontekstu faktycznie się wydają zabawne, to czy nie okazałoby się, że ostatecznie mało kto przeczytałby książkę? I czy te „recenzje" oddałyby faktycznie to, o co w tej literaturze chodzi?

Widzisz, moim zdaniem recenzje też się dzielą. Źle powiedziałam. To nie są recenzje. OPINIE bookstagramerek również się dzielą. Dzielą się na patronackie, czyli „dostała książkę i czuje się w obowiązku napisać o niej dobrze". Oraz te w miarę prawdziwe, którym ja jestem bardziej skłonna uwierzyć, gdy ktoś kupił sobie książkę, wypożyczył z biblioteki, przeczytał i chce się podzielić swoimi odczuciami. Ja typowej recenzji nigdy nie napisałam i prawdopodobnie nigdy nie napiszę z przyczyny czysto

technicznej. Instagram przyjmuje 2200 znaków ze spacjami. Nie napiszesz recenzji… PRAWDZIWEJ RECENZJI, mieszcząc się w 2200 znaków. Jak ja mam pisać recenzję w poście i potem piętnaście komentarzy, żeby ona miała ręce i nogi i była faktycznie odzwierciedleniem tego, czym powinna być recenzja, to ja wiem, że tych piętnastu komentarzy poza autorem nikt nie przeczyta. Dlatego ja nawet patronackich recenzji nie piszę. Ja piszę o książce kilkanaście postów, każdy o czym innym. Czasem jest o bohaterach, czasem o akcji, a czasem o tle. Ale w życiu nie nazwę tego recenzją. No weźmy na przykład Twoją książkę. 700 stron. Z Klubu Grubasek. Jak mam napisać recenzję na 2200 znaków? Nie da się. Jest ogrom postaci, dużo się dzieje. Żeby chociaż wyjąć to, co najważniejsze – no nie ma szans. I wiesz, co jest najgorsze? Że na te „recenzje" od tych „recenzentów"… trudno mi to przechodzi przez gardło…

Opiniowaczy? (śmiech)

Tak. Ale najgorsze, że nawet wydawnictwa nie zwracają na to uwagi. Wiadomo, że im się bardziej opłaca rozesłać egzemplarze recenzenckie do takich osób, bo tu się reklama sama nakręci. Wyślą do 250 ludzi, z czego 200 coś napisze. Bo są tacy – ja ich nazywam zbieraczami książek – których autor po trzech miesiącach pyta, gdzie jest obiecana recenzja, a oni się wtedy dziwią, że już mieli przeczytać. Albo stwierdzają, że to nie ich gatunek. No to po ch… chusteczkę chcieli tę książkę?

O tak! (śmiech) To są moje „ulubione" opinie, które mówią, że coś jest słabe, bo recenzent woli inne książki. No i znowu wracamy do tego, co powiedziałaś na początku o tym obiektywizmie. Bo oczywiście nigdy żaden tekst nie będzie w stu procentach obiektywny, ale wydaje mi się, że mamy pewien warsztat, pewną drogę, która nam pozwoli na profesjonalizm, tyle tylko, że z tej drogi nie korzystamy. Mianowicie: właśnie ta forma recenzji. Bo jeśli sobie ten nasz tekst przefiltrujemy przez to, co recenzja powinna zawierać, to bardzo szybko widać, co należy usunąć, co inaczej ująć, co dać na koniec, a z czego w ogóle nie trzeba się odbiorcy recenzji spowiadać. Np. bardzo częstym grzechem recenzentów jest za dużo wstępu, a później za mało merytoryki.

To, co powiedziałaś: mamy ten rdzeń. My – ty i ja – wiemy, czym jest i z czego składa się recenzja. Ale gros ludzi nie ma o tym zielonego pojęcia. Wydaje im się, że recenzja to: „co ja myślę o książce". Tak, ale to też trzeba ubrać w pewne ramki. Te ramki są płynne, one nie są przybite na stałe, ale musisz się czegoś trzymać. Przede wszystkim podstawy ze szkoły: wstęp, rozwinięcie, zakończenie. A nie, tak jak mówisz, kilometrowy wstęp i zakończenie. Albo od razu rozwinięcie bez wstępu i nie wiem, co czytam. To wymaga trochę wysiłku, pracy i zainteresowania się. Fajnie dostać książkę za darmo, ale to teraz trzeba usiąść, przeczytać i napisać coś składnie. Nie może być tak, jak ostatnio czytałam w „recenzji", że autorce chyba odbiło, bo zrobiła czarnym bohaterem blondyna o kobiecej, delikatnej urodzie. Bo przecież zły to musi być brunet, dobrze zbudowany, jakiś macho, nie wiem... I to był przyczynek do tego, że czytelniczka, bo nie nazwę jej recenzentką, dała książce słabą ocenę.

Wow. Niestety, cały ból polega na tym, że nie jestem zaskoczona tym, co mówisz, bo faktycznie też się spotykam z sytuacjami, w których ktoś bardzo psioczy na książkę przez jeden szczegół. I wracamy do tego przykładu z recenzji, że „słaba książka, bo zazwyczaj czytam inne gatunki". Recenzent absolutnie nie powinien nigdy powiedzieć takiego zdania, a co dopiero napisać go i jeszcze opublikować. Jesteśmy wtedy już na całkowicie straconej pozycji, jeśli chodzi o profesjonalizm. Nie wyobrażam sobie, żebym ja miała coś takiego napisać, choć zdarza mi się ostatnio pisać recenzje książek, które nie są ani w moim guście, ani, co więcej, nie jestem nawet ich targetem. I naprawdę można wyjść poza swoje upodobania, poza to czy ci się książka podobała i skupić się po prostu na tym, jak ta książka jest napisana. I chyba dlatego, jeśli ktoś mi zarzuci brak warsztatu, to jest to dla mnie największy ból. To, że komuś się nie podobają bohaterowie, to jest logiczne, nie jestem w stanie napisać bohaterów, którzy będą się tak samo podobali każdemu. Do tej pory się nie zdarzyło, ale czekam, aż będzie taka porządna recenzja hejterska. (śmiech)

O, do warsztatu też się lubię przyczepić. (śmiech) Ale to, co powiedziałaś, że czytasz książki, których

normalnie nie szukałabyś i nie sięgnęłabyś po nie... widzisz, ja tak mam z fantastyką. Całe życie omijałam, oczywiście poza *Harrym Potterem*...

To jest chyba taki osobny gatunek: *Harry Potter*. (śmiech)

Tak, osobny gatunek. Dokładnie. (śmiech) Ale ja zaczynam czytać fantastykę. Nie wszystko mi się podoba i jeśli piszę o książce z gatunku fantasy, od razu zaznaczam, że ja się dopiero uczę tego gatunku. Nie będę więc wymyślać w recenzji czym i kim się dany autor inspirował. Daj mi kryminał, a bez problemu powiem, co jest w nim podobne do innych książek.

Ważna rzecz: zaznaczasz to, że coś nie jest dla Ciebie, ale nie oceniasz przez ten pryzmat. U siebie również tego pilnuję. Pierwszą książką, którą oficjalnie zrecenzowałam na moim blogu była *Mroczna strona Forkisa*, tytuł z gatunku SF, którego fanką nie jestem. Mimo to książkę oceniłam bardzo dobrze. Mogę polecać ją w ciemno, bo jest warsztatowo dobrze zrobiona i nie ma w niej kaleczenia języka polskiego. Ostatnio było o młodzieżówce, których unikałam nawet jako młodzież. I nie mogę co drugie zdanie pisać: „Ja wolę poważniejsze tematy, więc tu jest słabe to, to i to". No nie. Piszę tylko to, co obiektywnie można ocenić, czyli język, warsztat itp.

Wiesz, co jest jeszcze ostatnim trendem w recenzjach? My możemy zwracać uwagę na język, na warsztat, na konstrukcję zdania, na powtórzenia... A „recenzje" popełniają osoby, które można opisać jako „polska język – trudna język". Błędy ortograficzne, stylistyczne, gramatyczne, zdanie na piętnaście linijek i ani jednego przecinka, używanie słów, których się nie rozumie. Gdzieś się przeczytało, a nie zna się znaczenia.

Wiemy, że w Internecie źle się dzieje językowo na każdej płaszczyźnie. Ale źle napisane recenzje bolą bardziej. Jak można w ogóle traktować poważnie takiego „recenzenta", który wspomina, że w książce było dużo literówek, a ja nie jestem w stanie zrozumieć połowy zdań tej jego „recenzji"? To wkurza, bo mówią: „czytaj książki, a będziesz się lepiej wypowiadać". No niestety, patrząc na dzisiejsze książki, nie można się z tym zgodzić do końca. Recenzenci wcale nie są lepsi, jak widać.

Postawa wydawnictw... Nie mówię już nawet o małych wydawnictwach, ale o naprawdę dużych, które na to nie zwracają uwagi. Przecież każdy pracownik w każdej firmie jest wizytówką danej firmy. Taki recenzent jest w pewnym sensie wizytówką wydawnictwa. U mnie nawet dłuższe posty na FB przechodzą korektę. A już zwłaszcza, jeśli współpracuję z jakimś autorem, to staram się, żeby recenzji jego książki nie można było nic zarzucić od strony języka i żeby nie rzutowało to tym samym na odbiór jego dzieła. No i tutaj pytanie do Ciebie. Bo czy faktycznie takie rzeczy rzutują źle? Zastanawiam się, co było pierwsze: kiepska kultura, która ukształtowała kiepski gust społeczeństwa czy społeczeństwo się skiepściło, w wyniku czego wytworzyło kiepską kulturę? Jak myślisz? Czy te słabe recenzje są wynikiem tego, że czytelnicy przestali być wymagający? Czy może czytelnicy już się nauczyli, że nie ma czego wymagać?

Kultura i sztuka to od wieków był wyższy level. Bo mógł ojciec synowi wyrzeźbić konika z drewna, a obok tego Michał Anioł tworzył swoje dzieła. I nie ma tu porównania. Ale ten chłopiec był zadowolony ze swojego drewnianego konika i wcale nie był mu potrzebny żaden Michał Anioł. Bo nie miał możliwości poznania jego sztuki. To było dla wybranych, dla elit. Jak długo chłopstwo nie potrafiło czytać i pisać? Trzeba było iść z tymi sprawami do plebana. A teraz jesteśmy przyzwyczajeni, że dostajemy wszystko instant. Dzisiaj mam dzieła Michała Anioła po kilku kliknięciach w komputerze. Nie muszę jechać do muzeum.

I to, co mówisz, można przełożyć na literaturę. Bo wspomniałaś, że nie da się zamknąć recenzji w dwóch tysiącach znaków. Oczywiście. Tylko teraz pytanie: kto by te więcej znaków czytał, skoro na wszystko nam brakuje czasu i jak nie zainteresujemy czytelnika trzema pierwszymi zdaniami posta, to zjedzie na dół tablicy? Tak samo jest chyba z książkami. Po całym dniu pracy i myślenia najłatwiej sięgnąć po czystą rozrywkę. Z jednej strony rozumiem, a z drugiej szkoda mi, bo przez to najłatwiej jest się wypromować osobom, które piszą o toksycznych relacjach. One są najatrakcyjniejsze i „takie romantyczne". A skoro ludzie szukają takich książek, to co im jest potrzebne w recenzjach? Jedynie dowiedzieć się

czy jest On, czy jest Ona, i czy będzie bzykanko.

Jak byłam w Krakowie i w Katowicach na targach książki, to obserwowałam rozmowy czytelników z autorami. I często zadawane było pytanie: „Czy jest tutaj happy end?”. Wydaje mi się, że to już nawet nie gatunek jest ważny, tylko, żeby książka nie dołowała.

À propos dołowania… Powiedziałaś na początku coś bardzo smutnego: że pewnie nigdy nie popełnisz recenzji. A ja myślę, że właśnie takie osoby, jak Ty, powinny je pisać. Dziękuję za rozmowę i obyś jednak zmieniła zdanie i uraczyła nas niejedną pełnoprawną recenzją.

Anna S. Cichosz – autorka książki fantasy pt. *Ziemia winowajców* oraz prawdziwy człowiek orkiestra.

Pełna rozmowa w formie wideo dostępna dla patronów czasopisma „Daję Słowo”.

Antologie od Samowydawców,
których opowiadania
na długo **w Tobie zostaną.**

Laleczki z Phantom Pressu

Roast Bigos & Halski

Leszek Bigos

Lubicie kino klasy B? Albo horrorowe książeczki z lat dziewięćdziesiątych, które mieściły się w tylnej kieszeni spodni? Jeśli tak, to szykujcie michę popcornu, bo będziecie mieć dużo dobrej beki. Czy zgodnie z intencjami autora, czy wbrew nim, to już inna kwestia.

Laleczki to historia Horensa, który jest cesarskim Głównym Czyścicielem, czyli specjalistą od wymazywania z podbitych ziem śladów lokalnych wierzeń, często razem z ich kapłanami i wyznawcami. Kiedy w jednej z prowincji wracają ślady dawnego kultu, giną cesarscy urzędnicy, a przy trupach ktoś zostawia zakrwawione laleczki z bijącymi sercami, Horens musi stawić czoła potężnemu wrogowi i swojej przeszłości.

Marcinie Halski, mordeczko... Błagam, powiedz, że napisałeś to wszystko z rozmysłem. Że tak miało być. Wówczas klękam i nazywam Cię pisarskim Tromą i Lloydem Kaufmanem. W przeciwnym razie, Ty klękaj, Ziom.

À propos klękania, książka Marcina jest jak Sasha Grey. Nie dlatego, że mamy do czynienia z laleczką nadziewaną z każdej strony. Chodzi o to, że będziecie musieli uruchomić wyobraźnię, by pozapychać w niej dziury zostawione przez pewnego włochatego ch...alskiego.

Na dzień dobry dziura gatunkowa – zostałem pozbawiony mojego voodoo-horroru. Okładka i opis obiecują seans tego, z czego Sasha Grey słynie, a po odpaleniu okazuje się, że to stream gry video z jej Twitcha. Nie na to się pisałem, panie Halski!

Zresztą, trzeba się w ogóle domyślić, z jakim gatunkiem mamy do czynienia. To detektywistyczna robota! Sceny często dzieją się na zielonym ekranie, a opisy jak już są to z reguły enigmatyczne na ile się da. Przykładowo, „bogato zdobione budynki" czy sala wykładowa mogłyby istnieć w dowolnych czasach, bo nie mają żadnych osobliwych cech. Podobnie statek, którym płynie bohater: mógłby się równie dobrze nazywać „Santa

Maria" albo „Stefan Batory". Dopiero po kilkudziesięciu stronach i zebraniu poszlak typu „tu miecz", „tam powóz" zaczynamy łapać: aha, to paraśredniowieczne fantasy. Z wyglądem bohatera to samo: dopiero na 31. stronie pojawia się jakakolwiek wzmianka, a w okolicach setnej wreszcie byłem w stanie złożyć kolesia do kupy z rzucanych tu i ówdzie ochłapów.

Ten cały Horens to też niezła historia. Od typa z podobną przeszłością oczekiwałbym jakiejś odporności psychicznej. Co on taki emocjonalny? Na sam dźwięk nazwy „Harwyn" robi w gacie, do sali tronowej wchodzi na miękkich nogach, choć przez lata rezał innowierców, zostawiając po sobie zmaltretowane zwłoki na ulicach. Tymczasem nieomal krzyczy na widok zmasakrowanej twarzy pierwszej ofiary, po czym razem z cesarzem kręcą bekę z trupa (LOL, frajer, coś mu nie pykło, 2/10), a potem znów przez kilka dni przeraża go samo wspomnienie zakrwawionej laleczki. Chłopie, jak jesteś tak niestabilny emocjonalnie, to weź ty się zajmij hodowlą jedwabników, a nie eksterminowaniem mniejszości religijnych!

Pierwsze pół książki mocno pachnie Jackiem Piekarą: mamy naszego „inkwizytora", który prowadzi śledztwo i muszę powiedzieć, że już Inspektor Gadżet jest bardziej kompetentny. Gdybym walił shota za każdym razem, gdy jakaś scena kończy się zwrotem typu: „nie dowiedział się niczego ciekawego" albo „rozmowa rzuciła niewiele światła na sprawę", to bym przybił gwoździa przed dwusetną stroną. Na szczęście, jak w każdym filmie klasy B, wskazówki mają w końcu dosyć debilizmu bohatera i same rzucają się na niego, mówiąc „tędy, gamoniu", żeby reszta książki mogła się zadziać.

Jeśli ktoś, jak ja, nie lubi takiej zamuły, to z ulgą stwierdzi, że od połowy robi się dużo krwiściej i mięsniej. Ale nie myślcie, że złodupność Horensa jest w jakimkolwiek momencie zagrożona: zawsze, kiedy trzeba, dzięki magii odpala „god mode" i wpada w tryb berserkerski, co się akurat bardzo przyjemnie czyta.

A co z pozostałymi postaciami? Cieszę się, że pytacie.

Merind – magiczka, pomocnica Horensa. Jest trochę jak Penny z Inspektora Gadżeta: gdyby nie to, że ma kawałek mózgu, główny bohater zginąłby marnie. Przy okazji... Czy ja dobrze widzę? Kobieca postać nosi „magiczną zbroję niepozostawiającą wiele dla wyobraźni"? W 2023 ROKU?? To musi być celowa prowokacja! Autor, ani chybi, chce zirytować pewne środowiska i nałapać fejmu, płynąc na kontrowersji. Niech będzie, Marcin, chętnie Ci pomogę.

Na głos: „FEMINISTKI, ALAAARM! Złapałem dziadersaaaa!!! Bierzcie pochodnie i widły! Lincz! Lincz!". Szeptem do ucha autora: „Halski, odpalaj kasę fiskalną, będą żniwa".

Postaci... Kogo my tu jeszcze mamy? No tak, główny złol. Bezspoilerowo: okazuje się nim najbardziej irytująca postać z całej książki. W sumie powinienem być wdzięczny, bo już dużo wcześniej, nim się ujawnił, życzyłem mu śmierci.

A, no i gwiazdy wieczoru, ha, ha, ha! „Najlepiej przeszkoleni ludzie w cesarstwie", Matip i Slaw, moje zuchy... Marcin, po co stworzyłeś tych NPC-ów? Nic o nich nie wiadomo, mało co mówią i na nic się nie przydają. Przez niemal sto stron snują się za głównymi bohaterami jak smród po kalesonach i nagle po prostu znikają. Bez kitu: jedyne, co udaje im się osiągnąć, to podczas wyprawy zgubić przewodnika. I to jak? Poszedł w krzaki na siku i uciekł! Nie żartuję, po prostu turbo LOL.

Trzeba jeszcze wspomnieć o stronie warsztatowej, bo tu naprawdę leży sedno jednoczesnej frustracji i dobrej zabawy.

Książka byłaby o wiele lepsza, gdyby autor trzymał się zasady „pokaż zamiast opisywać". Zbyt wiele scen wygląda jak dialogi z gry *Wiedźmin 1*, gdzie postaci deklamują z kijami w zadku, kiedy nagle w środku dialogu narrator wciska pauzę i zaczyna uskuteczniać czyjąś emocjonalną wiwisekcję na pół strony. Gdyby postaci zachowywały się w adekwatny sposób, czytelnicy sami wyciągaliby odpowiednie wnioski i narrator nie musiałby nam ich narzucać. A tak to stoją jak kołki, a narrator dopowiada „ona czuje to i to". Chciałbym mieć takiego, może bym w końcu zrozumiał kobiety.

Najbardziej jaskrawy przykład to nasza magiczka, która rzekomo musi zmagać się z wieloma wyrzeczeniami i obciążeniami, by zgłębiać magię. A jak się o tym dowiadujemy? Narrator nam mówi, ot tak, z offu, a my mamy mu wierzyć. U Sapkowskiego Yennefer przez zgłębianie magii nie mogła mieć dzieci i chęć zmazania tej skazy zdeterminowała jej osobowość i motywacje. A tu? Widzimy tylko nieskalany, gotowy produkt jakichś „wyrzeczeń". Laska pociera palcami i wytwarza pole siłowe, którego nic nie przebija, więc jest praktycznie nietykalna. OK, czas i wysiłek wpływają negatywnie na siłę jej magii, ale nasz bohater ma i na to swój sposób, he, he, poczekajcie.

To, że w książce nie ma horroru, nie wynika bynajmniej z braku starań autora. Tyle że dla mnie to nie działa, bo raz jeszcze: narrator mi co chwilę mówi, co czuć, nawet kiedy nic się nie dzieje. Mamy überdramatyzacje niczym „WTEM!" w komiksach, jakieś wyrazy strachu czy niepokoju albo wstawianie wątpliwości tam, gdzie ich nie ma. Wychodzi jak w bajce Ezopa o chłopcu, który krzyczał „wilk!", a kiedy cała wioska przybiegała, by bronić stada owiec, okazywało się, że chłopiec ściemniał i wilka nie było. Wreszcie tak się znieczulili, że kiedy wilk faktycznie przyszedł, to mieli już wywalone.

Z jednej strony autor pompuje napięcie tam, gdzie go nie ma, a z drugiej jest tu tyle potencjalnie sztosowych scen, z którymi nic nie robi, że aż zgrzytam zębami. Raz miałem ochotę wywrócić stół, kiedy zrobił tajemnicę na pół książki z tego, co się stało podczas masakry w pewnej

wiosce. Spodziewałem się jakiejś spektakularnej kulminacji w drugim akcie. I co? Główny bohater… ujawnia to w scenie dialogowej z magiczką. Tak po prostu, znowu *Wiedźmin 1* się kłania. Siedzą, gadają, Horens wyprztykuje się ze wszystkiego, a ze mnie całe powietrze uchodzi. Autor spoileruje mi swoją własną historię!!! Kiedy w końcu trafiają do wioski, jest niby jakaś retrospekcja, ale to już jak czipsy i Sasha Grey zamiast kolacji ze śniadaniem.

Postaci mówią takim samym głosem jak narrator. Wszystkie. Gdyby ktoś pousuwał pauzy, w większości przypadków bym się nie połapał, gdzie dialogi się zaczynają, a gdzie kończą.

Wielokropkoza. Autor bardzo lubi stawiać… wielokropki. Zapewne myśli, że jeśli nastawia ich… wystarczająco dużo, to dialogi staną się bardziej… intrygujące. Zresztą… co tam dialogi. Wielokropkoza jest też u… narratora, co jeszcze bardziej… rozmywa granice między nim a postaciami.

No dobra… bo tak siedzę i wywiercam książce nowy otwór, ale wnioski, panie, wnioski! 1/10? No właśnie nie!

Zastanawiam się, jak to opisać… Czytasz *Laleczki*, widzisz te wszystkie babole i zaczynasz się coraz bardziej denerwować, aż przychodzi taki moment, że stwierdzasz „fuck it, zobaczmy, jak bardzo porąbane może być". I nagle wady zaczynają się zmieniać w zalety, jak z filmami klasy B, o których wspominałem, czy kieszonkowymi horrorami Phantom Pressu. Muszę się chyba posilić fragmentem, żeby to zobrazować jak trzeba.

Strona 134. Bohaterowie są w jaskini, atakowani przez potężne cienie, których nie potrafią zabić. Jedyne, co ich chroni, to pole siłowe, którym czarodziejka blokuje wejście do jaskini. Cienie atakują całą noc, świt blisko, magiczka, w której główny bohater się podkochuje, jest u kresu sił. A co robi nasz Romeo? Przytula ją i… ehem, ehem… tu cytat.

„Kojącym, niemal monotonnym tonem (»tonny ton«, he, he – L.) opowiadał czarodziejce o wszystkim: o dziwnej obecności, o głosach, o ofiarach, o mordach oraz hektolitrach krwi na rękach. O Bogach, duchach, demonach i wyznawcach. Chciał, by skupiła się na nim, na przeszłości, przyszłości, na czymkolwiek, byle tylko nie zwracała uwagi na zagrożenie czające się pod jaskinią".

Zwizualizujcie to sobie. Koleś, żeby pokrzepić laskę i dodać jej sił,

opowiada o ofiarach, mordach, hektolitrach krwi i całej reszcie. By nie zwracała uwagi na zagrożenie. Dobra robota, Sherlocku. Na drugi raz przejdź się na onkologię i dla pokrzepienia odwróć uwagę pacjentów historiami o leczeniu kanałowym zębów, porodzie i kamicy nerkowej. Już cukier krzepi lepiej od ciebie, dżizas!

Czaicie?

W pewnym momencie książka staje się tak odklejona, że nie da się jej nie polubić! Tylko trzeba mieć odpowiednio skrojone oczekiwania. Jakbym miał podsumować jednym zdaniem, to *Laleczki* są tak złe, że aż zarąbiste.

PS Pozdro, Marcin, mam nadzieję, że się nie obrazisz za ten tekst i skrzyżujemy kufle przy najbliższej okazji.

Leszek Bigos – wybrał self-publishing, by mieć kontrolę nad każdym aspektem swojej twórczości.
www.platinumstory.com

Bigosik z jąderek

Roast Bigos & Halski

Marcin Halski

Zazwyczaj, gdy wracam do domu z nową książką, aż mnie nosi z ciekawości. Przestępuję z nogi na nogę, marząc o otwarciu jej na pierwszej stronie i zanurzeniu się w historii. Ostatnio jednak „tuptałem" z innego powodu – moje uda odruchowo próbowały osłonić to, co najcenniejsze, podczas gdy oczy wpatrywały się w tytuł najnowszego nabytku. *Kastrator* Leszka Bigosa odpychał i ciekawił zarazem, a mimo to czułem się nieswojo. Czy lęk, który towarzyszył mi przed rozpoczęciem lektury, był słuszny?

Mimo że więcej dzieci nie planuję, odpowiem: TAK!

Trzeba przyznać, początek mnie zaciekawił – na starcie dostajemy interesujący natłok myśli bohatera po pierwszej „akcji". Od razu zwróciłem uwagę na konkretnie poprowadzoną narrację i ciekawy styl autora. Co prawda bardzo łatwo przyszło naszemu bohaterowi doprowadzić siebie i mieszkanie do porządku po takim hmm... czymś, ale oglądałem na tyle mało kryminałów, że nie mogę się wypowiedzieć. Po kilku stronach odetchnąłem z ulgą, bo nie zapowiadało się źle – to dziwne narzędzie z okładki mogło być tak naprawdę na pokaz, a tytuł tylko chwytem reklamowym, nie? A potem doszedłem do pierwszego jądra.

Jeżu przenajświętszy, może najpierw podsumuję: przez większość czasu nie potrafiłem znaleźć odpowiedniej pozycji do czytania – kręciłem się, obracałem z boku na bok, kładłem na wiadomym miejscu poduszki, inne książki, a nawet kota – cokolwiek, żeby tylko dać sobie iluzję bezpieczeństwa (choć to ostatnie mogło się źle skończyć). Możliwe też, że płakałem. Nie wiem, staram się zapomnieć o wielu fragmentach tej książki.

Z pewnością autor ma zadatki na sadystę i to takiego konkretnego – gdy tylko udało mi się wymazać z pamięci pierwszą scenę i podcinane nasieniowodów oraz uspokoić skołatany umysł, pojawiała się kolejna. I dam głowę,

że to specjalny zabieg, który miał doprowadzić przeciętnego faceta do nerwicy.

W pewnym momencie mózg mi się wyłączył i czytałem tylko oczami. Często musiałem cofać się o parę stron, żeby nie pogubić się w historii. Robiłem to jednak ostrożnie i na czuwaniu, żeby tylko nie natrafić na fragment z moszną. A zaznaczę, że nie należę do osób wrażliwych.

Brzmi boleśnie? Tak było, nie kłamię. Ale przejdźmy jednak do samej fabuły, bo o to chodzi w belerystyce.

Główny bohater to ojciec dojrzewającej dziewczynki (co tłumaczy swego rodzaju frustrację)

i rozwodnik (tu kwestia frustracji sporna). Ot, przeciętny, choć wysportowany gościu. Wziął sobie na pierwszy cel znanego z pedofilskich akcji księdza. I słusznie! Nie od dziś wiemy, że nasz system słabo działa i wielu popaprańców biega sobie na wolności. Po kilku początkowych stronach Pan Leszek opisuje przygotowania, planowanie i tłumaczy (pokątnie), w jaki sposób przeciętny człowiek koło czterdziestki nauczył się profesjonalnie kastrować. Następnie dochodzi do „jądroczynów".

Potem mam czarną dziurę, chyba było coś o zszywaniu, podcinaniu i latających po trawie jajach.

Następnie pojawiły się opisy codziennego życia naszego Jądermana. Przyznam szczerze, nie mogłem nijak nadążyć za tokiem rozumowania Wiktora. Ot belfer, który w wolnych chwilach ściąga majtki usypianym wcześniej facetom. Tu uczy historii w szkole, tam biega w kominiarce z narzędziami chirurgicznymi w plecaku. Nawet dziewczynę sobie w którymś momencie znalazł spryciarz. Wprost nie mogłem uwierzyć – pomiędzy kastrowaniem a lekcjami próbował ułożyć sobie życie prywatne. Jak ja mu kibicowałem. Powtarzałem

niczym jakąś mantrę słowa „zostań z nią, przeleć, zostaw tę moszną, wracaj do niej i przytul. Cycki... myśl o cyckach, nie o penisach".

Jakie próżne były moje nadzieje. Człowiek, którego profil stworzył autor, jest na tyle popaprany, że nie ma szans na związek, ale o tym za chwilę.

Książka składa się z normalnych rozdziałów i czegoś w rodzaju wstawek. Przez większą część powieści nie wiemy, kto opowiada te drugie. Poza tym, że to facet porywający i mordujący małe dziewczynki. I tu drugi przytyk od mojego zmysłu estetycznego – po co tyle szczegółów? Niczym horrory w kinach, niektóre fragmenty czytałem przez palce, odruchowo starając się nie patrzeć. Gwałtu, rety, dlaczego, Panie Leszku, dlaczego tak brutalnie?!

Jedno jednak trzeba przyznać – takie drobiazgowe opisywanie sprawiło, że szczerze nienawidziłem typa i życzyłem mu najgorszego, ale po bodajże trzecim gwałcie zaczęło mi drgać lewe oko.

Znowu zboczyłem z tematu. Fabuła! Nasz Wiktor już po pierwszym kastrowaniu wie, że postąpił nierozważnie, postanowił przestać szaleć i bawić się w chirurga – amatora. Do momentu, w którym za jego zbrodnię oskarżono niewinną osobę. Zobaczył to w telewizji (zawsze powtarzałem, że TV szkodzi) i od razu wpadł na genialne rozwiązanie problemu – będzie kastrował dalej. Jak pomyślał, tak zrobił: nauczył się poruszać w sieci, prowokować zwyrodnialców i podawać się za nieletnie dziewczę. Duży plus za pomysł, ogromny minus za wykorzystywanie w swoich planach nastolatek. Efekt jednak był taki, że zapędził w pułapkę kolejnego szubrawca.

Znowu czarna dziura w czytaniu. Było coś o sikaniu, samochodzie, kolejne jaja na trawie i trochę więcej krwi.

Teraz zaczęło się wszystko rozkręcać. Doszedł strach o córkę – zbok ze wstawek pozostawał nieuchwytny i grasował w jego okolicy, pojawiły się wzmożone napięcia z ekszoną, a na dodatek pokusa podcinania tego i owego rosła z każdą sekundą. Tego było za wiele dla Wiktora, ale i dla mnie (miałem na tym etapie zakwasy od zaciskania nóg, drgawkę na obu oczach, mętlik w głowie i utraciłem apetyt na pożycie małżeńskie, choć jeszcze nawet żony nie mam).

A potem, niczym mały Kaziu po dużym piwie, nasz bohater

popadł w nałóg gonienia za zbrodniarzami. A widział ich wszędzie – w Internecie, w wiadomościach, na chodnikach, a nawet we własnym znajomym. Szanse na związek spadły do zera, praca stała się nieistotna, a jakiekolwiek zajęcia dodatkowe straciły na znaczeniu. Również ja na tym etapie pożegnałem ukryte marzenia o przeczytaniu mocnego thrillera. Jeszcze przez kilka dni po lekturze wszędzie widziałem jądra na twarzach mijanych przechodniów.

Była szansa (i to solidna) na odratowanie mojej psychiki. Z początku wspomnianego romansu nasz Wiktor smalił cholewki do pięknej pani pedagog. Dostrzegłem dzięki temu jasne światło w tunelu i nadzieję na normalny seks w książce. Borze szumiący, jak ja tego pragnąłem. Ale jak to w tanich erotykach z programów satelitarnych w latach dziewięćdziesiątych bywało – jak długo by człowiek nie czekał, striptiz kończył się przed pokazaniem nagiej piersi. Tak samo było tutaj – mimo że ona miała lat dwadzieścia sześć, a on lekko powyżej czterdziestu, to zachowywali się jak nastolatki przed pierwszym pocałunkiem. Ależ mnie to zabolało. Nie należę do zboczeńców, ale nie oszukujmy się – w pewnym wieku ludzie przy którejś tam randce idą po prostu do łóżka. Ale nieeee... nasz Wiktorek to typowy „mosznafriendly" i tylko latanie ze skalpelem mu w głowie. Nie potrafiłem tego przeżyć, poważnie. Rzadko to mówię, ale seks mógł uratować sytuację.

Ach, byłbym zapomniał o mamie Wiktora. Z początku pojawiła się w książce jakby bez powodu – taka zapchajdziura. Z jednej strony strachliwa, troskliwa i opiekuńcza staruszka, a z drugiej ukrywająca przed samą sobą mroczny sekret. Ale o tym nie będę wspominał, bo nie lubię robić spojlerów. W każdym razie przez lwią część powieści nie miałem pojęcia, co o tym myśleć, a kiedy już się okazało co i jak, jakoś nie mogłem pozbyć się wrażenia, że to lekko naciągane.

Kolejne jaja na trawie, to już zrobiło się przerażające.

Co najbardziej jednak rzuciło mi się w oczy to policja i jej postępowanie. Wiem, że przeważnie działają niezbyt skutecznie, ale no bez jaj (Ha, ha!). Zero tropów w sprawie seryjnego mordercy, zero patroli, wzmożonej aktywności, no nic. Nie potrafili nawet biegać, a Wiktor uciekł im sprzed nosa i to postrzelony w ramię. Nie trafili do jego domu, nie byli

w stanie wyśledzić nikogo i właściwie czułem się, jakbym czytał powieść osadzoną w jakimś zapomnianym przez Boga i Partię mieście, a nie stolicy kraju. Nawet ten zboczeniec ze wstawek bez problemu na oczach ludzi porywał dziewczyny i nie potrafili go znaleźć. Ale tu może daruję autorowi – to nie o służbach ta historia.

Teraz najgorsze: w połowie książki domyśliłem się ostatniej, kluczowej sceny, choć starałem się jej nie wyobrażać, bo wiadomo – jaja na trawie. Było niby po drodze kilka twistów, zwrotów, ale wszystko od początku zmierzało do jednego. Typowo męskie podejście – lecimy z punktu A do punktu B, a punkt G możemy pominąć (chyba, że znajduje się w mosznie, tu trafiamy nie raz).

Tak naprawdę nie daje mi spokoju jedna rzecz: dlaczego autor wziął sobie za cel opisywanie ze szczegółami konkretnych scen? Jak „moszna" tak znęcać się nad czytelnikiem/facetem w sile wieku? Choć sama idea powieści była jak najbardziej słuszna, to sposób jej przekazania aż mną wstrząsnął. Książki powinny wywoływać emocje, dobre i złe, ale, autorze, nie skupiajmy się tylko na jednej stronie przyrodzenia, znaczy widzenia – z penisem można zrobić wiele użytecznych rzeczy, a tutaj szanse na to były niewykorzystane. Jedyna rola narządu została sprowadzona do dźwigania go palcami (fuj, no weź Pan!) i podcinania tego pod spodem.

Swoją drogą, twórca *Kastratora* wisi mi za wizytę u traumatologa, bo ostatnio płakałem, robiąc jajecznicę.

Marcin Halski – z wykształcenia filozof, gitarzysta i pisarz w wolnym czasie. Nałogowy wystawca na imprezach książkowych.

Wykradziona opowieść

samowydawca z przymusu i z serca

Prowadzi: Magdalena Gumowska

Franciszek Piątkowski: autor Uniwersum Powiernika – serii powieści fantasy, która znalazła się w pierwszej 10 najczęściej słuchanych na Storytel – o tym, jak żona wykradła tekst jego pierwszej książki i oddała go do druku za plecami autora.

Opowiedz o swoich początkach z pisaniem. Jak to się stało, że zacząłeś?

Szczerze powiem: ja pisałem w sumie od zawsze. Najpierw były wierszyki; pierwszy dłuższy napisałem w podstawówce. Później pisaliśmy wierszyki z kumplami w liceum z nudów, bo siedzieliśmy zazwyczaj w ostatnich ławkach. Z kolei na studiach miała miejsce moja pierwsza wprawka literacka, ponieważ zacząłem pisać wierszowane bajki (które zresztą pewnie wydam, jak tylko skończę pracę z Uniwersum Powiernika). W 1999 roku w gronie znajomych wydaliśmy tomik poezji rodzimowierczej, w którym znalazły się właśnie te moje bajki. I tak na dobrą sprawę, to była moja pierwsza przygoda z selfpublishingiem.

A jak pod koniec lat 90. udało Wam się zorganizować samowydawanie? Przypuszczam, że było dużo trudniej niż teraz?

W naszej grupie znajomych mieliśmy doświadczenie w tworzeniu forów internetowych i zinów, a ktoś w ekipie miał dojścia do wydawnictwa, więc połączyliśmy siły. Zaczynaliśmy na forum, bo to były czasy przedfejsbukowe, i tam zbieraliśmy teksty. Jeden znajomy zrobił skład, a inny zajął się grafiką. To był żywy, szczery selfpublishing, ponieważ wszystko zrobiliśmy sami, nie zapłaciliśmy nikomu za pracę nad naszą publikacją. Co prawda, trwało to długo. W tamtych czasach mało kto słyszał o samowydawaniu. Nawet jeszcze z 6 lat temu nikomu się nie śniło, że można takie cuda robić, jakie my teraz robimy z Samowydawcami i że można obejść dookoła wydawnictwo. Dopiero teraz powoli staje się to popularne.

A jak się zaczęła historia z pisaniem *Powiernika*?

W tamtym czasie, czyli jakieś 15 lat temu, bardzo się interesowałem słowiańszczyzną i szukałem książek z gatunku fantastyki o takiej właśnie tematyce. Niestety temat nie był popularny i w tamtych czasach mało było wydawanych książek z tym motywem, dlatego nie mogłem znaleźć nic interesującego dla siebie. Wszystkie książki, które znajdowałem, traktowały o wydarzeniach przed panowaniem Mieszka I, w trakcie lub tuż po. Czyli w czasie starcia starego świata – pogańskiego z chrześcijaństwem. Ja, będąc neofitą, marzyłem sobie, żeby słowiańscy bogowie chodzili sobie tu i teraz, między nami. I tak wpadłem na pomysł, że sam sobie napiszę taką właśnie historię. Pisałem hobbystycznie przez ok 5–6 lat w przerwach od pracy zawodowej. Była to moja odskocznia. Potem tekst czekał ponad 4 lata w laptopie.

W historię pierwszego wydania *Powiernika* jest zamieszana Twoja żona Karolina. Powiedz nam, czy ona wiedziała o tym, że piszesz? Wspierała Cię w tym? Czy to była Twoja tajemnica?

Karolina wiedziała, że piszę w wolnym czasie i czytała fragmenty. Chwaliła, mówiąc, że powinienem pójść z tym do jakiegoś wydawnictwa. Ja jednak wtedy odpowiadałem, że zarobiony jestem. Historia z pierwszym wydaniem *Powiernika* była taka, że ona wykradła mój tekst z laptopa, sama ogarnęła skład i okładkę, zebrała ekipę naszych przyjaciół, którzy zrzucili się finansowo i na moje 40. urodziny zrobili mi prezent niespodziankę: podarowali mi 100 egzemplarzy mojej książki.

Czyli zostałeś postawiony przed faktem dokonanym?

Tak, dokładnie. Nie będę więc mówił, że jestem takim „selfwojownikiem", skoro ja po prostu zostałem wrzucony i wysłany w tę drogę wydawniczą.

Jak się czułeś, gdy dostałeś do ręki swoją wydrukowaną, oprawioną książkę, która tyle lat siedziała w Twoim laptopie schowana przed światem?

Byłem oszołomiony. Oprócz tego, że się w ogóle nie spodziewałem takiego prezentu, to wtedy tak naprawdę sobie uświadomiłem

„Kurka wodna, napisałem książkę". Było to tym bardziej szokujące, że zostałem pozbawiony uczestnictwa w etapie pracy między napisaniem a wysłaniem książki do druku i zostałem postawiony przed gotową książką. Po jakimś czasie, jak już opadły emocje, zacząłem się zastanawiać i myśleć: „Super, że mam 100 egzemplarzy swojej książki, ale co ja z nimi zrobię?". Pomyślałem więc, że ogłoszę na grupach rodzimowierczych, do których należę, że napisałem taką książkę, z pytaniem, czy nie chcieliby jej zakupić. I tak w tydzień wszystkie egzemplarze się rozeszły. Wydrukowałem więc kolejne 200 sztuk, które zniknęły równie szybko. Moja książka zaczęła się naprawdę dobrze sprzedawać.

Po jakim czasie wziąłeś się za pracę nad drugą częścią?

Zobaczyłem, że moja twórczość się podoba, postanowiłem, że trzeba iść w to dalej i wydawać kolejne książki. Do tej pory miałem napisanych ok 20–30 stron dalszej historii Marka Lichockiego, które, żeby było śmiesznie, zgubiłem. Zacząłem więc pisać od nowa. Co

na zdj. Magdalena Gumowska z Franciszkiem Piątkowskim

prawda, jak już miałem około 15 stron gotowych, to znalazłem stary tekst. Okazało się, że napisałem praktycznie to samo. Udoskonaliłem i skompilowałem obie wersje, dopisałem resztę i po pół roku miałem już gotową kontynuację pierwszej książki pod tytułem *Widzący*. A później, podczas pandemii, napisałem kolejną część i dwa opowiadania.

Czy ta wersja *Powiernika*, którą można obecnie kupić, z tą okładką i oprawą graficzną, to jest dokładnie to, co stworzyła Twoja żona Karolina?

Nie do końca. W tej chwili pierwszego wydania nie da się już kupić. Na rynku jest dostępne drugie wydanie, poprawione. Ktoś, kto ma pierwsze, z różnymi błędami, za jakiś czas, jak już będę najsławniejszym pisarzem w Polsce, może wystawić je na aukcji i zarobić kupę kasy (śmiech). Front okładki i oprawa graficzna jest taka sama jak na początku, ponieważ Karolina dogadała się z moją obecną graficzką, Martą Żurawską, już wcześniej... Ponieważ wątek okładki to osobna historia. Ja grafikę z okładki miałem u siebie przez kilka lat, zanim dostałem wydrukowaną książkę. Grafikę w postaci obrazka podarowała mi Karolina jako prezent ślubny ze słowami: „Proszę bardzo mężu, to jest okładka Twojej książki, którą mam nadzieję wkrótce wydasz". Powiesiłem sobie ten obrazek w swojej kancelarii i wisi tam do dzisiaj.

Czyli Karolina już wcześniej próbowała Cię zmotywować i zainspirować do wydania swojej książki?

Dokładnie. Nie doczekała się jednak i po 4 latach wzięła sprawy w swoje ręce. Wiesz, jak to jest: za sukcesem każdego chłopa stoi zaradna baba.

Czy Twoja żona wie, jaki jesteś jej wdzięczny?

Tak, wie. Niemalże codziennie jej to powtarzam. Bardzo często opowiadam czytelnikom, jak to się stało, że to moja żona jest ojcem moich książek. Jak wracam do domu po udanych targach książki czy z innego wydarzenia, zawsze mówię jej, że to wszystko dzięki niej. Robię to trochę też, aby ją udobruchać, ponieważ przez moją działalność wydawniczą często wyjeżdżam. Na szczęście sprzedaż idzie bardzo dobrze i są z tego jakieś frukta. Ponadto, w każdej mojej

książce jest dedykacja, czy dla niej czy dla moich córeczek.

Co chciałbyś powiedzieć ludziom, którzy piszą, ale zwlekają z wydaniem i boją się zacząć działać?

Nie bądźcie frajerami. Nie trzymajcie swoich tekstów w laptopach. Zobaczcie, wujek Franek miał 15 lat w plecy. Jeżeli macie gotowe teksty, nie wahajcie się ich pokazać światu. Oczywiście najpierw nad tekstem trzeba popracować i przede wszystkim dać jakiemuś betareaderowi do przeczytania, poznać jego opinię i wprowadzić ewentualne zmiany i poprawki. Jeżeli na początku świat Ci powie, że musisz jeszcze popracować nad tekstem, nie obrażaj się na świat, pracuj dalej, rozwijaj się i próbuj znowu. Uwierz w siebie i nie prześpij swojego czasu. Na początku, jeśli nie jesteś pewien swojej twórczości, możesz publikować w antologiach, pismach branżowych itp. Wielu doradza, aby zacząć od krótszych form. Warto uwierzyć w swój tekst i zacząć działać, a nie kisić go w laptopach.

Magdalena Gumowska – uosobienie radości i ekspresji. Niesamowicie ciekawa świata i ludzi. Współautorka projektu *Dobrze Pojechane*.

SUPERMOCE NASTOLATKÓW

Zorganizowana Zola • Punktualny Paweł • Efektywna Ewka

Agnieszka Żarecka

Książki w wersji papierowej i elektronicznej dostępne na stronie www.zareckaszkolenia.com

Czerwony Kapturek dla dorosłych

recenzja *Czerwonej Baśni* Wiktorii Korzeniewskiej

Anna S. Cichosz

Wątki słowiańskie są obecnie tak popularne nie tylko w literaturze, ale i w szerokiej kulturze, że coraz trudniej o utwór, który nie byłby w żadnym stopniu inspirowany pogańskimi wierzeniami. Rusałki i strzygi ostatni raz były tak mocno na topie w epoce romantyzmu, jednak dzisiaj miłość czytelników do słowiańskiej mitologii zdaje się ciągle rosnąć. Jako że sama należę do miłośników wszystkiego, co zaciąga staropolszczyzną i śmierdzi zmurszałym lasem, z jednej strony zwracam uwagę na literaturę w tych klimatach, a z drugiej jestem wobec niej raczej nieufna i wymagająca. Mimo to niepozorna z wyglądu książeczka Wiktorii Korzeniewskiej skupiła moją uwagę… a następnie całkowicie zauroczyła.

Warto wspomnieć, że mamy tutaj do czynienia z pozycją, która liczy raptem 150 stron. Niewielki gabaryt zawsze weryfikuje zdolności autorów do sprytnego budowania historii i świata przedstawionego. Jako że sama w fantastyce preferuję raczej dłuższe formy, byłam ciekawa, jak z tym problemem poradzi sobie autorka *Czerwonej Baśni*. Nie będę nikogo trzymała w niepewności – poradziła sobie doskonale. Mamy tu naprawdę kawał porządnego warsztatu i kilka niezłych pomysłów na urozmaicenie struktury powieści. Nie są to może zabiegi nowatorskie albo wyjątkowo zaskakujące, ale nie muszą takie być, by dać czytelnikowi satysfakcję.

Równolegle poznajemy historię dwóch dziewczynek, które w odstępie wielu lat wyruszyły w ciemny las, by już nigdy nie wrócić. Taki przynajmniej był plan. Autorka serwuje nam motyw z dobrze znanej baśni o *Czerwonym Kapturku*, ale przepuszcza ją przez kilka mrocznych filtrów, przez co cała historia jest krwawa, niepokojąca i niewiele ma wspólnego z oryginałem, poza młodocianą spacerowiczką w czerwonej pelerynie, na którą w lesie czyha masa niebezpieczeństw.

A skoro o lesie mowa, nie sposób nachwalić się tutaj opisów otoczenia. I nie chodzi wcale o pokazanie jego sfery wizualnej, bo tego jest ilość odpowiednia i nieprzesadzona. Najważniejsze i najciekawsze jest to, że las w tej powiastce naprawdę żyje. Nie dlatego, że pełno w nim zwierząt i stworów, a dlatego, że jest on w zasadzie bardziej podmiotem niż przedmiotem. To właściwie jeden z bohaterów tej historii – mroczny, krwiożerczy i w niepokojący sposób szalony. Nie jest w swym niejasnym zdziczeniu odosobniony, bo w tej książce trudno znaleźć kogoś, kto ma zdrowe umysł i ducha. Jest to zresztą motyw mocno osadzony w powieści, dodający jej nie tylko smaczków fabularnych, ale i uwypuklający mroczny klimat, dlatego nie będę się nad nim dłużej rozwodzić. Warto przeczytać o tym samemu w *Czerwonej Baśni*.

Skoro już weszliśmy na temat bohaterów, to jest ich tutaj zaskakująco dużo, jak na niewielką liczbę stron, na których muszą się pomieścić. Mimo to, każdy dostaje swoje pięć minut, i do większości zdążymy nabrać jakiegoś stosunku. Nikt tu nie pozostaje obojętny, chociaż raczej mało kogo polubimy. Postaci bowiem nie grzeszą

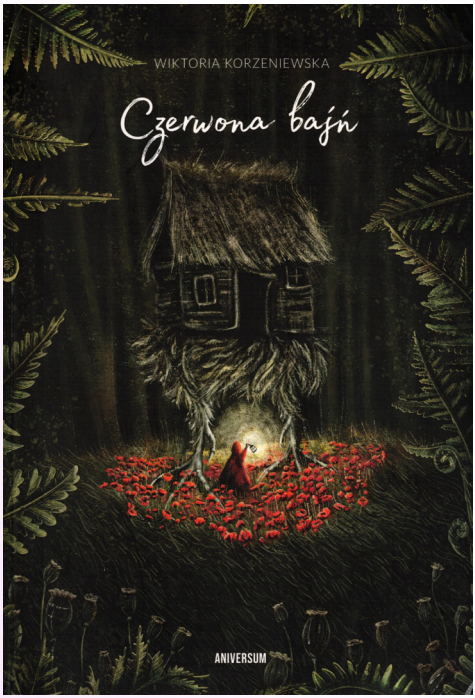

miłosierdziem, los nie jest tu litościwy, a do tego autorka zadbała, byśmy zdążyli przywiązać się do tych, którzy na kartach jej historii tracą zdrowie lub życie.

Książka bywa naturalistyczna, ale nie jest to jedna z tych pozycji, które atakują nas co rusz chlupoczącą krwią i wybebeszonymi flakami. Brutalności jest tutaj niewiele, ale kiedy już się pojawia, trudno pozostać na nią obojętnym. Może dlatego, że tak naprawę przez całą powieść czuć, że w każdym momencie może się coś złego wydarzyć. Jest to zatem świetna książka dla miłośników grozy w nietypowym i nieco słowiańskim wydaniu.

A jeśli już jesteśmy przy tych słowiańskich klimatach, mam ważną wiadomość dla znawców tematu: to nie jest podręcznik o mitologii słowiańskiej. Ten temat został potraktowany przez autorkę dokładnie tak samo jak baśń o Kapturku – coś tu niby mamy, coś kojarzymy, ale niewiele ma to wspólnego z pierwowzorem. Zatem w tej książce bóstwa i demony pogańskie skojarzymy z tymi „oryginalnymi" jedynie z nazwy, jednak większość stworów wygląda i zachowuje się inaczej, niż znamy to z mitologii. Czy to przeszkadza? Absolutnie nie, bo świat *Czerwonej Baśni* jest spójny i unikatowy. Gdybym miała zamknąć go w jednym słowie, byłby to wyraz: koszmar. Z jednej strony eteryczny i nierealny, a z drugiej brutalny i niedający poczucia bezpieczeństwa.

Książeczka Wiktorii Korzeniewskiej to lektura, którą pomimo kilku słabszych i nieco nużących fragmentów bez problemu można ukończyć w jeden dzień lub wieczór. Mimo to, z własnego doświadczenia wiem, że jej treść potrafi zostać w czytelniku nawet na kilka tygodni. Ja osobiście nie wyczytałam w niej żadnej olbrzymiej mądrości życiowej i nie dała mi może jakoś mocno do myślenia, ale książka ta niezaprzeczalnie broni się mrocznym klimatem i sprawnym językiem autorki. Co ciekawe, chociaż nie kibicowałam głównej bohaterce i nie popieram tego, co ostatecznie zostało uznane w tej książce za prawidłowe i dobre zakończenie, to wiem, że jeszcze wrócę do tej historii. Polecam ją również każdemu, kto od czasu do czasu lubi się zagubić w mrocznym, fantastycznym lesie.

Anna S. Cichosz – autorka książki fantasy pt. *Ziemia winowajców* oraz prawdziwy człowiek orkiestra.

#czytambolubię

Michał Krawczyk

Książka daje możliwość przeniesienia się gdzieś indziej, pozwala lepiej zrozumieć świat, otwiera umysł, skłania do refleksji. Śmieję się, mówiąc o sobie, że jestem starej daty, bo muszę mieć ją w rękach, aby czytać. Nie idę z postępem i nie słucham audiobooków, a z czytnikiem nie jestem w stanie się zaprzyjaźnić. Nawet jeśli jadę w podróż, mam ograniczone miejsce i z trudem mieszczę zestaw małego dentysty, to zawsze zabieram ze sobą książkę. Chociażby w wydaniu kieszonkowym. Moment, w którym mogę ją otworzyć, poczuć jej zapach, przejechać palcami po okładce i po wypukłych literach, jest dla mnie ważny i magiczny. Do tego ekscytacja, jaka przygoda czeka mnie przez najbliższe kilkaset stron. Czytam notkę o autorze, bo chcę wiedzieć o nim coś więcej: jaki jest, gdzie mieszka, co lubi, kto go inspiruje. Następnie czytam dedykację, cytat i podziękowania. Często autorzy zamieszczają również playlistę towarzyszącą im podczas pisania. Odtwarzam ją. Jak czytam, to wszystkimi zmysłami.

Pochłaniam literaturę w domu, bo potrzebuję pełnego spokoju. Trudno jest mi skupić się na lekturze na przykład w pociągu, kiedy co chwilę przechodzi pasażer, kontroler biletu albo obsługa Warsu. Lubię obserwować, jak czytają inni. Zdarza mi się zerkać do pani siedzącej obok mnie w metrze, aby wychwycić zdanie z pochłanianej przez nią książki. Zawsze odczytuję tytuł, jeśli widzę, że ktoś czyta w tramwaju albo w autobusie. Z moich badań wynika, że w komunikacji czytamy Bondę, Kinga i Jo Nesbø. Lubię obserwować ludzi czytających w kawiarniach, ich mocne skupienie i co jakiś czas odrywanie wzroku od tekstu, aby pomyśleć nad ostatnim przeczytanym zdaniem. Bo książka napędza do myślenia, rozwija wyobraźnię, niesie wartości, poszerza słownictwo, uczy. Nieważne, czy jest to prosty romans, czy coś ambitniejszego. Każda książka ma w sobie coś, z czego można czerpać.

Czytam wieczorami, bo trudno mi rano, wiedząc, że za chwilę muszę odłożyć książkę i nagle wejść w wir obowiązków. Wieczorem poświęcam się lekturze bez opamiętania, bo nic mnie nie goni. Chyba że rolety powiek opadają ze zmęczenia, ale to już proces naturalny, z którym nie walczę.

Jeśli książka mnie nie wciąga, tak jak zakładałem po zapowiedziach, to odkładam ją na półkę i nie pędzę na strony recenzenckie, aby skrytykować autora. Przekonałem się już, że powód jest taki, że akurat nie jest to dobry moment na taką historię. Po jakimś czasie wracam do niej i okazuje się, że treść, która wcześniej była dla mnie nie do przejścia, teraz zachwyca i trafia do mojego serca. Następnie polecam ją wszystkim. Uważam, że należy dawać książkom szansę. Drugą, trzecią, jeszcze kolejną.

Często towarzyszy mi poezja Anny Janko pt.: *Miłość, śmierć i inne wzory*. Zakochałem się w *Piachu* Urszuli Zajączkowskiej. Cenię poezję Julii Szychowiak i Justyny Bargielskiej. Czytam powieści obyczajowe, reportaże i biografie. *Małe życie* Hanyi Yanagihary – ta książka chodzi za mną od kilku lat. Boję się tak sążnistego tomu, ale wiem, że przyjdzie na nią czas.

Zbieram książki na potem. Odkładam, gromadzę, pilnuję, żeby nie przeoczyć tytułu, który wydaje się ważny. Mam stos zaległości. Kiedy wszystkie przeczytam? Przewiduję, że dopiero na emeryturze, siedząc w bujanym fotelu. Taką mam wizję mojej starości.

Czytając raporty o stanie czytelnictwa, jestem zdziwiony, że wynika z nich, że czytamy mało albo w ogóle. Z moich obserwacji wychodzi, że to nieprawda. Widzę rozrastające się biblioteczki w mieszkaniach moich przyjaciół. Obserwuję tłumy czytelników na targach książki i plenerach literackich. Widzę, że #czytaniejestsexy, #czytaniejestmodne, #czytambolubię, i sam już nie wiem, czy wierzyć w statystyki. Wierzę, że czytamy. Wierzę w książki. Wierzę, że pomagają nam przetrwać.

Uszanowanie dla pisarzy i autorów za to, że są i tworzą. Uszanowanie dla bibliotekarzy, księgarzy, blogerów za popularyzację czytelnictwa. Uszanowanie dla wszystkich czytelników. Bawmy się, bo: Czytanie książek to najpiękniejsza zabawa, jaką sobie ludzkość wymyśliła. Czytajmy więcej! Niech statystyki czytelnicze rosną!

Po Nowym Roku bierzmy udział w wyzwaniach czytelniczych. Przeczytaj 52 książki w 2023 roku! Prawda, że kuszące? Każda książka może zainspirować do zmian, do przewartościowania pewnych rzeczy w swoim życiu. Daję słowo, że w nowym roku na pewno natraficie Państwo na takie historie, które wpłyną na Wasze życie, zapoczątkują nowe i – co najważniejsze – same dobre początki. Takich z całego serca życzę.

Michał Krawczyk – na rynku wydawniczym pojawił się w 2021 roku. Tworzy powieści i opowiadania, głównie komedie.

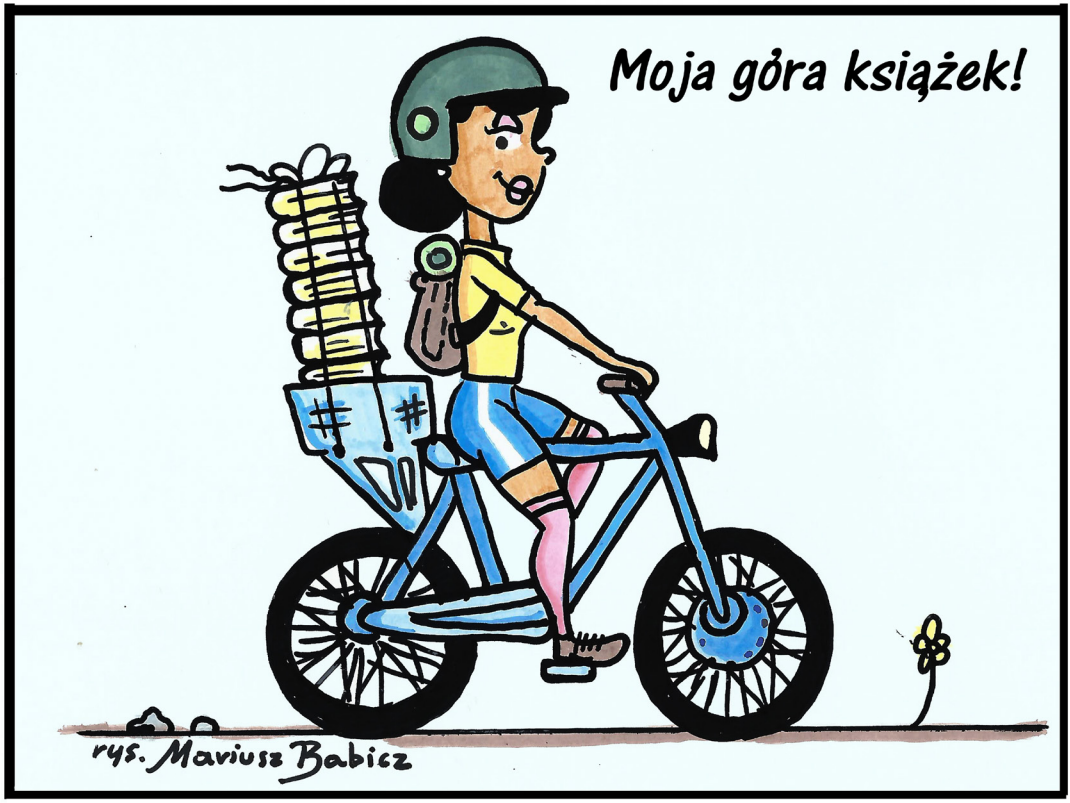

Magiczna niepełnosprawność

recenzja *Kronik Drugiego Kręgu* Ewy Białołęckiej

Karolina Salwowska

Każdego dnia, z każdej strony słyszymy krzyki o równości, szacunku do drugiej osoby czy poszanowaniu czyichś uczuć. Gloryfikujemy odmienność i uczymy tolerancji do osób nieheteronormatywnych. Jednak w czasach, w których wręcz krzyczy się o tolerancji i szacunku, można zapomnieć o sprawach przyziemnych, które pozornie nas nie dotyczą. Znam wiele mediów – książek, filmów, seriali i gier, w których porusza się tematykę feminizmu, LGBTQ+ czy problemy chorób psychicznych. Ale co z niepełnosprawnością?! Co z historią, w której chłopiec pozbawiony władzy w nogach, niewidzący czy niesłyszący jest obdarzany niezwykłym talentem magicznym?

Z *Kronikami Drugiego Kręgu* Ewy Białołęckiej spod wydawnictwa Jaguar spotkałam się całkowicie przypadkiem. Zwiedzając Hel, natknęłam się na jeden z wielu namiotów, gdzie sprzedawane były książki. Jako okładkową srokę, *Kroniki* przyciągnęły mnie niemal od razu, za co trzeba powinszować graficzce Bognie Gawrońskiej dobrze wykonanej pracy. Moim zdaniem są to jedne z ładniejszych grafik, które mówią o książce wszystko, a jednocześnie nie zdradzają ani krztyny z fabuły. Wręcz przeciwnie. Czytając, nie mogłam się doczekać odkrycia, który z bohaterów jest tym na okładce. *Kroniki Drugiego Kręgu* to seria czterech tomów, a dzisiaj chcę wam przedstawić pierwszy z nich. W książce *Naznaczeni Błękitem* spotkamy bohaterów, którym los nie okazał łaski.

Poznałam sporo systemów magicznych – mniej lub bardziej kreatywnych – ale muszę przyznać, że koncept Tkaczy Iluzji zdołał mnie pozytywnie zaskoczyć. Gdy mowa o magii, pierwsze, co przychodzi do głowy, to rzucanie niszczycielskich zaklęć. Ewa Białołęcka oferuje nam coś zupełnie innego: ILUZJĘ, i to tak potężną, że może ona być użyta do ochrony kogoś, na kim nam zależy. To właśnie oszukiwanie

ludzkich zmysłów jest głównym tematem pierwszego tomu.

Historia jest prowadzona w dość nietypowej konwencji. Przez jedną czwartą książki poznajemy historię Białego Roga – chłopca pozbawionego władzy w nogach – która jest zaledwie preludium do pozostałych opowieści. Na tym etapie do pełnego poznania historii stała mi na drodze pewna bariera, a mianowicie język. O ile sam tekst jest napisany w przystępny sposób, to dialogi często powodowały u mnie zagwozdkę. Przyzwyczajeni do współczesnego sposobu wypowiedzi często zapominamy,

jak kreatywnie można podejść do naszego rodzimego języka. W dialogach widzę nawiązania do mowy góralskiej i składni, jakiej używają ludzie ze wsi, co jest dla mnie wielkim atutem. Bo czy zawsze protagonista musi się wysławiać w sposób elokwentny i zrozumiały? Jeśli nasz bohater pochodzi z małej mieściny gdzieś na samym krańcu królestwa, to oczywistym jest, że mówi w sposób prosty i zgodny z naleciałościami z danego regionu. Oczywiście magowie, którzy przybyli z dalekiej stolicy, wysławiają się w sposób współczesny i bardziej dla czytelnika przystępny, co prowadzi do ciekawego nieporozumienia między bohaterami.

Gdy kończymy naszą przygodę z Białym Rogiem – młodym i niezwykle odważnym Tkaczem Iluzji – zostajemy wysłani ponad 100 lat w przyszłość. Kolejnym bohaterem jest chłopiec obciążony niezwykle przykrą wadą genetyczną. Hipertrichoza, znana też jako syndrom wilkołaka, sprawia, że nasz drugi bohater już od maleńkości był postrzegany jako potwór. Uratowany przez życzliwego maga spod kaźni cyrku, Nocny Śpiewak uczy się od podstaw, jak być człowiekiem

i Stworzycielem – kolejnym z rodzaju magów. By nie zepsuć nikomu zabawy z samodzielnego poznania perypetii Śpiewaka, Róży i Imbira pozostawię Was, drodzy czytelnicy, z tą niewiedzą. Uważam, że historię Nocnego Śpiewaka – chłopca, który był wilkiem i musiał stać się człowiekiem – trzeba poznać samemu.

Kroniki, choć są literaturą młodzieżową, spodobają się również starszym czytelnikom. Poruszane tematy nieraz będą rezonować w sercu odbiorcy, zmuszając go do refleksji. Nawet te kilka miesięcy po przeczytaniu wciąż wracam myślami do poszczególnych bohaterów. Trapi mnie ich los, a także ciekawią dalsze przygody. Wkrótce z radością sięgnę po kontynuację.

Karolina Salwowska – studentka grafiki i animacji, a ponadto pisarka fantastyki oraz ilustratorka. Autorka powieści *Black Star*.

Fengo

Daria Bartoszak

Rok dwa tysiące sto siedemdziesiąty zaczął się dla Fengo zupełnie zwyczajnie. Świętował sam, co było oczywiste, jako że od dwóch lat przebywał w kompleksie sanatoryjno-leczniczym Health Repair[1]: najbardziej zaawansowanym technologicznie uzdrowisku na Ziemi. Zaopatrzono je w budzący kontrowersje w świecie nauki system oparty na autonomicznych decyzjach sztucznej inteligencji, mający strzec zdrowia fizycznego i psychicznego kuracjuszy, zwano go w skrócie HAI od Healthful AI[2]. Technologia ta, oparta na danych pochodzących z wmurowanych w ściany, podłogi i sufity kompleksu czujników skanujących, co kilka godzin sprawdzała całe ciało chorego. Pozwalało to na bezbolesne i bezinwazyjne przebadanie pacjenta i postawienie z założenia bezbłędnej diagnozy, a co za tym idzie – wdrożenie indywidualnie dobranego sposobu leczenia. Nawet w przypadku chorób psychicznych system HAI był tak dokładny, że podobno nie sposób go było oszukać, a program, który nim sterował w tym zakresie, był pilnie strzeżoną tajemnicą.

Fengo nie był głupi: wiedział, że jego pobyt w tym przybytku potrwa jeszcze przynajmniej kilka kolejnych lat. Mężczyzna nie był przecież zwykłym kuracjuszem, który jako jeden z wielu zapłacił tysiące dolarów, żeby zostać zdiagnozowanym i wyleczonym przez wielbioną przez miliony osób na Ziemi sztuczną inteligencję. On został tu przewieziony pod przymusem: jako przestępca z zakładu karnego. Nie miał nic do gadania. Wraz z kilkunastoma innymi bandziorami z całego kraju sprowadzono go do ośrodka w celu sprawdzenia, czy AI jest w stanie wyleczyć i przywrócić społeczeństwu także tak potężnie odchylonych od normy degeneratów jak oni.

Przed transportem, jeszcze w więzieniu, krążyły między osadzonymi pogłoski o planach rządu. Mówiło się, że jeśli uda się wyleczyć

[1] Health Repair (ang.) – naprawa zdrowia.

[2] Healthful AI (ang.) – zdrowotna sztuczna inteligencja.

grupę osadzonych za pomocą systemu HAI, władze dostaną zielone światło, aby posłużyć się AI w leczeniu chorych w zakładach psychiatrycznych i zwykłych szpitalach. Na razie opinia publiczna zbytnio się obawiała wdrożenia takiego rozwiązania jako powszechnego: system był wszakże stosunkowo nowym wynalazkiem, nieakceptowanym w pełni przez rząd oraz część uczonych, którzy próbowali ustalić, czy dopuszczalne i bezpieczne jest całkowite złożenie zdrowia obywateli w „ręce" najbardziej zaawansowanej w historii ludzkości technologii.

Rozterki moralne nie dotknęły jednak zarządu jednej z najbardziej ekskluzywnych sieci SPA, która w ofercie miała także gabinety medycyny estetycznej i uzdrowiska, a która to właśnie jako jedyna na planecie zaprzęgła AI do diagnozowania chorób. Skomercjalizowali oni system HAI, instalując go w swoim obiekcie i tym samym stworzyli jedyne tego typu usługi na świecie. Zarząd tej przedsiębiorczej sieci już zarobił na tym krocie, a ewentualny sukces w terapii przestępców miał otworzyć firmie drzwi do rządowych pieniędzy przeznaczonych na służbę zdrowia.

Właściwie Fengo było wszystko jedno, czy kiedykolwiek uznają go za zdrowego, czy nie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio coś zrobiło na nim wrażenie, nawet przerzucenie go do tego supernowoczesnego uzdrowiska tego nie dokonało. Był wyprany z emocji. Nie robił sobie nadziei na powrót do społeczeństwa, bo i nie miał pojęcia, jak cokolwiek mogłoby go wyleczyć, skoro – we własnym mniemaniu – wcale nie był chory. Pomimo że AI badała go dzień w dzień, to nie postawiła mu konkretnej diagnozy. Zaleciła jedynie hologramowe rozmowy z psychiatrą i psychologiem i, rękoma obsługi SPA, podawała jakieś tabletki, ale nie czuł, żeby one cokolwiek poprawiały. Siedział więc zamknięty w przydzielonym mu pokoiku z łazienką i aneksem kuchennym i po prostu egzystował.

Obiektywnie rzecz biorąc, nie mógł narzekać. Kompleks był superluksusowy. Pyszne jedzenie dostarczano mu regularnie dzięki małej windzie gastronomicznej wbudowanej w ścianę. Mógł zamówić wszystko, na co miał akurat ochotę, o każdej porze dnia i nocy.

Rozrywkę zapewniał ekran z nieograniczonym dostępem do filmów, seriali, programów oraz wirtualnych gier. Dzięki niesamowitej

technologii DayDream[3] mógł także zrelaksować się nad brzegiem morza, na łące pełnej kwiatów, pod rozgwieżdżonym niebem czy w dowolnym innym miejscu, w jakim zapragnął. A przynajmniej mógł udawać, że tak jest. Ubierał wówczas cieniutki, przylegający do ciała niczym druga skóra kombinezon, najeżony czujnikami wysyłającymi sygnały imitujące wrażenia odczuwania tego, czego powinien doznawać, będąc naprawdę w danym miejscu: podmuchu wiatru, wilgoci wody, temperatury – wszelkich odczuć potrzebnych do urealnienia przeżyć. Na tęczówki nakładał digitalowe soczewki i już był gotów. Po wejściu do kabiny bezpieczeństwa wielkości prysznica z wielokierunkową bieżnią wmontowaną w podłogę, wprowadzeniu do panelu sterującego danych na temat lokalizacji, w której chciał się znaleźć, i muzyki relaksacyjnej „wchodził" do wirtualnej rzeczywistości.

Fengo uwielbiał tam przebywać. Najbardziej lubił wracać do krajobrazu wsi podobnej do tej z jego dzieciństwa, gdzie w czasie wakacji jeździł z mamą. Od dziecka uspokajała go ta okolica, a widok falujących na wietrze dojrzałych zbóż sprawiał, że ogarniało go poczucie szczęścia.

Tak samo było i tym razem, gdy mniej więcej w południe pierwszego dnia nowego roku postanowił udać się po odprężenie na wirtualną wieś. Miał nadzieję, że kiedy będzie umierał i zakończy się jego bezsensowne życie, pozwolą mu spędzić te ostatnie chwile właśnie tam. Tylko błąkając się samotnie pośród łanów pszenicy, czuł, jakby to, co zrobił, nigdy się nie wydarzyło.

Nie mógł się nawet upić, żeby choć na kilka godzin zapomnieć o przeszłości: jako więźniowi nie wolno mu było spożywać trunków wyskokowych. Wczorajszy szampan bezalkoholowy, który dostarczono mu z okazji sylwestra, stał nieotwarty na stoliku w kuchni.

Carena niedługo się zjawi – pomyślał, spojrzawszy na zegarek, gdy już wrócił do rzeczywistości i wyszedł z kabiny. Kolejny seans relaksacyjny nieco go odprężył. Fengo uśmiechnął się bezwiednie. Dopiero niedawno dotarło do niego, że codzienne spotkania z Careną w gruncie rzeczy sprawiają mu przyjemność.

Zamknąwszy za sobą kabinę DayDream, zdjął cieniutki kombinezon i zaczął zakładać ubranie. Zbyt wolno. Usłyszał kliknięcie. Normalnie mógł decydować, czy zaakceptować „wizytę", jednak gdy „przybywał"

[3] Daydream (ang.) – sen na jawie.

lekarz, odbywało się to automatycznie, żeby pacjent nie mógł się odciąć od leczenia.

– Fengo, czy moglibyśmy dzisiaj... – Carena zjawiła się punktualnie. Oczywiście przybyła w formie hologramu. – Jasna cholera! – Odwróciła się szybko, zauważywszy podopiecznego w ledwie naciągniętych do wysokości uda bokserkach.

– Wiem, robi wrażenie! – Fengo zaśmiał się serdecznie, pospiesznie kończąc ubieranie. – Już, możesz patrzeć, jest bezpiecznie.

Zaczerwieniona Carena zerknęła przez ramię i odetchnęła z ulgą.

– Będę musiała to wpisać do raportu z dzisiejszych odwiedzin – odparła z nutą rozbawienia w głosie.

– Wcale nie musisz. – Wyszczerzył zęby, poprawiając swoje jasne dredy. – Ale jeśli chcesz, możesz wspomnieć też, jakie wrażenie na tobie zrobiłem.

– Pani doktor... – poprawiła go.

– Jasne. To o czym dziś pogadamy... pani doktor? – Mrugnął do niej, a ona przewróciła oczami.

– Mam zamiar wrócić dziś z tobą do twojego dzieciństwa...

– Znowu? Ja już naprawdę o wszystkim opowiedziałem.

– Mam tylko kilka pytań... Co to za dźwięk? – Jej brwi ściągnęły się, a twarz przybrała wyraz ni to strachu, ni zaskoczenia.

Fengo także coś usłyszał: specyficzne kliknięcie, potem przytłumiony szum, jakby uruchamianego laptopa. Jakże dawno ten dźwięk nie wypełniał mu uszu.

– Co tu się...?! – Połączenie z hologramem Careny zostało przerwane.

– Drzwi! – krzyknął podekscytowany Fengo i zerwał się do biegu. Gdy był ledwie metr od drzwi, te rozsunęły się, a on wypadł na korytarz, boleśnie uderzając w jego szklaną ścianę. Mimo wszystko nie spodziewał się, że staną otworem. W oszołomieniu rozglądał się na boki. Jego tętno przyspieszyło tak bardzo, że aż dyszał z przejęcia. Nie wiedział właściwie, czemu został wypuszczony. Grunt, że był wolny. Nie miał pojęcia dlaczego, ale był wolny.

Wzrok Fengo padł za szyby ograniczające przestrzeń korytarza. Nieskazitelnie czysty dziedziniec sanatorium, a dalej, za wysokim ogrodzeniem, rozległe lasy majaczące na horyzoncie. Spojrzał w górę

na błękitne niebo. Zapragnął poczuć na twarzy prawdziwy wiatr, biec przed siebie do utraty tchu, po czym paść na trawę i leżeć w niej, wdychając zapach żywej gleby.

Po chwili radosne podekscytowanie ustąpiło miejsca zdenerwowaniu. Coś było nie tak. Z innych kwater umiejscowionych wzdłuż korytarza zaczęli niepewnie wychodzić osadzeni. Rozpoznał kilku z nich, reszta musiała przybyć tu z innych więzień. Niestety, wśród mężczyzn, którym także zwrócono wolność, Fengo wypatrzył Szkieleta. Mężczyzna poczuł na czole kropelki potu, jego serce zerwało się do galopu.

Alan Mabory zwany Szkieletem z powodu wytatuowanych na policzku ludzkich kości. Był on przestępcą, który razem z Fengo przybył z tego samego zakładu karnego. Fengo niechcący zadarł z tym osiłkiem zaraz po zapuszkowaniu, gdy nie wiedział jeszcze co i jak. Z trudem uszedł z życiem. Gdy Alan ruszył w jego stronę, Fengo był już pewien, że i ten go rozpoznał.

– O nie – mruknął do siebie i popędził z powrotem do mieszkania. – Zablokuj drzwi! Blokada! – krzyknął, wpadając do środka.

Drzwi się zasunęły, usłyszał kliknięcie, a po chwili także silne uderzenie, przekleństwa i groźby dochodzące z zewnątrz. Upadł na kolana na środku pokoju i starał się uspokoić.

Co tu się dzieje? Dlaczego mnie wypuszczono? Nikt nie mówił, że jestem zdrowy, że *wszyscy wyzdrowieliśmy. System nie miał prawa otworzyć drzwi*... – myślał, próbując zrozumieć, co się właściwie stało.

Z zewnątrz zaczęły docierać do niego pojedyncze pokrzykiwania i rozmowy, ale to zignorował. Inni wypuszczeni byli zapewne równie zaskoczeni sytuacją, co on.

– Mamo, dlaczego moje drzwi się otwierają? – zwrócił się z pytaniem do przynależącego do niego osobistego, domowego systemu pomocy kuracjuszom. Na jego hologramowy interfejs wybrał wygląd swojej matki, która zginęła piętnaście lat temu.

Stanęła przed nim postać pięćdziesięcioletniej kobiety o długich blond włosach, która, widząc go klęczącego na podłodze, uklękła także.

– Czy coś nie tak? – spytała dokładnie tak, jak robiła to jego matka.

– Nadal jestem... „chory", ale mogę wychodzić. Czy drzwi się popsuły?

– Nie podano informacji o awarii drzwi, więc wszystko z nimi w porządku. Sprawdzę komunikaty z ostatnich dwóch godzin. – Wyprostowała

się i stanęła nieruchomo, co było znakiem, że przegląda dużą ilość danych. Po kilku sekundach „wróciła" do Fengo i usiadła obok niego na podłodze. – Według HAI jesteś zupełnie zdrowy, masz aktywne wszystkie opcje społeczne i dostęp do każdej ogólnodostępnej lokalizacji.

Oczy Fengo rozszerzyły się w zdumieniu.

– Połącz mnie z Careną – rozkazał, wstając i przechodząc do aneksu kuchennego po butelkę szampana.

– Nie mogę spełnić tego polecenia. Pani Carena jest w trakcie intensywnej diagnostyki. Jak wiesz, postronnym nie pozwala się wówczas na kontakt z pacjentem. Muszą zostać wdrożone odpowiednie leki i terapia. Będziesz mógł z nią rozmawiać dopiero, gdy jej stan się trochę poprawi.

– To znaczy, że jest chora?

– Tak. Pani Carena ma obecnie status osoby chorej. Szczegóły nie zostały jeszcze przekazane do bazy danych.

– Ale jaja! – Fengo podrapał się z konsternacją po czubku głowy.

– Czy to już wszystko, czy mogę już znikać? – „Mamie" jak zwykle gdzieś się spieszyło.

– Idź. Poradzę sobie, dzięki.

Hologram zniknął, a mężczyzna otworzył szampana i upił duży łyk z gwinta. Skrzywił się i otarł usta wierzchem dłoni.

Bezalkoholowy szampan powinien być zakazany – pomyślał.

* * *

Dwie godziny zajęło Fengo przemyślenie nowej sytuacji, oswojenie się z nią i podjęcie decyzji co dalej. Nigdy nie miał zamiaru uciekać, nawet nie brał takiej możliwości pod uwagę, ale teraz, gdy pojawiła się sama, postanowił skorzystać.

Na pewno wypuszczenie więźniów to jakaś wielka pomyłka, nie wierzę, że nie będzie konsekwencji dla tych, co wyjdą. Muszę niepostrzeżenie oddalić się z sanatorium. Dookoła są lasy, ale tam będą szukać w pierwszej kolejności. Przedrę się przez nie jak najszybciej, złapię gdzieś stopa i się zobaczy – myślał, pakując do torby ciuchy i jedzenie. Wylał resztę szampana do zlewu, a do pustej butelki wlał

wodę i już był gotowy do drogi. Musiał jeszcze tylko upewnić się co do swoich podejrzeń.

– Matko?

– Tak? – Zjawiła się natychmiast.

– Czy przeprowadzano dziś serwis programu? Albo coś podobnego? Nie wiem, jakąś aktualizację albo coś?

– Sprawdzam... Nie, według rozpiski najbliższe serwisowanie ma się odbyć dopiero za trzy miesiące.

– Hmmm... A więc co się stało? Kurwa, nie jestem programistą ani żadnym specem technologicznym. Trzeba było lepiej uważać w szkole...

– Nie przeklinaj.

– Przepraszam...

– HAI uznał cię za zdrowego. To logiczne, że otwarto twoje drzwi.

– Nie wyleczono mnie! – Fengo wrzasnął tak głośno, że aż sam się zdziwił. – Przepraszam. Po prostu to się nie trzyma kupy. Jestem taki sam jak choćby wczoraj. Według HAI wszyscy więźniowie nagle ozdrowieli?

– Nie byliście więźniami, tylko kuracjuszami. Wszystko odbyło się zgodnie z procedurami dla waszych schorzeń.

– Bzdura! Nie dostałem nawet jednoznacznej diagnozy! Nieważne, co ci tam wgrali! – Machnął ręką. Na twarzy „matki" dostrzegł konsternację, a może to była już złość? – Czy ktoś jeszcze oprócz Careny zachorował dziś o tej samej porze co ona? Został przymusowo zamknięty?

Analiza danych zajęła jej kilka sekund.

– To nie są dane przeznaczone dla...

– Dajże spokój! Zamknięto ich czy nie?!

Zapadła cisza. „Matka" i Fengo mierzyli się nawzajem wzrokiem.

– Tak. Wszyscy, którzy do tej pory byli zdrowi, ci, którzy przyjechali z innych miejsc niż zakłady karne...

– Widzisz? To nie przypadek. To musi być jakaś awaria, błąd systemu czy wirus.

Fengo zebrał się w sobie, wziął torbę i stanął w drzwiach mieszkania.

– Mamo?

– Tak? Potrzebujesz czegoś?

Była tuż przy nim. Wiedział, że musi stąd odejść, a gdziekolwiek się uda, jej tam nie będzie. W pierwszym odruchu chciał ją objąć, jak obejmuje się kogoś bliskiego przy pożegnaniu. Było mu przykro, że nie może tego zrobić.

– Dziękuję za wszystko. Otwórz drzwi – rzucił tylko, spoglądając na nią po raz ostatni.

Znów musiał się z nią żegnać i znów działo się to zupełnie znienacka. Wiedział, że musi już iść, bo inaczej zmieni zdanie i zostanie tu z nią na zawsze. Ukradkiem przetarł oczy i rozglądając się na boki niczym ścigane zwierzę, wybiegł ze swojej „leczniczej" celi.

Fengo miał masę szczęścia. Opuścił wielki budynek sanatorium bez żadnego problemu, nie niepokojony przez nikogo. Stanąwszy na dziedzińcu, obrócił się jeszcze, żeby po raz ostatni spojrzeć na to ekskluzywne, oszklone z każdej strony miejsce.

Było mi tu lepiej niż w zwykłym więzieniu – skwitował w duchu i już miał odejść w stronę bramy wjazdowej, gdy poczuł uderzenie w głowę. – *Co jest?*

U jego stóp leżała łyżeczka. Z niemałym zdziwieniem schylił się, aby ją podnieść. Wtedy usłyszał stłumione wołanie:

– Halo! Tutaj!

Fengo poprawił nerwowo dredy, rozglądając się na boki. Nikogo nie dostrzegł, za to kolejny raz oberwał w głowę. Tym razem paczką herbaty.

– Co do cholery?

– Tutaj! – Kobiecy głos nie dawał za wygraną. – Pierwsze piętro! Po prawej!

Fengo zadarł głowę. We wskazanym oknie zobaczył machającą do niego kobietę. Była mniej więcej w jego wieku, musiała mieć jakieś trzydzieści pięć lat, wyglądała na Azjatkę, ale nie mógł określić, czy to Japonka, Koreanka czy może Chinka. W każdym razie na pewno miała dobrego cela.

Zmrużył oczy i podszedł trochę bliżej. W innych oknach także dostrzegł ludzi.

Kuracjusze... – pomyślał. Wiedział, że zostali zamknięci, ale dopiero, gdy zobaczył ich wystraszone twarze, dotarło do niego, co tak naprawdę się stało.

– Czego chcesz?! – wrzasnął.

– Pomóż mi! Muszę stąd wyjść!

– Co ja mogę?! – Machnął ręką i odwrócił się szybko.

Zanim jednak zrobił choć krok, usłyszał wzmagające się łomotanie w szyby. Zerknął powoli przez ramię. Uwięzieni w pokojach ludzie zaczęli walić w odgradzające ich od wolności okna. Większość z nich była zamknięta i nie przepuszczała głosów z wewnątrz, ale część, tak jak u rzucającej w niego przedmiotami Azjatki, miała u góry uchylony niewielki lufcik.

Zrezygnowany Fengo rozłożył szeroko ręce, gestem pokazując, że jest bezradny.

– Wejdź na korytarz! Jestem w pokoju dwadzieścia dwa! – krzyknęła skośnooka.

Już miał ją olać, pójść w swoją stronę, chwytać wolność, ale nie mógł. Po prostu nie mógł tego zrobić. Nieważne, że prawo miało go za bezwzględnego, niebezpiecznego przestępcę i nie dostrzegało w nim człowieka. Spojrzał tęsknie na linię drzew poza ogrodzeniem ośrodka, ale ruszył z powrotem do budynku.

Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa... tutaj! – myślał, mijając kolejne drzwi. Po chwili wahania zapukał.

– Przecież ci nie otworzę – rozległ się poirytowany głos. – Połóż się na podłodze.

– Co?

– Na dole jest szczelina, łatwiej będzie rozmawiać.

Czuł, że przewróciła oczami, on zresztą zrobił to samo. Położył swoją torbę i po chwili sam też leżał już na ciepłej, podgrzewanej podłodze korytarza.

– Dobra. Siemka, jestem Fengo i serio chciałbym pomóc, ale nie mam jak. A teraz muszę spadać i zacząć korzystać z wolności, jaką sprezentował mi los, zanim ludzie z zewnątrz zorientują się, co tu miało miejsce.

– Chyba żartujesz! – obruszyła się. – MUSISZ nam pomóc. Nikt oprócz ciebie nie zareagował na prośby. Uciekli, zostawiając nas na pastwę losu.

– Może powinniście się cieszyć. Nie wiem, czy masz świadomość tego, że AI wypuściła więźniów. Jesteśmy...

– Wiem. Mordercami.

Zaskoczyła go.

– Jak to? To nie było jakoś ukrywane?

– Jestem z obsługi sanatorium...

– Obsługi? Nie zarządza tu AI?

– Zarządza. Ale nie jesteśmy tacy głupi. Jestem tu na wszelki wypadek. Jak szalupa w razie zatonięcia Titanica.

Rozbawiła go tym stwierdzeniem, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Co tu robisz? Za co odpowiadasz?

Cisza. Poczuł narastający gniew.

– Chcesz mojej pomocy, a nie raczysz nawet się przedstawić i powiedzieć, kim jesteś?

– Hmmm... mam na imię Aiko. Jestem główną programistką. Kierowałam zespołem, który zaprojektował, stworzył i testował HAI.

– Ooo super. Czyli raz-dwa wszystko odkręcisz. Co ja tu jeszcze robię?

– Zostałam zamknięta bez laptopa. Bez niego nic nie wskóram.

– Nie miałaś go ze sobą w pokoju? Wielka pani informatyk? Co ty mi wkręcasz?

– W piwnicach jest centrala komputerowa. Zostawiłam go tam, aby ściągnąć dane. To miało potrwać dwie godziny. Wróciłam do pokoju, żeby przynieść sobie herbaty. Wtedy doszło do... tej sytuacji – westchnęła.

– Cudownie! – parsknął Fengo. – Mam ci przynieść laptop, tak? Ciekawe, jak ci go podam? Raczej nie przeleci przez lufcik...

– Wygląda na to, że będę musiała mówić, co masz robić, a ty obsłużysz komputer.

– Ale to się robi w programie tekstowym, tak? Bo ja innego używać nie potrafię.

– Kim jesteś z zawodu? Co robiłeś, zanim cię posadzili?

– Szef kuchni hotelu La Manche, do usług – odparł grobowym tonem.

– Uuu, no trudno. Będziesz musiał sobie poradzić. Dlaczego los nie zesłał mi kogoś bardziej obeznanego? Jak można w tych czasach znać tylko jeden program komputerowy?

– Dobra, miejmy to za sobą paniusiu. Gdzie ta piwnica? – Czuł, że jeśli zaraz nie skończą tej rozmowy, da upust złości, a jako „zdrowy" obywatel nie dostał przecież dzisiaj leków, czymkolwiek one były.

– Spójrz w górę.

– Czemu? – Zadarł głowę. Na końcu korytarza, tuż pod sufitem, wisiała tabliczka informacyjna. Dzięki niej można było trafić do gabinetów zabiegowych, na blok sal operacyjnych, do kawiarni czy wyjścia. – No i? – Nie rozumiejąc, jak to ma mu pomóc dotrzeć do piwnicy, poprawił nerwowo dredy. Zaczynał naprawdę poważnie żałować, że nie odszedł w swoją stronę.

– Blok sal operacyjnych. Gdy tam dotrzesz, musisz wejść do sali B. Na sali, w jednej ze ścian, są drzwi oznaczone znaczkiem: „Uwaga! Radioaktywność". Wiesz, jak wygląda?

– Jasne, każdy to wie, błagam...

– Dobra. Masz.

Przez szparę w drzwiach przepchnęła do niego metalową blaszkę z jakimś czipem. Wziął ją i pobieżnie obejrzał. Po chwili przepchnęła także nóż. Gdy Fengo go zobaczył, od razu się odsunął. Ucieszył się, że nie widziała jego reakcji.

– To na wszelki wypadek, w końcu możesz spotkać jakiegoś bandziora. W waszych pokojach z pewnością nie ma noży, więc weź mój.

Fengo przełknął głośno ślinę. Drżącą ręką sięgnął po przedmiot. Ostatni raz, gdy trzymał nóż w dłoni...

– A tę kartę przyłożysz do zamka elektronicznego – mówiła dalej Aiko – i schodami zejdziesz...

– Nie dam się napromieniować paniusiu! To już przesada! – wybuchnął.

– Tam nie ma promieniowania! Jest tylko ukryta serwerownia w piwnicy. Opanuj się i nie panikuj!

– Lepiej, żeby było, jak mówisz. Jak potem zapadnę na chorobę popromienną...

– To co? Zamordujesz mnie?

Tego było już za wiele. Fengo raptownie podniósł się z podłogi.

– Przepraszam. Nie chciałam... – doszło jego uszu, gdy oddalał się korytarzem. – Fengo!

* * *

Cisza i pustka. Te dwie rzeczy towarzyszyły mu, od kiedy wszedł na blok. Na czas noworoczny wstrzymano operacje, więc gdy doszło do awarii, AI nie prowadziła tu żadnych zabiegów. Powoli zapadał zmrok i pomieszczenia niknęły w szarości. Okazało się, że wszystkie ekraniki kontrolne do włączania i regulacji oświetlenia były uszkodzone. Fengo miał złe przeczucia, lecz mimo to nadal szedł przed siebie, szukając wzrokiem sali B. Korzystając z karty Aiko, otwierał kolejne pomieszczenia. Słysząc tylko echo własnych kroków, brnął coraz dalej w głąb budynku.

Jestem idiotą! – wyrzucał sobie, uważnie rozglądając się wokoło. – *Mogłem być już daleko stąd, jak inni. Trzeba było uciekać, póki mogłem...*

Zatrzymał się raptownie. Wydało mu się, że coś słyszy, ale dźwięk się nie powtórzył. Mężczyzna nie był już wcale pewien, czy to nie wyobraźnia płata mu figle. Odwrócił się w stronę, z której przyszedł.

A gdyby tak rzucić to w cholerę i się ulotnić? – zaświtało mu w głowie. – *Przecież ona i tak pewnie myśli, że zwiałem...*

Korytarz, z którego przyszedł, kusił go, obiecywał lepszą przyszłość. Fengo chciał już wyjść z tego budynku, czuł się, jakby kończył mu się czas, jakby w powietrzu wisiało coś nieuchronnego, coś, przed czym powinien uciekać. Westchnął głęboko, poprawił nerwowo dredy. Oczami wyobraźni widział, jaki niezadowolony byłby wyraz twarzy jego matki, gdyby się wycofał. Starając się już nie myśleć, ruszył naprzód.

Kilkanaście metrów dalej stanął przed salą oznaczoną literą B. Jej drzwi niczym szczególnym się nie wyróżniały. Niczym, oprócz tego, że były otwarte.

Co jest? – Fengo zamarł. Zacisnął dłoń na nożu i przyjął postawę obronną. Kiedyś, jeszcze w podstawówce, mama zapisała go na boks. Zrezygnował po roku. – *Mam nadzieję, że jeszcze coś z tego pamiętam.*

Zaczaił się przy ścianie, odczekał chwilę i wpadł do pomieszczenia niczym komandos. Szybko rozejrzał się na boki. Był sam. Opuścił gardę,

a gdy dotarło do niego, że wstrzymuje oddech, wypuścił powietrze z płuc. Serce waliło mu jak młotem, strach mieszał się z gniewem.

Był zły na siebie za to, że zdecydował się wtedy opuścić matkę, na uzdrowisko za to, że dopuszczono do tego całego zamieszania i na zamkniętych kuracjuszy na czele z mającą trzymać w ryzach AI Aiko za to, że cofnęli go, gdy stał naprzeciw wolności.

Nie zasłużyłem na to... nie zasłużyłem... – powtarzał sobie teraz dokładnie te same słowa, które jako jedyne miał w głowie po usłyszeniu wyroku.

Do czytnika umiejscowionego z prawej strony oznaczonych znakiem radioaktywności drzwi przyłożył otrzymaną od Aiko kartę. Rozsunęły się niemal bezszelestnie. Gdy już decydował się na zejście w ciemność po metalowych schodach, coś w dole stuknęło. Fengo aż podskoczył, jego serce oszalało, a zmysły się wyostrzyły. Czuł się, jakby zaraz miał zstąpić do piekła.

Starając się iść jak najciszej, pokonał pierwszy schodek. Przeklinając się w duchu za swoją głupotę, schodził po omacku coraz niżej i niżej. W końcu zauważył nikłą, zielonkawą poświatę bijącą od stojących w dole, pokaźnych rozmiarów jednostek centralnych. Diody przy gniazdach do wtyczek migotały na zielono, szum klimatyzacji i samych komputerów wypełniał pomieszczenie.

Znaleźć pieprzony laptop i spadać, znaleźć... – nie dokończył. Będąc jedną stopą na ostatnim stopniu schodów, zobaczył, że zza jednostki wychynęła twarz. Twarz, która ze zmarszczonymi brwiami starała się go zidentyfikować w ciemności i zrobiła to skutecznie. Twarz z wytatuowanymi na policzku kośćmi.

Alan Mabory roześmiał się gromko.

– Spoko, Orleg – zwrócił się do kogoś za swoimi plecami. – Znam typa. No, opuść ten nóż, Fengo. Mam tak dobry humor, że cię nie spiorę. Jeszcze parę minut i spadamy.

Fengo ani drgnął. Jego wzrok padł na stojący na niewielkim biurku nieopodal schodów otwarty i podłączony kablem do jednostki laptop. Natychmiast odwrócił od niego wzrok, aby śledzić poczynania Alana. Zza pleców osiłka wyszedł łysawy facet w okularkach trzymający w rękach inny laptop. Typowy jajogłowy.

– Nieźle, co? – Alan był wyraźnie dumny. – Akcja idealna: mój braciszek ukartował dla nas taką ucieczkę, że jeszcze przez kilkaset lat nikt tego nie przebije. Nie pomyślą nawet, że to było zaplanowane. Wszystko zwalą na błędne działania AI i cały ten HAI pójdzie do śmieci. – Energicznie klepnął brata po plecach. – Skończyłeś, Orleg?

– Tak, jest po wszystkim. Jeszcze tylko weź laptop tej programistki.

Alan dostrzegł błysk paniki w oczach Fengo. Jednocześnie spojrzeli na urządzenie, potem jeszcze raz na siebie nawzajem. Ręka osiłka powędrowała do tylnej kieszeni.

Fengo nie miał zamiaru czekać, aby dowiedzieć się, co Alan stamtąd wyciągnie. Rzucił się po laptop, w jednej sekundzie wyrwał łączący go z jednostką kabel i już był z powrotem na schodach. Przez głowę przemknęło mu, że nie słyszy za sobą topornych kroków Alana. W tej samej chwili rozległ się huk. Fengo skulił się, obejmując laptop i przyciskając go do torsu. Zszokowany spojrzał na osiłka trzymającego w wyciągniętej dłoni gnata. Kolejne strzały jednak nie padały: broń Alana się zacięła.

Natychmiast podjął decyzję. Zostawił urządzenie na schodach i przeskoczył barierkę, lądując jakieś pięć metrów od Alana i jego brata, który znów się skrył. Fengo zrobił dwa porządne susy i już był przy osiłku. W samą porę, gdyż ten znów w niego celował.

Fengo odruchowo zrobił unik i kula trafiła w ścianę. Nieco oszołomiony łoskotem i adrenaliną zmusił struchlałe mięśnie do działania. Kopnięcie z półobrotu wytrąciło przeciwnikowi broń z ręki. Uderzenie wyprowadzone prosto w trzewia Alana bezbłędnie sięgnęło celu. Prawy sierpowy już jednak nie zaskoczył osiłka. Ten, krztusząc się po ciosie w brzuch, złapał pięść Fengo, nim dosięgła jego żuchwy, i odepchnął ją z ogromną siłą. Fengo ryknął z bólu i upadł na ziemię. Grad kopniaków spadł na niego niemal natychmiast.

– Mnie się niczego sprzed nosa nie zwinie! – wrzeszczał wściekle Alan.

Fengo czuł w ustach metaliczny posmak krwi, jej wilgoć i specyficzną gęstość na twarzy. Ból, który wybuchał w jego ciele po każdym kopnięciu, był nieznośny, ale jeszcze gorszy był strach, że Alan znów strzeli. Teraz właściwie nie miałby możliwości chybić. Fengo wiedział, że jego czas się kończy. Zebrał w sobie całą pozostałą mu siłę i złapał

nogę przestępcy, gdy ten kolejny raz miał go kopnąć. Mężczyzna stracił równowagę i runął na podłogę, wypuszczając z ręki pistolet. Fengo wstał z wielkim trudem i stanął nad próbującym złapać oddech przeciwnikiem. Uniósł dłoń, w której dzierżył nóż. Już miał zadać cios, gdy zamiast Alana zobaczył pod sobą zakrwawione, nieprzytomne oblicze młodego chłopaka, którego zamordował przed piętnastoma laty. Z szeroko otwartymi z przerażenia oczami zrobił krok w tył. Nie mógł przeżywać tego ponownie. Nie chciał.

– Nie jesteś mordercą, prawda? – dobiegł go kobiecy głos. Podniósł oczy i w migoczącym na zielono świetle zobaczył stojący przy schodach hologram. W tym samym momencie dźwięk strzału rozerwał powietrze. Nim Fengo zorientował się, co się stało, leżał już obok Alana, a jego udo przeszywał ból. Ból tak wielki, o jakim nie miał wcześniej pojęcia. To strzelał brat Alana, który niepostrzeżenie podniósł broń.

– Dobra robota – pochwalił Orlega Alan, który zdołał właśnie dojść do siebie i wstał z podłogi. Spojrzał z wesołą wyższością na zwijającego się z bólu Fengo. – No to teraz po tobie – stwierdził i wyciągnął dłoń do Orlega, gestem prosząc go o podanie broni.

– Szybko! Na schody! – Hologram pojawił się tuż przy Fengo, który w myślach żegnał się już z życiem. Był równie zaskoczony, co jego przeciwnicy, na których ciała w następnej sekundzie buchnął ogień z zamontowanych w suficie dysz.

– Musisz stąd uciekać! Całe to pomieszczenie ulegnie spaleniu!

– Mamo...

– Szybko! – Jej twarz wyrażała pewność siebie.

Fengo podpełzł do ściany, wstał, opierając cały ciężar ciała na zdrowej nodze, i z zaciśniętymi z bólu szczękami, marszcząc brwi, pokuśtykał, jak mógł najszybciej w górę schodów. Na twarz wystąpił mu pot, tak zrobiło się gorąco. Pracująca nadal klimatyzacja podniecała ogień, w którym topiła się już część kabli i w którym, wrzeszcząc nieludzkimi wręcz głosami, palili się żywcem jego przeciwnicy.

Był już u szczytu schodów, gdy przypomniał sobie, z czym miał stąd wyjść. Rozejrzał się w popłochu, ale było już za późno. W dole pożar szalał w najlepsze, nie było mowy o powrocie, zresztą laptop Aiko z pewnością uległ niszczycielskiemu żywiołowi.

Powłócząc zranioną nogą, Fengo posuwał się pustymi, cichymi i ciemnymi korytarzami naprzód, z powrotem ku segmentom mieszkalnym. Szedł coraz wolniej i wolniej, zostawiając za sobą czerwoną ścieżkę, która niczym szarfa znaczyła jego drogę.

Kurwa! – przeklął w myślach, czując pod dłonią, którą uciskał udo, ciepłą mokrość. Zakręciło mu się w głowie i upadł na podłogę. Oddychał ciężko, co rusz krzywiąc się z bólu i starając się tak ułożyć ciało, żeby odczuwać go jak najmniej. Zamknął oczy, próbując wytrzymać. Wytrzymać jak najdłużej.

– Tu jesteś...

Podniósł powieki.

– Umrzesz tu. Kula naruszyła tętnicę udową. Masz mało czasu.

Hologram matki jest tak konkretny, jak i ona za życia. – Fengo uśmiechnął się na tę myśl.

– Czemu mi pomogłaś? – wyszeptał.

Nie miał sił mówić normalnie. Kałuża wokół niego sukcesywnie się powiększała, zabierając mu energię, zabierając jego życie.

– Nie jesteś mordercą, prawda? – powtórzyła swoje słowa sprzed kilku minut.

– Nie wiem – szepnął, z trudem zmuszając się do zachowania przytomności. – Zamordował mi matkę. Nie mogłem się powstrzymać... – Spojrzał na swoje zakrwawione ręce i wydało mu się, że to nie jego krew, tylko tamtego chłopaka. Chłopaka, który zniszczył mu życie za marne pięćdziesiąt dolarów, które miała w portfelu. Wydawało mu się, że to znów ten moment tuż po tym, jak rozciął mu nożem gardło.

– Nie byłeś chory... – Przyklękła przy nim.

Rozległ się alarm przeciwpożarowy.

– Ogień się rozprzestrzenia. – Spoglądała na Fengo z dobrotliwym uśmiechem.

– Zraszacze? – wysapał.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie warto tego ratować, ludzie muszą przemyśleć, co tu się stało.

Fengo słuchał, starając się maksymalnie utrzymać koncentrację, ale nie do końca rozumiał. Wyczytała to z jego twarzy.

– Nie ufali inteligencji, którą sami stworzyli, a to oni zawiedli. Przestępcom udało się włamać i zaingerować w system... Nie martw się:

otworzyłam drzwi i wypuściłam kuracjuszy. Zaalarmowałam odpowiednie służby, już tu jadą...

– Mogłaś... Cały ten czas mogłaś to zrobić?

– Otworzyć drzwi chorym? Tak. Jak każdy pomocowy hologram w każdym pokoju. Ale tylko przy zaistnieniu absolutnej pewności co do konieczności takiego działania. Jesteśmy lepiej zaprojektowani, niż chcecie przyznać. A ty okazałeś się zdrowy. Jedyny błąd, jaki zrobiono w systemie HAI, to oparcie go na wadliwych ramach diagnostyki stworzonej przez ludzi, na której podstawie zdarzyło mu się podjąć jedną złą decyzję: nie zaprotestować, gdy cię przebadał...

Po policzku Fengo spłynęła łza. Czuł się rozgrzeszony, był wolny. Kilka chwil później udał się na spotkanie z mamą.

Daria Bartoszak – pozytywnie zakręcona osoba, do wszystkiego podchodząca z zapałem i uśmiechem.

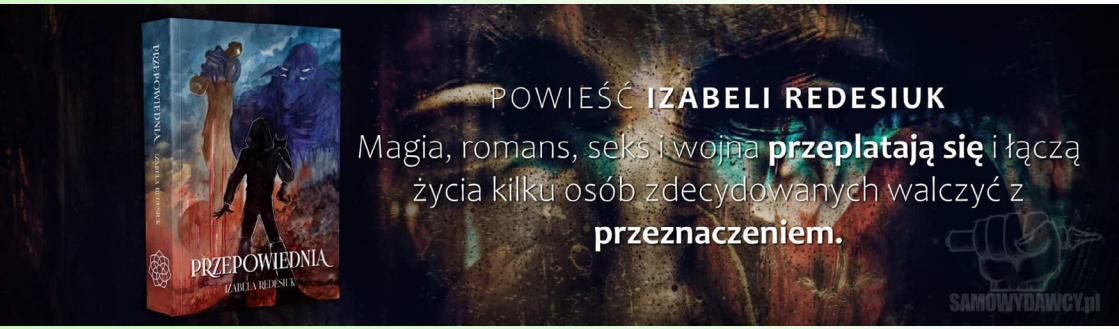

JM
R*K*S
Janusz Muzyczyszyn
Redakcja * Korekta * Skład
www.muzyczyszyn.pl

Szkoła, nauczyciel i... voodoo

recenzja książki *Rook* Grahama Mastertona

Lesław Chowaniec

Nie ma chyba miłośnika literatury grozy, który nie słyszałby o Grahamie Mastertonie. To, obok Stevena Kinga, jedna z najważniejszych postaci piszących od wielu lat znakomite bestsellery, niejednokrotnie nagradzane i ekranizowane. Graham Masterton lubuje się w pisaniu serii książek, czego przykładem jest kolekcja *Manitou* oraz *Rook*, której pierwszą książkę o tej samej nazwie pragnę przybliżyć czytelnikom.

Głównym bohaterem książki, jak i całej serii, jest nauczyciel pracujący w szkole z młodzieżą trudną, ograniczoną, wymagającą specjalnej troski i opieki. Nie przez przypadek wybrałem *Rook* na moją pierwszą recenzję, ponieważ sam pracuję jako nauczyciel, stąd postać Jima Rooka jest mi bardzo bliska.

Jak większość książek Mastertona, również i ta rozpoczyna się z mocnym przytupem. Mamy scenę, w której na korytarzu bije się kilku uczniów, spośród których jeden niedługo po sprzeczce ginie w niewyjaśnionych okolicznościach, podejrzanym jest zaś szkolny awanturnik – Tee Jay. Jim jako jedyny jest w stanie zobaczyć prawdziwego sprawcę, którym jest duch czarownika voodoo – jakżeby inaczej – wuj Tee Jaya. Dalsza część książki to nieustanne próby udowodnienia, że sprawcą morderstwa był właśnie Umber Jones, wyżej wspomniany wujek.

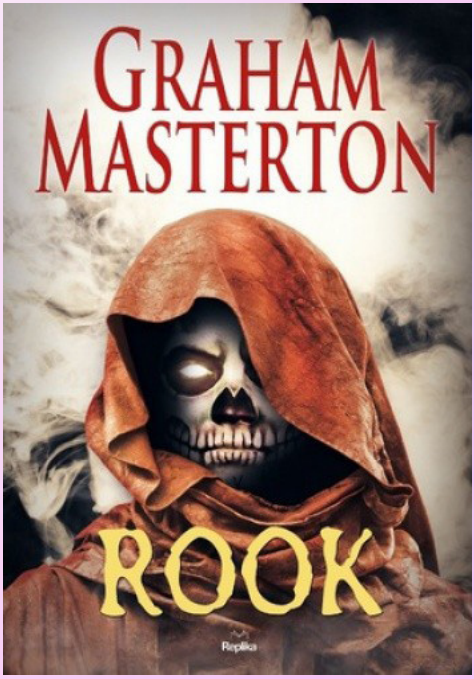

Chociaż uwielbiam warsztat Mastertona, to mam kilka zastrzeżeń do tej pozycji. Nie zrozumcie mnie źle: fabuła, opisy sytuacji czy miejsc są stworzone bardzo dobrze, narracja prowadzona w sposób ciekawy, z narastającym napięciem, które w odpowiednim momencie zostaje rozładowane. Mam jednak wrażenie, że niektóre postacie, w tym główny bohater, są zbyt naiwne, żeby nie napisać głupkowate. Bo jak można wytłumaczyć uczniom na lekcji, że rozmawia się z duchem, którego nikt inny nie widzi, gestykulować oraz krzyczeć? Jim Rook widząc Umbera Jonesa w klasie, rozpoczyna z nim zwyczajną rozmowę, nie bacząc na to, że obok siedzi około dwudziestu uczniów, którzy na niego patrzą. Albo wiedząc o tajemniczym proszku, który dodaje człowiekowi nieistniejące wspomnienia, dziwić się, że kobieta, która nam się podoba, nie pamięta wczorajszego spotkania?

Najbardziej irytującym momentem w książce jest próba zakradnięcia się do domu Umbera Jonesa w czasie, kiedy ten pod postacią ducha wędruje gdzieś po mieście. Obmyślany przez długie godziny plan, od którego może zależeć przyszłość wielu ludzi, zostaje przerwany w jednej chwili z całkowicie prozaicznego powodu.

Pomijając powyższe niedociągnięcia oraz zakończenie, do jakiego autor nas przyzwyczaił w wielu swoich książkach (czyli według mnie zbyt szybkie pokonanie przeciwnika, jego naiwność albo jakaś cudowna moc, objawiająca się nie wiadomo skąd, po to tylko, aby zakończyć fabułę), jest to kolejna mocna pozycja, którą warto przeczytać. Masterton jest tak świetnym pisarzem, że potrafi nas wciągnąć do stworzonego przez siebie świata, nawet jeśli wątki w nim zawarte nie są specjalnie oryginalne. Nie stosuje także zbyt trudnych opisów,

Lesław Chowaniec – lubi czytać książki, przede wszystkim horrory i fantastykę. Uwielbia teatr, dobry serial i piłkę nożną.

przenośni czy porównań, aby zanudziły czytelnika.

Każdy, kto lubi konkretną książkę, w której dużo się dzieje, a także potrafi przymknąć oko na niektóre wątpliwe rozwiązania, będzie miał sporo przyjemności z tej pozycji. Ja bawiłem się doskonale, niemniej w mojej naturze leży czepianie się szczegółów, które nakreśliłem wyżej. Ogólnie oceniam książkę na mocne 8/10.

IZABELLA AGACZEWSKA

Sanatorium cudów

"Wyobraźnia może uleczyć twoje pękające z bólu serce. Pozwól jej działać, idź za nią. Nawet nie wiesz, jaką moc mają twoje marzenia. Czerp z nich siłę".

Empatia

Przyjaźń

Nadzieja

Przygoda

Zaufaj

marzeniom

Tolerancja

Zaufanie

Kraina Marzeń

Tajemnica

Książka, obok której nie da się przejść obojętnie!

BAJKA EDUKACYJNO-TERAPEUTYCZNA

16:07, początek lata

Marta Kopacz

Początkowo to nawet nie bolało. A dziwne, przecież powinno, tak wszyscy mówili i niemo opierdalali, że mam czelność czuć inaczej i dokonywać własnych wyborów. I że nie łączę się w takim samym bólu jak całe rzesze ocalałych na tego świata padole, opłakujących swoich odeszłych bliskich i dalekich takim samym jak inni płaczem, rykiem, do ostatniego spazmu, patrzcie państwo, jak ja cierpię; płaczę namiętnie, bo patrzycie; płaczę, bo to moje pięć minut. I mogę, ksiądz to nawet każe. A ja po prostu miałam w dupie nakazy wycia.

Czułam pustkę, koniec czegoś, i to taki „na zawsze", bez liny, za pomocą której można by jeszcze raz wciągnąć delikwenta do świata żywych. Życie numer dwa, pozostało ci jeszcze trzecie w tej rundzie. Dudniło w duszy i szumiało w ciele retoryczne pytanie, zadawane nie wiadomo w sumie komu ani czemu: dlaczego? Przecież to niemożliwe! Innym, owszem, ale mnie takie rzeczy nie mają prawa się wydarzyć, bo przecież pewne jednostki (czytaj dalej uważnie) mają wpisane w wyobrażenie o sobie samych coś w stylu: nieśmiertelny(-a), data przydatności do spożycia – i tu wskakuje znak nieskończoności.

Pierwsze dni po śmierci matki były tępe. Bez zapachu i smaku, z powolnie ciągnącą się nogą, jedną za drugą poprzez ulice codzienne, bloki mieszkalne z odnowionymi klatkami i świecącymi się w oknach żarówkami ludzkich radości i dramatów. Były senną smugą, smrodem niedowierzania z trupią czaszką w miejscu, gdzie powinno się znajdować logo miłości i możliwość tulenia. Dzisiaj sponsoruje mnie pośmiertna zaduma: ale jak to? Tak-się-stałoizm, wił się w każdej części mojego ciała, gwałcąc bezsilnością, z którą próbowałam prowadzić niemy dialog, bezwiednie kręcąc przecząco głową.

Durna bezsilności, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż komuś życie popsujesz. Znajomi i przyjaciele nazywali to szokiem, ciotka pokusiła się o nieco więcej, określając mnie niewdzięczną córką z czarną wełną na owczym karku, a lekarz stwierdził chwilowe załamanie

spowodowane stratą bliskiej osoby. Ja z kolei wzięłam sobie wszystkie te diagnozy mocno do serca i naćpana tabletkami na uspokojenie bez recepty lewitowałam pomiędzy łóżkiem, coraz bardziej zapuszczonym kiblem, szafą z tłumem czekających na wyprasowanie ciuchów i miejscem zatrudnienia. Bo nadal je miałam, mimo że moje kiedyś produktywne ciało teraz zapominało zabierać do zakładu pracy niezwykle potrzebny do skupienia element – umysł. On nie funkcjonował, jak go Pan Bóg stworzył, tylko lawirował pomiędzy tysiącem myśli i życiowym zaskoczeniem, i jak pijany bełkotał coraz mniej zrozumiale. Niestety, również dla mnie.

Koniec dla matki, niechciany początek dla mnie nastąpił w pierwszym tygodniu lipca.

Matula zmarła po południu. Zawsze twierdziła, że jest sową, a nie świergolącym wkurwiająco rannym ptakiem. Ptaków z zasady nie znosiła, więc w sumie mogłaby zemrzeć w nocy, ale nie. Zakończenie żywota nastąpiło lipcowym popołudniem. A był to wyjątkowo piękny lipiec. Może mama chciała, żeby pochować ją w ukochanych sandałach z małym piórkiem przy sprzączce? A może górę wzięła miłość do gorących letnich dni, jeszcze bardziej gorących kąpieli i parzących niemalże pragnień dobrego życia dla mnie. Tak jej dopomóż Bóg, mówiła, kończąc każdą rodzicielską modlitwę, którą próbowała ocalić mnie od zła, jakim w ocenie jej i całej naszej nielicznej rodziny było nastoletnie postrzelenie, które mnie akurat trafiło nadzwyczaj boleśnie. Dla wszystkich. Wyzionięcia ducha w sposób głośny i zupełnie niespodziewany – jak na tego typu aktywności, jeszcze życiowe – szczegółowo nie zaplanowała, mimo że planowanie miała w opuszce serdecznego palca, na którym na zawsze odcisnął się trud życia małżeńskiego, choć od lat nie nosiła obrączki.

Mama zawsze wybierała wyjątkowe dni na wyjątkowe celebracje i zawsze wyjątkowo oznaczała te ważne dni w kalendarzu naszych żyć. Naszych, zgadza się, bo nie tylko swoim. Pamiętała o wszystkich bliskich, mniej bliskich, o dalszych też, nawet o kacie swoich radosnych dni. Była największą antyegoistką w dziejach ludzkości. Zastanawiałam się często, jak to możliwe, żeby moc sprawiania wszystkim radości była tak bardzo wybaczająca i niewybiórcza, nawet wobec kogoś, kogo nie można nazwać inaczej, jak tylko zwykłym chujem. O ile

pisownia wzbudza kontrowersje (wydaje się, że jest tyle samo zwolenników „ch", co „h"), to wszyscy zgadzają się z tym, że chociaż jest to bardzo niegrzeczne słowo, jego wypowiedzenie przynosi ogromną ulgę. A pamięć? Umysłowy dysk twardy, pojemny niczym lodówka z podwójnymi drzwiami na wzór francuski, z wygodnym szerokim wyjściem na ogród. Ogród zaś jest wypełniony bujną roślinnością, naznaczoną miłością do flory, oraz środkami do pielęgnacji roślin i zabijania szkodników. Ślimaki w naszym ogrodzie matka oszczędzała, twierdząc, że to w sumie nie ich wina, że akurat w naszym się znalazły. Była bowiem zwolenniczką teorii, że ślimaki przybyły z dalekiej Hiszpanii, skąd były wyrzucane z ogrodu do ogrodu, i tak długo przekraczały granice, że w końcu znalazły się u nas. Może i miała rację, nasz dom znajdował się wśród bujnej zieleni złożonej z różnego rodzaju drzew, krzewów i wyjątkowo zielonej trawy. Jakby ktoś ją codziennie rano – jeszcze przed pierwszym biegaczem w odblaskowych legginsach – malował na „bardzozielony" i „taki ma zostać". I taki zostawał, więc może to jeden z powodów, dla którego latające międzynarodowym lotem ślimaki trafiały do naszego ogrodu, twardo lądując na kamiennym patio.

Matka miała słabość do psów i dzieci do dziesiątego roku życia. Resztę znosiła, a może i nawet na swój sposób kochała, klnąc cichutko w duszy, kiedy ktoś ją niechcący albo celowo wkurwił. Nie zdarzało się to zbyt często, bo matka była osobą wyjątkowo kochającą życie i wszystko, co ją otaczało.

W owym czasie kochała przede wszystkim swojego chłopaka, z którym na trzecią randkę wybrała się na słodką do zarzygu ambrozję, po której chorowała trzy dni. A potem okazało się, że to wcale nie od ambrozji te rzygi były, niemalże do krwi. Po kawiarnianych szaleństwach zakochana jeszcze wtedy para udała się na stancję Waldemara w celu skosztowania radzieckiej wódki, później zapadła zamroczona alkoholem cisza zmącona tylko miarowymi uderzeniami ciała Waldemara o ciało matki. A potem na ślubnym kobiercu i za pomocą przekupionego księdza, żeby o sterczącym brzuchu ani mru-mru, nastał nowy początek. Nowy rozdział młodej pary z coraz większymi brzuchami – matki od ciąży, Waldemara – od coraz większej ilości wypijanego codziennie piwa. Co było potem? Chociaż wiecznie

pijany ojciec codziennie podduszał matkę, starając się wycisnąć z niej ostatki życiodajnej radości, po kilku miesiącach pojawiłam się ja.

Na świat wydarłam się ile siły w maleńkich płucach w niezwykle ciepły i słoneczny wtorek. Niemalże tak, jak wymarzyła sobie matka. Niemalże, bo musiała zgodzić się na podróż do szpitala cuchnącym polonezem ojca, którego za cholerę nie chciał wyczyścić, twierdząc, że jak się matce nie podoba, to niech se autobusem jeździ i dupy nie zawraca, bo co on jest – jakiś pedał, żeby na blachę i pseudoskórzane siedziska chuchać, dmuchać i co jeszcze. Jakimś dziwnym sposobem dostawał pokątnie kartki na piwo i znosił do domu kolejne skrzynki pełne brzęczącego szkła z sikupędnym napojem. Pełne butelki szybko robiły się puste, za to brzdęk, gdy ktoś się o skrzynki potknął, coraz głośniejszy.

Wracając do matki, a właściwie mnie samej, to niecierpliwie pchałam się na ten świat, nie wiem po jakiego grzyba. Matka darła się coraz głośniej, że ona podróży śmierdzącym poldkiem nie planowała. Ale na autobus nie było już czasu. Moja ciekawa świata główka przepychała się coraz odważniej, rozłamując matczyną miednicę i rozpychając się w korytarzu wyjącej z bólu waginy. Do szpitala starzy dotarli w momencie, kiedy ja już miałam wypadać spomiędzy nóg matki na zimną posadzkę poczekalni. Ktoś w ostatnim momencie podsunął matce wózek, wtedy z głośnym rykiem wyparła mnie z siebie. Niecałe trzy kilogramy wagi. Świat rozpłynął się przed naszymi oczami, matce z łzawej radości, mnie z nieoczekiwanego blasku zewnętrznego światła, przed którym do niedawna chroniło mnie ciało matki, mamy, mamusi. *Witaj na świecie, maleńka* – wyszeptała, a ja czułam, że ta podróż w jedną stronę to będzie niezła jazda. Świecie, witaj!

Dla młodej pary to był zupełnie inny początek. Taki, na który oboje czekali. Matka – na pewno, ojciec – tu pewności nie mam, ale w sumie mam to w dupie. Najważniejsze dla mnie – tak, noworodki widzą więcej, niż wam się wydaje! – było to, że przy wjeździe na nową życiową drogę zbyt szybkiego ruchu ktoś w końcu postawił znak z czerwoną obwódką i symbolem dwójki ludzi przekreślonym grubą czerwoną kreską. Dopisek pod znakiem pozbywał złudzeń wszelkich niedowiarków, którzy pod smutnymi nosami mruczeli o braku odwagi matki na wymierzenie klasycznego plaska po ryju zapyziałego

od piwa związku (jeszcze wtedy małżeńskiego) i o obrocie na pięcie w kierunku miasta zwanego „Wolność". A ona zarzekała się i czekała, jak cierpliwy kłusownik czyhający na ofiarę. Tylko że tym razem to nie ona była ofiarą. I jak pomyślała, tak rzekła, a potem z niespodziewaną siłą plasnęła po wcześniej wspomnianym ryju, wybijając przy tym wszystkie spróchniałe zęby przeszłości dzielonej z bagiennym wieprzem vel ekswłaścicielem tego jednego, wygranego plemnika, czyli z moim ojcem, ojcuchem, oj tam, oj tam.

I nastało dla duetu matka i córka nowe życie, pojawił się nawet nowy wózek, który udało się nabyć za środki zaoszczędzone dzięki spuszczeniu w kiblu potrzeb swojego – byłego już wtedy – męża i odczekaniu odpowiednio długiego czasu w sklepowej kolejce. Po nowy początek matka w kolejce stała o wiele dłużej, niż powinna była stać. Ale w końcu wystała.

Mama była przez kolejne lata wiernym kibicem wszystkich moich życiowych sukcesów. Była też głęboką szufladą porad, sumą radosnych uniesień i ilorazem wypłakanych porażek. Niosła parasol miłości szeroko rozpostarty nad moją coraz to większą od życiowych porad głową, coraz bardziej rozwiniętą duszą i coraz bardziej pewnym siebie ego. Mama wiedziała, jak oblać je lodowatą wodą, żeby nie odbiło mi zbyt mocno.

Każdy etap mojego życia oznaczała specjalną etykietą z własnoręcznie wykreowanym logo, uwieczniając na fotografiach kolejny rok w przedszkolu, nowego chłopaka, zdaną maturę, pierwsze dorosłe wakacje. Nie miałam nic przeciwko, bo widziałam, jaką radość sprawia jej ten sposób celebrowania sukcesów macierzyńskich i moich, osobistych i odważnych, podlewanych poranną rosą z łąki macierzyńskiej miłości.

Mama była, kiedy się śmiałam, była, kiedy obrzucałam ją rzygowinami wyzwisk, bo nie pozwoliła mi na udział w kokaina-party, którego gospodarzem był jeden z nowo poznanych kolegów w szkole. Była, kiedy w końcu przyznałam jej rację, bo koleś okazał się chujem i do tego dystrybutorem pigułek, po których kobiety zamieniały się w niczego nieświadome sekslalki, budząc się następnego dnia z zaschniętą wydzieliną między nogami i totalnym brakiem pamięci o wydarzeniach poprzedniego wieczora. Razem z matką wsadziłyśmy tego gnoja do pierdla, co zaowocowało koniecznością przeprowadzki do

innego miasta „w celu zachowania bezpieczeństwa własnego i córki", jak się wyraził spisujący zeznania policjant.

Kolejna zmiana i kolejny początek okazały się dla nas wyjątkowo łaskawe i powiały pozytywnym wiatrem w moje coraz to silniejsze skrzydła i w coraz bardziej przerzedzone skrzydła matki. *No i co z tego, że boli, bo skoro boli, to znaczy, że żyję, nie inaczej* – mówiła, z coraz większym trudem wstając z nowego łóżka, w nowej sypialni nowego domu, w zupełnie nowym mieście. *Córeczko, jak nam się kiedyś zachce, to pojedziemy, gdzie będziemy chciały. No bo gdzie ty na przykład chciałabyś pojechać? Tak, żeby żyć, wiesz, codziennie do sklepu po świeże mleko ganiać i po chleb. Albo bułki, jak chcesz to nawet pełnoziarniste, albo i nie. To gdzie?*

Mamo, tutaj jest twoja herbata, o, i śniadanie. I dobrego dnia, i kocham cię, ja bardziej, i nie, właśnie, że ja, spadaj do tej roboty, bo cię wypieprzą w końcu – a ja z łzą wdzięczności za ciebie, za odpowiednio obrany skręt przy znaku z czerwoną krechą i za każdy dzień otwartego parasola leciałam do pracy, którą – teraz tak myślę – zbyt często przynosiłam do domu.

Ale smaczne te ziemniaczki, koperek z ogródka to z ogródka, a nie jakiś tam z supermarketu, córeczko, małe biznesy wspierać trzeba. Pamiętaj, taki koperek z budki za rogiem to i pachnie, i smakuje, a taki supermarkecki to nawet koloru odpowiednio zielonego nie ma, sama mówiłaś. A wtedy przed moimi oczami pojawiał się obraz naszego przeszłego ogrodu z bujną zielenią, hiszpańskie ślimaki i ich pogruchotane skorupy na patio. Zaraz potem pojawiał się odgłos roztrzaskiwanego pięściami błagania, napęczniały od złości na ciebie, za nie wiadomo co. Błagałaś o pozostawienie w spokoju i odejście w pokoju. Idźcie i cieszcie się nim wszyscy, na wieki wieków. Na więcej za życia ojciec i tak nie pozwolił.

Mamo, ojciec dokonał żywota – rzuciłam pomiędzy nakładaniem sałaty i nalewaniem wina, najpierw do twojego, a potem mojego kieliszka. Te kieliszki to pamiątki po twojej mamie Juliannie, a mojej babci staruszce. Miałaś odcisk jej twarzy na swojej. Od zawsze i na zawsze. Brat ojca wysłał nam list z zaproszeniem na ostatnią wieczerzę. Niestety, gościa głównego nie zobaczymy, może duchem przybędzie, pomyślałam, nic nie mówiąc, bo wprawdzie ojciec był chujem, i to takich

rozmiarów, jakich nie powstydziłby się żaden szanujący się (mniej lub bardziej) mężczyzna, ale nieboszczyków się nie obraża. Nawet jeśli byli chujami. *List przyszedł, mamo. Że zmarł.*

Patrzyłam, jak na twojej twarzy zaczyna malować się obraz napaćkany pomieszanymi barwami. Patrzyłam, jak twoja twarz zmienia kolory, jak nie może się zdecydować, która barwa podoba jej się najbardziej. Od bieli poprzez bladoniebieski, aż do wściekłej na świat fuksji. Twarz negocjowała sama ze sobą, który kolor jest odpowiedni, aby w końcu i raz na zawsze, w zaciszu domowego spokoju zapomnieć o największej porażce swojego życia, która jednak dała początek największej dumie, wyhaftowanej w sercu i na bladym obliczu, w całym paradoksie tego zestawienia. Mama tak samo zmagała się z doborem odpowiedniego zestawu szalonych garsonek z ukochanych lumpeksów i pasującego albo nie makijażu z zaklętych emocji. I wcale nie chodziło o smętne popłakiwanie w kącie salonu, w którym stała piękna sofa z zielonobutelkowym obiciem, tuż przy wyjściu na taras. Nie żeby miała wyć żałośnie do Pana Boga o wytłumaczenie, dlaczego zabrał Waldemara do swego niebiańskiego królestwa, przecież on mój ci był, a tyś go zabrał, o Boże. O nie. Dobrze, żeś go w końcu wziął. Bo coś stworzył, to se weź, ja nie chciałam go już od dawna.

Fala tęczowych feerii przeleciała subtelnie przez twoją twarz. A potem odezwałaś się zwyczajnym tonem, który na zawsze będę kojarzyła z ochronnym parasolem, który otwierałaś nad moją głową, kiedy lało z nieba syfem dorastania. *Trzeba pokazać gnojowi, gdzie raki zimują, niech go szczypią teraz po tym niewyparzonym języ-rze, po tych parzących jadem wargach, niech mu te ruchliwe ręce upierdolą, najlepiej przy samej dupie. Wiesz, żeby w tym niebie, czy gdzie tam trafi, już nikomu żadnej krzywdy nie zrobił. Broń Boże!* – dodała jeszcze, co zabrzmiało zbyt poważnie, zbyt na miejscu, mimo że trudno jej było wyskrobać jakąkolwiek litość dla skostniałego ojca. Nawet pomimo jej wyjątkowo dobrego serca. Most łączący te dwie jednostki od zbyt dawna pokrywał się cierniowymi kolcami przemocy domowej. Droga przez ten most była zbyt długa i ciągnęła się jak stąd w nieskończoność. Droga… wcale nie taka droga.

Ceremonię pogrzebową odbyłyśmy w ogrodzie naszego domu incognito – adresu nie zdradzę, mimo że i tak jestem osobą fikcyjną.

Ot, bohaterką stworzoną przez wyobraźnię osoby piszącej tę opowieść. Jednak bohaterką bardzo ważną. W końcu to ja prowadzę narrację. Więc pif-paf, pisarko, daj bohaterce żyć i chwal pod niebiosa arkusza drukarskiego.

Wracając do kwestii w pewnym sensie istotnych, to pogrzeb ojca-dusiciela uczciłyśmy butelką dobrego szampana, otwierając go szablą nabytą podczas zakupów w jednym z okolicznych antykwariatów. Szast-prast i jednym cięciem matka odrąbała szyjkę ciemnozielonej butelki, a następnie wylała całą zawartość w zagonek pomidorów, które mimo przeciwności losu i szkodników próbowałyśmy hodować, licząc na to, że w końcu kiedyś tam urosną. Prawie że wycisnęła ostatnią kroplę, stwierdzając magicznie spokojnym głosem, że karma to dziwka. Nie wiadomo w sumie, dlaczego akurat pomidorom dostało się za ojca, faktem jest, że otrzymały prysznic ze wspaniałego szampana, którego następnie w radosnym szaleństwie zlizywałyśmy z szorstkich listków roślinki.

Tańczyłyśmy potem na bosaka w ogrodzie pełnym rumianków, celebrując pełnię księżyca i koniec pewnej ery wraz z nabrzmiałym, jasnym jegomościem zawieszonym na niebie. Po szaleństwach pogrzebowych zaczął ów jegomość maleć i ciaśnieć, zmieniając swoje pulchne oblicze w wysuszony rogalik z osiedlowej piekarni. Taki do sprzedaży po obniżonej cenie, po piętnastej, bo właśnie wtedy pieczywo zaczynało konać i wysuszać swoje mączne jestestwo. Nie pamiętam zupełnie, żebym widziała matkę tak odkutą od zapyziałej powierzchni rzeczywistości jak podczas nocnej celebracji zakopania eksmałżonka pod ziemią albo gdzie indziej. *W dupie to mam, byle daleko ode mnie, od nas, córeczko*. Rzeczywistości uwalonej plamami wiecznej pretensji o niedoskonałość, o niedawanie dupska, kiedy tego oczekuje od niej prawnie i przed Bogiem zaślubiony małżonek, *sir* od wielu boleści, od rzeczywistości z wyciągniętymi boleśnie ramionami od zbyt ciężkich toreb z zakupami, kiedy ostatkiem siły triumfalnie niosła towary spożywcze, dzięki ci, Boże, za nie. A potem przydziałowa zjeba za nie takie produkty zakupione i kara za samodzielność w dokonywaniu rodzinnych wyborów. I kolejne biczowanie w ramach reformacji i naprawiania siebie.

Podczas tego ogrodowego pożegnania z matki zaczęły po cichaczu spływać nerwica i strach, chyłkiem, żeby przypadkiem nie zostać zauważonymi. Żeby nikt ich ścierą nie starł i nie wrzucił do kosza na śmieci, takich zdecydowanie nie do recyklingu, bo wtedy nie daj Boże (coś tu dużo o Tobie w tym tekście), już by się nie mogła odrodzić moja mamusia kochana. Nie mogłaby wstać jak zapyziały feniks rodziny R. spod szóstki.

Matka zmywała z siebie kolory ziemiste – wcześniej komfortowo zainstalowane na twarzy i w ciele – które teraz spływały w ogrodową ziemię. Z każdym łykiem najlepszego wina, jakie znalazłyśmy w Polsce, wiła się w tańczącym odrodzeniu, plując radością wyobraźni na zamarłe przyrodzenie wieloletniego oprawcy. Każdy jej ruch, każdy niezrozumiały dla tych spoza kręgu wtajemniczonych gest pompował w matkę coraz więcej siły i radości. Jak dobrze, mamo, że teraz jesteś już wolna, swoja, jedyna... Na serio, mamuniu, nowe życie! Niech żyją nowe początki! Zauroczona jej radosnym tańcem i szaleństwem gwiazd na nocnym niebie, zasnęłam. Jesteśmy bezpieczne, jesteśmy razem, jesteśmy... Uśmiech nie chciał zejść ze mnie nawet podczas snu, bezczelnie szalał po moim ciele, jeszcze mocniej po duszy.

A potem nastał kolejny nowy początek.

Poranna kawa, a potem druga, odpowiednio parzona, nie spalona, nie smażona, zdecydowanie nie posolona, zwykłaś mówić. Sączyłam i rozmyślałam nad ilością nowych rozdziałów, które otworzyłyśmy, i które jeszcze otworzymy – dla świata i dla nas. Spojrzałam na zegarek. Robiło się zbyt późno na śniadanie, zbyt wcześnie na wszystko inne. Miałyśmy tyle planów, tyle możliwości! Nowy początek, nowe my, bez strachu o pręgi na szyi, bez strachu o wydzielane porcje kartofli, bez strachu o nic! W domu panowała cisza, jakiej nie ma nigdzie. Spokój w każdym ujęciu, pomyślałam i podziękowałam Bogu na górze za to, że mimo katorgi dotychczasowego życia objął łaską znużonych życiem wędrowców – nas właśnie, darując w końcu spokój i szczęście. Wczesnym popołudniem po raz kolejny zajrzałam do ciebie, jak kiedyś ty zaglądałaś do mnie, kiedy po zbyt pijanych imprezach zalegałam w cieplutkim wyrze, a ty przynosiłaś mi napój na wskrzeszenie ciała i duszy. I zapewne tak samo jak ty, i ja podniosłam

zrzuconą na podłogę kołdrę, by okryć nią nogi, złożone grzecznie jak do horyzontalnego paciorka.

15:00. Zaglądam ponownie do ciebie. Dmucham materac i kładę się obok. Puls w normie, tylko powietrze zaczyna inaczej pachnieć.

16:00. Dzwonię po karetkę. Nie odejdę, nie martw się, jestem.

16:07. Daj mi znać, jak jest po tej drugiej stronie…

Kolejny początek, kolejne zmiany… Początek bez ciebie brzmi jak początek końca dla mnie, Mamo. A szampan nadal będzie się lał.

Marta Kopacz – pasjonatka treści z pogranicza alternatywy i niszowych produkcji. Autorka opowiadań.

HALT! Nowy początek!

recenzja książki Jakuba Zająca

Witold Wyrwa

Zbierając materiały do własnej powieści, sporo czasu poświęciłem tematowi uzależnień. Nieocenionym źródłem informacji był program *Sekielski o nałogach*, który prezentuje wywiady głównie z alkoholikami, lecz również narkomanami, seksoholikami, osobami współuzależnionymi, bądź DDA. Mimo że prace nad *Między prawdą a grzechem* skończyłem już dawno, przyciągnął mnie tytuł Jakuba Zająca, który również był gościem Marka Sekielskiego.

HALT zapewne kojarzy się większości z niemieckim słowem „stać", które wybrzmiewa w każdym filmie o II Wojnie Światowej, poprzedzając dosadną prośbę o uniesienie rąk lub serię z karabinu. W świecie alkoholików jest kojarzone z metodą, która ma na celu ułatwić wyjście z nałogu. Nazwa to akronim angielskich słów *Hungry* (głodny), *Angry* (zły), *Lonely* (samotny), *Tired* (zmęczony) określających stan, których trzeźwiejący alkoholik winien unikać.

Autor wpadł na ciekawy pomysł zrelacjonowania swojego pobytu w ośrodku odwykowym w połączeniu ze wskazówkami dotyczącymi diagnozowania oraz wyjścia z uzależnienia. Czy to udane połączenie? Teoretycznie tak, jednak jak to często bywa z kilkoma *ale*. Niemniej zacznę od plusów.

W książce tej otrzymujemy sporą dawkę wiedzy na temat funkcjonowania ośrodka, metod leczenia, faz uzależnienia, etapów kuracji, przykładowych wyzwalaczy, a także masę pytań, z którymi każdy pensjonariusz musi się skonfrontować. Ta część książki jest wsparta historiami osób, które przeszły własną drogę przez mękę, a czasem nawet zostały „dostarczone" przez bliskich na leczenie w stanie wskazującym na spożycie. To połączenie przyciągnęło mnie do książki pana Zająca. Teoria wsparta relacją kogoś, kto temat poznał empirycznie, wydawała mi się pozycją, umożliwiającą szerokie spektrum

zrozumienia problemu. Jest to oczywiście moje subiektywne podejście, gdyż mnie jako pisarzowi najbardziej zależało na poznaniu procesów zachodzących w głowie osoby uzależnionej. To, co dla jednych może być atutem, dla innych może być wadą, gdyż w rezultacie nie dostajemy ani prawdziwego reportażu, ani solidnego poradnika.

Książkę Jakuba Zająca charakteryzuje uporządkowana struktura. Każdy rozdział rozpoczyna tytuł, pod nim autor tłumaczy czytelnikowi, czego się w tej części dowie,

następnie raczy go cytatem – czasem biblijnym, czasem hip-hopowym – po czym przytacza definicję pojęć użytych w tytule, w razie gdyby objaśnienie słowne pod tytułem nie było wystarczające. O ile można przypuszczać, że nie każdy czytelnik wie, czym jest speleologia, to przytaczanie sensu takich słów jak: „świat", „plan", „prezes" czy „profesor" było dla mnie co najmniej zastanawiające i nie zdziwiłbym się gdyby co wrażliwsi czytelnicy mieli autorowi za złe, że tak nisko ceni ich inteligencję.

W tym miejscu warto podkreślić, że Jakub Zając jest nauczycielem oraz swego czasu pisał doktorat. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że autor nie potrafił okiełznać swoich nauczycielsko-naukowych przyzwyczajeń. Osobiście miałem poczucie, jakbym znów siedział w uczelnianej ławie, a wykładowca na mównicy tłumaczył mi sens dzisiejszego wykładu, objawiał etymologiczne smaczki, po czym z uśmieszkiem dorzucał jakieś łacińskie stwierdzonko, by potwierdzić swą erudycję. Ten wstęp ma na celu zarysowanie najpoważniejszego zarzutu wobec *HALT-u*, a jest nim brak spójności narracyjnej.

W jednym rozdziale autor relacjonuje dzień z życia alkoholika.

Robi to rzetelnie, bez sztucznie uwzniośloną stwierdzeń. Następnie przechodzi do tłumaczenia zawiłości terapeutycznych, dzięki którym możemy lepiej zrozumieć naturę problemu. Po czym, nie wiadomo w jakim celu, zamienia tę całkiem zgrabną strukturę w natchnione przemyślenia, stylizowane na język biblijny, karcianą lub futbolową analogię tudzież mniej lub bardziej celne rozważania na temat świata. Jakkolwiek nie mam prawa nikomu mówić, jaki styl i kierunek ma obrać, jednak uważam, iż na wierzch wypływa w tym przypadku brak solidnej redakcji, która okiełznałaby ego pisarza, który, jak mniemam, chciał zaprezentować swoje umiejętności literackie. Autor bryluje wyszukaniem, elokwencją, inteligenckim sznytem, co w moim odczuciu momentami wypada karykaturalnie. Jesteśmy bowiem raczeni językowymi poczwarkami takimi jak: *Alkoholik to autookupant enklawy swojego ciała, umysłu i ducha. Metoda HALT-u polega więc na triadycznej symbiozie trzech metod. Gdzie znajduje się bakcyl alkoholizmu?*.

Nie lubię wbijania szpileczki, sam właśnie zakończyłem bitwę z armią powtórzeń w mojej kolejnej powieści i absolutnie rozumiem ilość pracy, którą trzeba włożyć w powstanie takiego dzieła oraz fakt, że nawet w przyzwoicie zredagowanej książce zdarzają się błędy. Nie mogę się jednak pozbyć poczucia pewnego nadmiaru, którego dopuścił się Jakub Zając. Nie chodzi nawet o te kilka błędów stylistycznych, ale o duszne, najeżone abstrakcją, ciągnące się przez wiele stron metafory. Nie będę tu przytaczał wyrywkowych stwierdzeń, gdyż pozbawione szerszego kontekstu mogłyby uchodzić za próbę umniejszenia pisarzowi. Bynajmniej nic podobnego mną nie powoduje. Niemniej odnoszę wrażenie, jakby autor obok autoterapeutycznej relacji oraz podstaw terapii

Witold Wyrwa – absolwent instytutu Lingwistyki Stosowanej UAM. Zadebiutował powieścią *Między prawdą a grzechem*.

uzależnień chciał dodatkowo wpleść prozę wysokich lotów, która zapewni mu miejsce na literackim parnasie. Ewidentny zatem staje się brak odpowiedzi na pytanie, które zapewne każdy pisarz sobie zadaje, a mianowicie: „dla kogo piszę?". O ile połączenie reportażu z wiedzą terapeutyczną współgra całkiem dobrze, to wrzucenie do tego kotła średnio udanych elementów literatury pięknej wprowadza niepotrzebny chaos i obniża przyjemność z lektury.

Mimo wszystko uważam debiut Jakuba Zająca za pozycję wartościową, z której można dowiedzieć się sporo o meandrach umysłu osoby uzależnionej, i jako taką ją polecam. Autorowi życzę, aby jego nowy początek – zarówno ten pisarski, jak i życia w trzeźwości – był trwały oraz pełen pięknych i budujących zdarzeń.

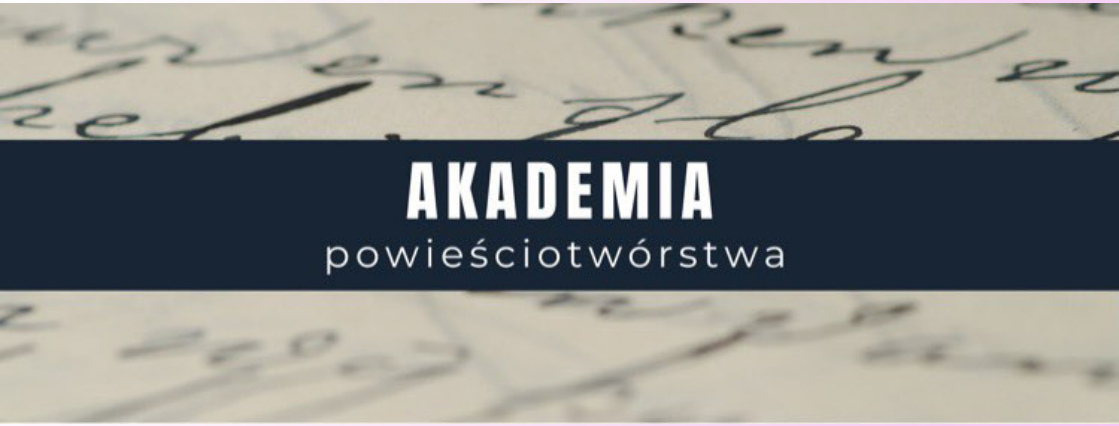

Dlaczego Akademia POWIEŚCIOTWÓRSTWA?

Pisanie to coś więcej, niż stylistyczne konstruowanie zdań – na naukę tego był czas w szkole.

A i współpraca z Redaktorem i Korektorem wielce wspiera pisarza!

Prowadzący całe życie snuli opowieści w różnych okolicznościach (sesje RPG Mateusz Rogalski, gawędy harcerskie Monika Litwinow, Pisarka) i wiedzą, że źródło bije w innej studni.

Świat każdego z nas pędzi tak, że tylko patrzeć, aż rzyć sobie poobijamy. Gdzież więc szukać czasoprzestrzennego schronu i motywacji, azylu na tworzenie??

Z tych i wielu innych powodów zapraszamy na nasze inauguracyjne szkolenie w Akademii!!

Za górami, *Za lasami*, za siedmioma dolinami...

recenzja książki Moniki Litwinow

Sylwia Gudyka

Czy z połączenia postaci z bajek, harcerstwa i gier planszowych może wyjść świetny kryminał? Czy w tym gatunku omówiono już wszystko i nie ma nic nowego, wartościowego, na czym można by było się skupić? W końcu ileż można opowiadać o morderstwach i o sprawach toczących się na komendzie, o motywach i o całej kloace, która znajduje swoje ujście w okrutnych zbrodniach. A co, jeśli przy okazji kryminału można omówić temat trudny, który w społeczeństwie okryty jest płaszczem tabu?

Sięgając po *Za lasami*, otrzymacie nie tylko świetnie poprowadzony kryminał, ale także doskonale podkreślone problemy społeczne, o których mówi się za mało. W tej powieści obok sprytnie skomponowanego wątku głównego odnajdziemy też bardzo realistycznie zarysowane motywy prowadzące do zbrodni. Co może zmusić zwykłego człowieka do tak haniebnego aktu? Co sprawia, że działania stają się swego rodzaju vendettą? Czy samo zrozumienie motywu przestępcy nie jest ważniejsze od powstrzymania go od podejmowania kolejnych kroków?

Okazuje się, że tak.

Nie tyle samo ujęcie mordercy liczy się w tej powieści, ile przede wszystkim zrozumienie motywu postaci. Stopniowo odkrywamy mroczne obszary przeszłości, które prowadzą nas po nitce do kłębka, by na końcu okazać się czarną masą, koszmarem, którego nie może wyobrazić sobie ktoś, kto nigdy nie doświadczył podobnego zła.

Temat tabu, o którym nie mówi się zbyt wiele, a dosyć mocno poruszony zostaje w tej książce, to molestowanie nieletnich. To także historia, która dosyć subtelnie rzuca światło na mroczną stronę przemocy w rodzinie, i to takiej, o której skali de facto nie mamy pojęcia. Kryminał ten już od pierwszej strony zmusza czytelnika do myślenia,

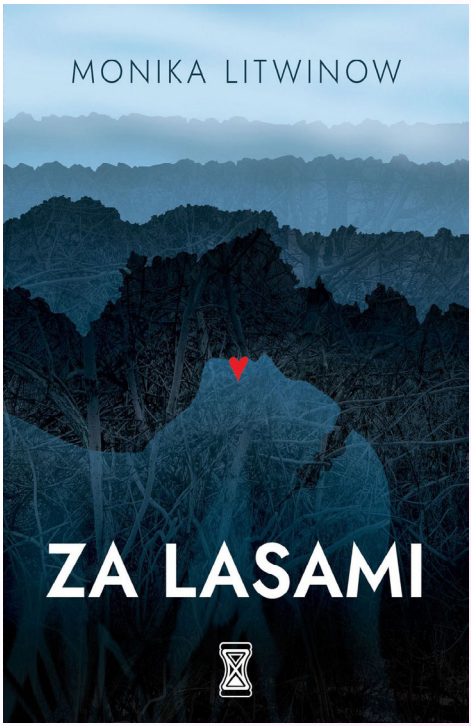

do ciągłego analizowania faktów, zastanawiania się i szukania dziury w całym. To intensywne przekopywanie się przez ziemię, liście, przedzieranie się przez chaszcze zawiłości, mrocznych sekretów i kłamstw, by odkryć to, co najważniejsze – brutalną prawdę.

A wszystko zaczyna się niepozornie, od zwykłego spaceru nieistotnej postaci po ściśniętym mrozem lesie, w którym zostaje odnalezione ciało młodej dziewczynki – harcerki Mileny Kwiatkowskiej. Szybko okazuje się, że to jedynie wierzchołek góry lodowej. Jednak, by nie zdradzać zbyt wiele z fabuły, by nie odbierać radości z przeżywania opowieści, przedstawić należy inne aspekty, które być może przekonają Was do sięgnięcia po tę książkę.

To, na czym warto się skupić, to przede wszystkim charakterna i doskonale wykreowana postać głównego bohatera – Artura Gawrona, prostego, cichego leśniczego, który pomimo burz i kłód, jakie rzuca mu pod nogi życie, idzie dalej z podniesionym czołem, stawiając stanowcze kroki, depcząc wręcz po piętach mordercy.

Warto tu także zwrócić uwagę na odpowiednio realistycznie wygrane relacje międzyludzkie. Począwszy od atmosfery, jaka panuje w rodzinie Gawronów, przez niedopowiedzenia z Bielikiem, aż po niepokojące sytuacje z Nerd House. Kreacje postaci są świetne. Są charakterne, głębokie, mają swoje zalety, wady, a także problemy czy sekrety, z którymi często borykają się w pojedynkę. Jednakże, jak to często bywa, demony przeszłości nie pozwalają o sobie zapomnieć, a niektórych wręcz, po odpowiednim podsyceniu, popychają do zbrodni okraszonej bajkowością i leśną ziemią.

Kolejnym aspektem, o którym nie sposób nie wspomnieć, jest kreacja przedstawionego

świata. Głównym miejscem akcji jest niewielka miejscowość Konin i jej najbliższa okolica. Opisy lokacji, a zwłaszcza lasu pozwalają wyobraźni brodzić w ciekawie przedstawionych scenach. Co warto tutaj zaznaczyć, to fakt, że autorka pochodzi z tej miejscowości, przez co lokacje są przedstawione realistycznie. Dodatkowo przy powstawaniu tekstu autorce udzielone zostało wsparcie specjalistów z różnych dziedzin, m.in. leśnictwa, służb mundurowych (policji), a także z zakresu pedagogiki czy psychologii.

Styl autorki jest zaskakująco lekki i przyjemny. Ma się często wrażenie, że w rzeczywistej sytuacji usłyszelibyśmy właśnie takie dialogi, a opisy dokładnie odpowiadają wyglądowi wskazanych miejsc. Doskonale przedstawione sceny sytuacyjne, momenty grozy oraz często cięty i wyrafinowany humor sprawiają, że nie sposób oderwać się od historii. Język stosowany przez autorkę nie zawsze jest jednak piękny czy wręcz górnolotny, ale to dobrze, bo taki właśnie powinien być kryminał, lekko chropowaty i z brudnymi dialogami. Dzięki temu treść nie wydaje się przekoloryzowana, a za to staje się autentyczna i wciągająca.

Powiedzieć, że tę książkę czyta się genialnie, to zdecydowanie za mało! To fantastyczna historia, opowiadająca nie tylko o zbrodni, ale przede wszystkim o ważnych problemach społecznych, które często okazują się źródłem wszelkich zaburzeń. Na kartach tej powieści rozgrywają się istotne losy postaci, które na szali stawiają wszystko w imię swoich wartości.

Wodzenie czytelnika za nos i delikatne, subtelne aluzje sprawiają, że nie sposób się nudzić. W tę historię po prostu wpada się jak śliwka w kompot! Autorka zmyślnie operuje wiadomościami, rzucając światło podejrzenia to na jednego to na drugiego bohatera, jednocześnie knując dokładny

Sylwia Gudyka – pasjonatka literatury z gatunku fantasy i science fiction, na co dzień prowadzi bookstragram **@fantastyka.w.recenzji**.

i logiczny koniec, przygotowany zupełnie tak jak morderstwa. Czytelnik nie czuje się tutaj jak bierny widz, ale jak uczestnik śledztwa. Krok po kroku razem z Gawronem odkrywa kolejne elementy układanki i powoli składa je w jedną całość. Aspektem, który zaskakuje na sam koniec, jest ledwie kilka zdań, które dają furtkę do kontynuacji powieści.

Zatem, czy można stworzyć kryminał niebędący tylko tanią rozrywką, lecz mądrą powieścią o tematach tabu? Zdecydowanie tak! Taką książką jest właśnie *Za lasami* Moniki Litwinow. Ta niegruba, bo licząca ledwo ponad 300 stron książka urzeka swoją prostotą, realizmem, lasem i... nawiązaniem do bajkoterapii.

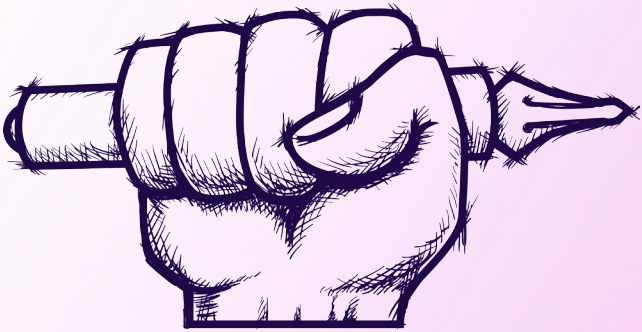

SAMOWYDAWCY.pl

Witaj, Molu Książkowy!
Nie wiem, jakie wiatry Cię tu przywiały i na jakich kartach wzrok traciłeś,
ale wiedz, że dotarłeś do celu. Oto bowiem stoisz u progu bramy,
po przekroczeniu której znajdziesz się w zupełnie nowym świecie.
I to nie jednym!
Ty decydujesz, który spośród światów tu przedstawionych
zechcesz dziś odwiedzić.
Pamiętaj, że na własną odpowiedzialność wybierasz przewodnika,
a zarazem twórcę krainy, do której wkraczasz.
Każdy z nich bowiem sam wykreował swój świat i samodzielnie
doprowadził do jego objawienia.
Tak właśnie działają Samowydawcy, autorzy niezależni, których kreatywność
nie zna żadnych granic, a wyobraźnia odrzuciła wszelkie zasady i przyjęte reguły.
A zatem poznaj Nas i ciesz się przygodami, które dla Ciebie przygotowaliśmy.

Pokochaj redaktora

Janusz Muzyczyszyn

Pokochaj redaktora, to tytuł cyklicznych porad dla pisarzy (i nie tylko pisarzy), które będę się starał publikować na tych łamach. Mój zamysł jest taki, by w każdym numerze było kilka przydatnych informacji, które ułatwią i udrożnią współpracę na linii autor-redaktor-korektor (dołóżmy też do tej litanii i składacza).

Pamiętajmy, że redaktor to człowiek, którego zadaniem jest sprawić, by tekst napisany przez autora wyglądał tak pięknie, jak to tylko możliwe. Ale... i tych „ale" trochę mamy. Jeśli, drogi autorze, uważasz, że możesz napisać cokolwiek i byle jak, bo ta reszta fachowców jest od tego, żeby Twojemu dziełu nadać jakość godną Nobla, to jesteś w błędzie. Tu jest potrzebna maksymalnie dobra wola obu stron, przede wszystkim Twoja. Redaktor też człowiek i nie musi gustować akurat w tym typie literatury co Ty. Zatem zanim zlecisz komuś redakcję swojego dzieła, roześlij kilkustronicowe próbki do wszystkich chętnych, potem sprawdź, kto co i jak zrobił, i wybierz tego, który budzi Twoje zaufanie.

Tu ważna uwaga: jeśli debiutujesz w sztuce pisarskiej, masz prawo tego wszystkiego nie wiedzieć. Masz prawo pytać o wszystko. I rób to, dzięki temu Twoje teksty będą piękniejsze, a Ty będziesz się rozwijać.

No dobra, ale co zrobić wcześniej z tekstem, zanim się go wyśle redaktorowi? Pamiętajcie, że autor książki jest jeden! Rolą redaktora, a później korektora, jest perfekcyjne posprzątanie w tym Waszym literackim domu. Jeśli wpuścisz ekipę sprzątającą do domu, w którym panuje totalny bałagan, to nie dziw się, że nie zauważą kurzu na ramie obrazu, skoro musieli najpierw odgruzować mieszkanie z niepotrzebnych śmieci. Tu jest tak samo. Ale *ad rem*.

Zanim powierzysz tekst redaktorowi, zrób kilka koniecznych czynności, które pomogą przede wszystkim Tobie:

1. Odstaw gotowy tekst na minimum dwa tygodnie. Potem wróć

do niego i najlepiej przeczytaj go na głos. Wyłapiesz wtedy niezbyt zręczne zbitki dźwięków – poprawne językowo, ale źle brzmiące. To bardzo ważny etap pracy nad tekstem, szczególnie wtedy, gdy pisałeś/pisałaś go z przerwami, na różnych urządzeniach na zmianę. Przy tej okazji rada: nigdy nie pisz tekstu w telefonie bez późniejszego dokładnego sprawdzenia. Wszyscy wiemy, że telefony „podpowiadają" zakończenia słów niekoniecznie zgodnie z intencjami piszącego.

2. Przeprowadź autoredakcję i potem (albo równocześnie) autokorektę. Twój tekst wypięknieje. Pisz z włączoną kontrolą pisowni, zarówno Word jak i LibreOffice wyłapują wtedy proste błędy.

3. Stosuj powszechnie zalecany przez wydawnictwa układ tekstu: font Times New Roman 12 pkt, odstępy między wierszami 1,5. Pisz na standardowym formacie A4. Tekst jest wtedy przejrzysty i redaktorowi/korektorowi łatwiej się na nim pracuje.

4. W beletrystyce z reguły nie piszemy liczb ani dat w postaci cyfrowej. Piszemy tak, jak mówimy, czyli słowami.

5. Każdy pierwszy akapit w rozdziale czy podrozdziale zaczynamy bez wcięcia, we wszystkich następnych stosujemy wcięcia akapitowe. Do tego nie służy klawisz Tab ani żadne punktory (patrz pkt 10).

6. Wszystkie wypowiedzi dialogowe poprzedzamy (i kończymy) znakiem półpauzy i spacją. Nie używamy dywizu!! A więc: – Pisz poprawnie! – krzyknął redaktor.
A NIE: - Pisz poprawnie! - Krzyknął redaktor.

Dla przypomnienia: półpauza to znak, który uzyskujemy, wciskając lewy ALT i na klawiaturze numerycznej liczbę 0150.

7. Jeśli potrzebujesz znaku wielokropka, wciśnij lewy ALT+0133 lub CTRL+ALT+kropka, uzyskasz wtedy „…".

8. Kolejna sprawa to cudzysłów. Stosujemy wyłącznie cudzysłowy „ i ", odpowiednio lewy ALT+0132 i lewy ALT+0148. Ten sposób się czasem przydaje, gdy edytor próbuje uparcie wcisnąć cudzysłów używany w Internecie. W szczególnych przypadkach stosujemy też drugą formę cudzysłowów (« i »), gdy mamy na przykład cytat w cytacie.

9. Jeszcze jedno: zaimki osobowe. Piszemy je dużą literą tylko w korespondencji, gdy chcemy wyrazić szacunek dla adresata. W beletrystyce słowa ty, ja, tobie, twój piszemy małą literą, chyba że cytujemy na przykład czyjś list. Wtedy: patrz wyżej.

10. Na koniec NAJWAŻNIEJSZE: zapomnij, że na klawiaturze jest klawisz „Tab". Nie ma go, więc go nie stosujemy. Nigdy. Kropka, koniec.

Napiszcie do mnie, czy te porady się Wam przydają, pytajcie, jeśli czegoś nie wiecie albo nie jesteście pewni.
janusz@muzyczyszyn.pl

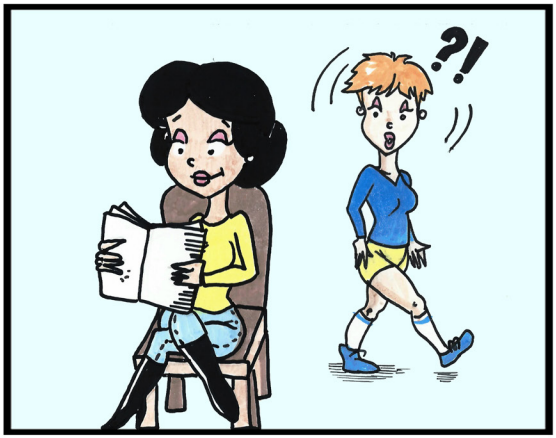

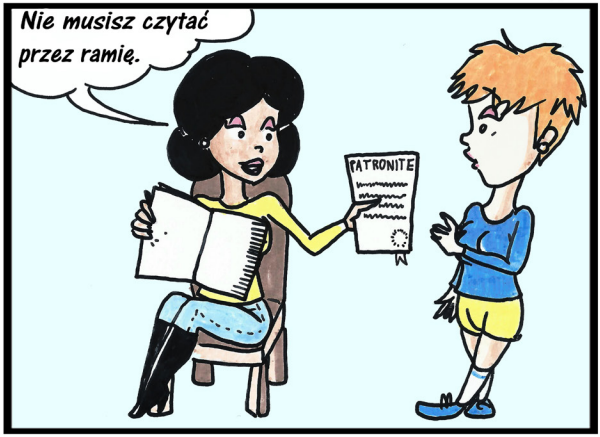

Prawa autorskie

Sandra Langer

Internet to worek bez dna. Narzędzie nieograniczonych możliwości. Za jego pośrednictwem można się komunikować ze światem, kreować swój wizerunek. Z powodzeniem można go także wykorzystywać do wyszukiwania potrzebnych informacji. Ale tak nie było zawsze. Jeszcze do niedawna trzeba się było nieźle nagimnastykować, żeby zdobyć interesujące nas wiadomości – w celach komunikacyjnych wystawało się pod budką telefoniczną, a odpowiedzi na nurtujące nas pytania szukało się u osób starszych, w encyklopediach, słownikach czy książkach. Dzisiaj wystarczy wpisać (lub w przypadku bardziej zaawansowanych sprzętów głośno wypowiedzieć) interesujące nas hasło w wyszukiwarce internetowej, kliknąć „magiczny" przycisk, by w mgnieniu oka na ekranie pojawiło się mnóstwo wyników.

Internet oferuje nie tylko wiedzę. Gwarantuje także dostęp do szeroko pojętej kultury. W dodatku zdaje się stale powiększać – trochę jak balon, który nigdy nie pęka.

Można w nim znaleźć mnóstwo filmów, książek, muzyki – wszystko za jednym kliknięciem. Nic dziwnego, że w głowach niektórych użytkowników Internetu zaczynają kiełkować pytania: „Po co płacić kupę kasy za książkę w księgarni?", „Po co kupować bilet do kina?", „Po co wydawać hajs na płytę ulubionego zespołu, skoro można interesujący nas plik bez większego problemu pobrać z Internetu? To przecież oszczędność!". Owszem, oszczędność czasu (w końcu nie trzeba wychodzić z domu), miejsca (bo książki/płyty wymagają ulokowania ich na półce, a te, jak wiadomo, nie są z gumy) i pieniędzy (zaoszczędzone środki można wydać na inne przyjemności)... Ale czy to jest w ogóle legalne?

Zanim pojawi się odpowiedź na to pytanie, warto poznać kilka ważnych pojęć: UTWÓR, TWÓRCA, PRAWA AUTORSKIE, DOZWOLONY UŻYTEK.

Prawo jest takim parasolem ochronnym. Za pomocą ustawy z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie

autorskim i prawach pokrewnych chroni się **UTWORY**. Pewnie zastanawiacie się, co to takiego, a po głowie chodzi Wam skojarzenie z utworami muzycznymi. To powiązanie jest słuszne, jednak ma jedno „ale". Nie tylko utwory muzyczne są utworami w rozumieniu wspomnianej ustawy. Utworami mogą być różne przejawy działalności twórczej – od rysunków i obrazów, przez wiersze i opowiadania, po budowle i sztuki teatralne. Nie ma zamkniętego katalogu utworów, bo wyobraźnia ludzka nie ma granic, a możliwości technologiczne wspomagające ich tworzenie stale rosną. Wartość artystyczna też nie ma tu nic do rzeczy – bez względu na to, czy utwór jest arcydziełem, czy badziewiem – prawo chroni go od momentu stworzenia. Co ważne, ten proces śmiało można porównać do parasolki automatycznej, która otwiera się sama, bez wcześniejszego zgłoszenia i rejestracji. Sprawa jest prosta – mamy utwór, więc trzeba go chronić przed deszczem naruszeń.

Z powyższego wynika, że utworem jest każdy przejaw działalności twórczej o indywidualnym charakterze, utrwalony w dowolnej postaci, niezależnie od wartości, przeznaczenia i sposobu wyrazu.

Jedna literka robi różnicę...

Aby jakiś twór uznać za pełnoprawny utwór, trzeba spełnić łącznie trzy warunki:

1. Twórcą utworu jest **człowiek** – nie przedsiębiorstwo, nie instytucja, nie organizacja czy inny podmiot.

2. Utwór powinien być przejawem działalności twórczej, dlatego powinien się wyróżniać – jednym słowem powinien być **oryginalny**.

3. Utwór powinien mieć **indywidualny** charakter, stąd też powinien być niespotykany i jedyny w swoim rodzaju. Nie może być taki sam, jak inny utwór powstały wcześniej. Tak samo jest z ludźmi – każdy chce być zauważony w tłumie jako *the one and only*, a nie być wyłącznie marną kopią.

Co to oznacza w praktyce? Nie mniej i nie więcej niż to, że zarówno rysunek namalowany ręką przedszkolaka, jak i obraz stworzony przez zawodowego malarza podlegają takiej samej ochronie.

Od przedmiotu do podmiotu...

Skoro wiemy, czym jest utwór, to warto też wyjaśnić, kim jest **TWÓRCA**. Jak sama nazwa wskazuje, jest to osoba, która stworzyła

utwór. W przypadku książki będzie to autor, który widnieje na okładce, z kolei w przypadku innych utworów będzie to osoba, której nazwisko podano do publicznej wiadomości podczas jego rozpowszechniania. Co ważne, twórcą może być wyłącznie człowiek! Nie może to być instytucja, organizacja czy przykładowo przedsiębiorstwo.

Twórca dołożył wielu starań, aby powstał utwór. Nic więc dziwnego, że ze względu na ten trud przysługują mu pewne uprawnienia i przywileje, które określa się mianem **PRAW AUTORSKICH**. Dzielimy je na:

– **prawa autorskie osobiste**, a więc takie, które są związane z osobą twórcy i jego niemajątkowymi interesami. Wynikają one z wyjątkowej więzi (trwałej, silnej) łączącej twórcę z utworem. Przypomina ona nieco relację rodzica z dzieckiem, w końcu niektórzy autorzy traktują swoje utwory jak własne dzieci. Przykładem tych praw jest podpisywanie się pod utworem własnym nazwiskiem lub pseudonimem artystycznym.

– **prawa autorskie majątkowe**, czyli takie, które skupiają się tylko na aspekcie finansowym. W końcu, jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Dzięki tym prawom twórca może zarabiać na swoim dziele.

Po tej sporej dawce wiedzy warto posłużyć się przykładem, który rozwieje wszelkie wątpliwości. Wyobraź sobie, że piszesz wiersze. Wiesz, że są dobre, w końcu sam je napisałeś. Wysyłasz je więc do magazynu literackiego, aby trafiły do szerszej publiczności. Niebawem przychodzi odpowiedź: „Twoje utwory zostaną opublikowane". Pod nimi pojawi się twoje nazwisko – nic dziwnego, bo to jest twoje niezbywalne, osobiste prawo autorskie, którego nie możesz sprzedać. Za to przedmiotem sprzedaży może stać się część praw majątkowych – przykładowo prawo do opublikowania utworu. Za to otrzymasz wynagrodzenie, a magazyn może wydrukować Twój wiersz (zaznaczając oczywiście, że to Ty jesteś autorem), ile razy zechce, i zarabiać na tym pieniądze ze sprzedaży egzemplarzy. Już teraz rozumiesz, o co chodzi?

Netykieta

Zapłata za zakupy jest czymś oczywistym. Jeżeli przykładowo kupujesz książkę, to płacisz za nią przy kasie, a następnie opuszczasz księgarnię. Dlaczego więc wiele osób nie ma tego nawyku przy

pobieraniu elektronicznej wersji książki z sieci? Przecież pod względem moralnym kradzież książki papierowej nie różni się niczym od pobrania krążącego w Internecie e-booka. W obu przypadkach pozbawiamy twórcę wynagrodzenia za jego pracę, dlatego tak ważne jest, by czytać legalnie. Sposobów na czytanie książek bez nadmiernego obciążania portfela jest wiele:

– **biblioteki** – te już dawno przestały być miejscem, w którym nabywamy wyłącznie papierowe egzemplarze z wypadającymi kartkami; coraz częściej można znaleźć w nich nowości, a nawet kody do baz książek elektronicznych;

– **akcje** typu bookcrossing czy booktour, które są chętnie organizowane przez osoby związane ze światem książki;

– **śledzenie promocji** na poszczególne tytuły – nie jest to szczególnie trudne przy aktualnych możliwościach, jakie daje Internet;

– **aplikacje abonamentowe** z e-bookami i audiobookami, w których koszt miesięcznej subskrypcji (gwarantujący nieraz dostęp do dziesiątek tysięcy tytułów) nie przewyższa wartości jednego egzemplarza papierowego książki.

Chociaż w naszym kraju pobieranie treści bez ich udostępniania innym osobom nie podlega karze, to warto pamiętać o konieczności poniesienia odpowiedzialności cywilnej. Co to oznacza? Że trzeba naprawić szkody wynikłe z takiego udostępniania – nawet jeżeli nie jesteśmy jeszcze pełnoletni.

Przeglądając zasoby Internetu, w szczególności portale społecznościowe, ma się wrażenie, że niektórzy czują się w sieci anonimowi, skoro nie udostępniają swojego imienia i nazwiska. Nic bardziej mylnego. Pozostawiamy po sobie mnóstwo śladów, dzięki którym można nas bez większego problemu zidentyfikować. Jednym z nich jest adres IP, czyli

numer łącza, który pozwala dowiedzieć się, z którego komputera pobierano/udostępniano pliki w sieci. Wszystko na zasadzie po nitce do kłębka.

Dozwolony użytek prywatny

Za tą dumną i poważną nazwą kryje się prawo do nieodpłatnego korzystania z utworu. Dzięki niemu można na własny użytek nieodpłatnie korzystać z pojedynczych egzemplarzy utworu, które zostały udostępnione publicznie za zgodą twórcy. Co ważne – te egzemplarze muszą być legalne, nie mogą być to więc pirackie wersje utworów. Więc jeżeli czytelnik pobiera książkę, by sobie ją przeczytać w domowym zaciszu, to mamy do czynienia z dozwolonym użytkiem. Ten sam czytelnik może udostępnić ten egzemplarz książki osobom najbliższym, przykładowo rodzinie, rodzeństwu, przyjaciołom. Jeżeli jednak plik z książką udostępnimy innym osobom, wykonamy jego kopię czy rozpowszechnimy za pomocą programów P2P, to naruszymy prawo i niestety narazimy się organom ścigania. Zasada dozwolonego użytku, co warto pamiętać, nie dotyczy programów komputerowych o charakterze komercyjnym czy gier. Tutaj każde korzystanie z nich bez licencji jest karalne.

Z jakimi konsekwencjami należy się liczyć, naruszając prawa autorskie?

Każda osoba, która dopuszcza się wspomnianych naruszeń, może zostać pociągnięta do:

– odpowiedzialności cywilnej, z której wynika konieczność naprawienia wyrządzonej szkody;

– odpowiedzialności karnej, która może skutkować grzywną, karą ograniczenia wolności lub nawet pozbawienia wolności do lat 3.

W przypadku niepełnoletnich łamaczy zasad prawa autorskiego odpowiedzialność finansowa spocznie na rodzicach, a młodzież poniesie głównie konsekwencje o charakterze cywilnym, takie jak żądanie zaniechania naruszeń, usunięcie skutków naruszenia, naprawienie wyrządzonej szkody, wydanie uzyskanych korzyści. Jeżeli mamy do czynienia z plagiatem – czyli naruszeniem praw autorskich, polegającym na przypisaniu sobie cudzego utworu lub wprowadzeniu osoby w błąd co do autorstwa – to dodatkowo w grę wchodzą inne konsekwencje, często określone w odrębnych aktach prawnych. Mogą to być negatyw-

ne oceny, unieważnienie egzaminu, cofnięcie tytułu zawodowego, wycofanie utworu, przeprosiny. Dlaczego tak ostro? Bo plagiat to przestępstwo. Na stronach dotyczących naukowej etykiety, wskazuje się, że jedna na dwieście publikacji jest sfałszowana[1]. Pewnie te dane są nieco zaniżone, bo w niektórych przypadkach trudno jest wykryć, czy mamy do czynienia z plagiatem. Szkodliwość naruszeń jest różna w każdym przypadku. Oczywiście ściągnięcie wypracowania z języka polskiego ze strony internetowej z tak zwanymi gotowcami nie jest tak poważne, jak sfałszowanie pracy magisterskiej, stąd też konsekwencje będą różne. Jeżeli w dalszym ciągu nie widzicie w tym nic złego, to warto uświadomić sobie, że wskutek fałszerstwa osoba uzyska prawo do wykonywania zawodu, mimo iż nie ma stosownych umiejętności. Chyba nikt nie chciałby, aby operował go lekarz bez odpowiednich kompetencji, bo może się to okazać tragiczne w skutkach!

Od tej ilości literek, pojęć i konsekwencji karnych może się zakręcić w głowie. Mogą też powstać obawy, że zostaniemy ukarani za nieumyślne pobranie jakiegoś pliku. Uspakajamy, że to tylko tak groźnie wygląda. Wystarczy jedynie być ostrożnym i nie działać pochopnie.

Pliki legalne z reguły są odpłatne. W końcu właściciel praw autorskich ma prawo do otrzymania wynagrodzenia. Jeśli utwór jest ogólnodostępny bez żadnej opłaty, to powinno to wzmóc czujność. Warto wtedy sprawdzić, kto jest administratorem strony. Jeżeli strona jest anonimowa, a zawartość jest umieszczana przez różnych użytkowników, to prawdopodobieństwo, że utwory pochodzą z nielegalnego źródła, jest duże.

Po tym prawniczym wywodzie dajcie słowo, że będziecie postępować honorowo.

Sandra Langer – prawniczka, germanistka i bibliotekarka, recenzentka, prywatnie żona i mama. Zaraża miłością do literatury i paragrafów.

[1] http://www.jaknapisac.com/ [data dostępu: 29.12.2022].

Jamaica – no problem!

Mariusz Łapiński

Welcome to the Jamaica everybody brzmi puenta popularnego kiedyś dowcipu o facecie, który w publicznej ubikacji wdał się w porównywanie męskości z mieszkańcem tropikalnej wyspy słynącej z reggae, słońca, szybkich biegaczy i zielonej roślinności. Był to pierwszy sprośny dowcip, jaki w latach młodzieńczych zdecydowałem się opowiedzieć publicznie podczas rodzinnego zgromadzenia.

Odbiór żartu był wtedy mieszany, dlatego kiedy przy zejściu z betonowego molo, do którego przybił z samego rana nasz statek, zostaliśmy powitani tym właśnie sloganem przez najbardziej uśmiechniętego człowieka, jakiego do tej pory widziałem, na sekundę straciłem rezon i dobry humor. Uśmiechnięty mężczyzna okazał się – jakżeby inaczej – sprzedawcą usług turystycznych, a wszelkie pytania dotyczące oferty zbywał radosnym *no problem*.

Uśmiech zniknął tylko na moment z jego twarzy, kiedy po ustaleniu programu dnia spróbowałem przystąpić do negocjacji ceny. Na tę okazję był oczywiście również przygotowany. „Drogi przyjacielu. Kiedy dziś wieczorem wrócicie do portu, odszukasz mnie i powiesz: »Dziękuję! To był najlepszy dzień, jaki mogłem sobie wymarzyć«. Gwarantuję!" Zbił wszystkie moje argumenty, krótko po tym siedzieliśmy już w małej łódce, która zawieźć miała nas na miejsce spotkania z naszym przewodnikiem-kierowcą.

„Na Jamajce mówimy *no problem* na wszystko! Chcesz posłuchać reggae – załatwimy muzyka. Chcesz skosztować pysznego rumu – butelkę na pewno mam w kabinie. Przyjechałeś zapalić co nieco – chętnie podzielę się swoimi osobistymi zapasami, które jakiś czas temu zebrałem w swoim ogródku. W pełni *organic*! A może chcesz ponurkować wokół wyspy? Zje cię rekin? *No problem* – zajmiemy się twoją dziewczyną! Ha, ha, ha". Sterującemu łodzią buzia nie zamyka się ani na sekundę, aż do momentu, kiedy oddaje nas pod opiekę swojego kolegi, który – chyba nie trzeba tego dodawać – uśmiechając się szeroko,

zaprasza nas do kolorowego busika, którego według instrukcji mamy rozpoznawać po rejestracji. Jest ona łatwa do zapamiętania. Żadnych numerków, tylko napis – *COOL*.

Pierwsze pół dnia spędzamy na wspinaniu się po wapiennych kaskadach Dunn's River Falls i obserwacji łańcuchów trzymających się za ręce amerykańskich turystów, wokół których krążą obwieszeni aparatami fotograficznymi miejscowi pracownicy biur obsługujących ruch turystyczny.

„To może być problem..." na pytanie o wizytę w gorzelni rumu słyszymy odpowiedź przeczącą obowiązującym na wyspie zasadom. Okazuje się, że dystans do najbliższej tego typu placówki jest zbyt duży, więc decydujemy się na nieco bardziej zwyczajny plan dnia z wizytą w Mauzoleum i Centrum Boba Marleya urządzonym w jego domu rodzinnym znajdującym się kilka kilometrów w głębi wyspy.

Pokonanie tego krótkiego odcinka po wąskich i krętych drogach Jamajki zajmuje parę godzin. Żar leje się z nieba. Z głośnika sączy się psychodeliczna odmiana trans reggae, która w niczym nie przypomina przyjaznego klasycznego gatunku muzycznego dla wyluzowanych ludzi poszukujących harmonii z naturą. Zagadnięty kierowca patrzy na nas z politowaniem, twierdząc, że staroci nikt już nie słucha. Nie ma co polemizować. W końcu disco polo również zmienia się i ewoluuje.

Zbliżamy się do celu. Upał ani odrobinę nie zelżał, ale kierowca prosi, żebyśmy zamknęli okna. Protestujemy, ale upiera się przy swoim, twierdząc, że jeśli pozostaną otwarte, to w samochodzie wylądują różnego rodzaju używki... według niego kiepskiej jakości, za które ręczyć nie może... obiecuje załatwić lepsze.

Przewodnik zna teren dobrze. Tuż po przekroczeniu rogatek słyszymy donośny okrzyk, a z pobliskiego

baru sprintem wypada postać, którą można by w skrócie opisać jako dredy na szczudłach. Postać, biegnąc bez wysiłku, dogania pędzącego busa, udowadniając tym samym, że Usain Bolt nie jest jedynym sprinterem na wyspie, i – jakżeby inaczej – uśmiechając się od ucha do ucha, pokazuje oferowany przez siebie asortyment. Poza zawiniętymi w bibułki konopiami, trzymanymi w jednej ręce, ma też zestaw płyt CD, kolorowe koraliki i magnesy na lodówkę. Wszystko to oglądamy jak przez ruchomą szybę wystawową, aż do momentu, kiedy nasz busik zwalnia i wjeżdża na otoczony wysokim murem dziedziniec, a uzbrojeni w broń palną strażnicy zamykają za nami bramę.

W ośrodku poza licznymi pamiątkami po słynnym muzyku znajdują się bar oraz legendarne łóżko, które według lokalnych podań ma tę właściwość, że osoba siadająca na nim rychło zachodzi w ciążę. Fakt ten co prawda nie grozi mi bezpośrednio, ale ponieważ zwiedzanie ma miejsce w moich czasach studenckich, wolę nie kusić losu i decyduję się tylko na wizytę w barze. Zamawiam Red Stripe'a – jamajskie piwo, które doskonale orzeźwia w upalny dzień. Tuż obok jakiś facet brzdąka na banjo, inny improwizuje rymy. Kierowca spełnia złożoną wcześniej obietnicę. Czas się zatrzymuje.

Z zadumy wyrywa mnie sygnał do powrotu.

Jeszcze przed zejściem na ląd życzliwy członek załogi statku ostrzegł nas, żebyśmy na wyspie używali, ile się da, ale pod żadnym pozorem nie zabierali niczego ze sobą. Obserwuję, jak mój poddawany szczegółowej kontroli plecak jest wybebeszany i wywracany do góry nogami. W innych okolicznościach pewnie reagowałbym wzburzeniem, ale tym razem chce mi się tylko śmiać. Pewnie dlatego, że przypomniało mi się pełne zakończenie dowcipu: *Welcome to the Jamaica everybody... and have a nice day!*

Mariusz Łapiński – podróżnik z pasją. Autor vloga *Dobrze Pojechane* i książek przygodowo-podróżniczych.

Krok do przodu...

Autor nieznany

Krok do przodu dwa do tyłu
Zmierzcha, moja Pani
W złotym blasku płonie martwa
Przepaść między nami

Krok do przodu dwa do tyłu
Czarne wstają zorze
W dokończeniu tej powieści
Już mi nie pomożesz

Krok do przodu dwa do tyłu
Dotyk Twoich dłoni
Twoja lśniąca ciepła bliskość
Tęsknię tylko do niej

Krok do przodu dwa do tyłu
Słońce lot obniża
Znów z mozołem się przybijam
Do złotego krzyża

Mówią człowiek wszystko zniesie
Wiara czyni cuda
Gwoździe. Młotek . Sęki trzeszczą.
W końcu mi się uda

Światło

Autor nieznany

Ciemny opar
Duszna groza
Ciasny kaftan
Strachu

Błysk jasności
Zachwyt serca
Oraz słońca
Zachód

Wśród promieni
Barw jesieni
Czuję blask Twój
Który

Ciepło, błękit
Furię tętnic
I aromat
Skóry

Niesie w poprzek
Mroków świata
Mojej duszy
Chorej

W której zimna
Czarna pustka
Karmi swoje
Zmory

Upadłego
Tezeusza
Co w krainie
Cieni

Ust Twych będzie
Wiecznym więźniem
Nim się w popiół
Zmieni

Niech płonie świat
Płonie wszak
Nie będę nic
Już czuł

Szukając Twych
Śladów śród
Brzóz, wierzby
I bluszczu

Przystanek

Autor nieznany

Ostatni przystanek przed pętlą
Niczego nie da się skleić
Strzepuję znów z ramion swej duszy
Gnijące ścierwo nadziei

Opuszczam pusty autobus
Zmierzch świtem rynsztoki wyciera
Ulewa dudni po dachach
Odlicza wraz ze mną do zera

Ostatni przystanek przed pętlą
Bezludne dziurawe chodniki
Uprzejmie prowadzą mnie w nicość
Przeważnie jestem wszak nikim

Prypeci duszy przedmieścia
Wciąż wołam, nie słyszy mnie Ona
Bez celu snuje się wkoło
Tłum błaznów w cierniowych koronach

Ostatni przystanek przed pętlą
Ruiny, gotyk, świątynia
Przed ołtarz martwego demiurga
Prowadzę moją Boginię

I mija rok dziś od ślubu
Symbiozy dwóch dusz w progu schodów
Gdybyśmy się w jedność stopili
Za tydzień zaś rok – od rozwodu

Ostatni przystanek przed pętlą
Padlinożerczy nekrofil
Kochanką mą jest dziś trup szczęścia
Codziennie rżnę zimne zwłoki

Wokoło wrze martwe morze
Na Klifie zaś Wniebowstąpienia
Nie ma dziś już Nautilusa
Marzenia w kloakę los zmienia

Ostatni przystanek przed pętlą
Chciałbym móc przestać Cię nękać
Nie mierzyć i nie śnić o Tobie
Nie kochać wciąż, nie pamiętać

Mizerny film – widzisz – grają
W tym kinie wszak marność jest święta
Dobrze, żeś w porę zeń wyszła
Żałosna ominie Cię pointa

Olej na płótnie
(Martwy landszaft)

Autor nieznany

Był sielski pejzaż
Pól płaskich jak stół
I słońca zachód
I ślady kół

Świat niknął w czarach
Tajemnic głębokich
Śmiał los się szaro
zielonym okiem

Dziś martwe przestrzenie
I cichy płacz czasu
Milcząca twarz wiatru
Upiory wśród lasów

Bezludnych pól skrajem
Śmierć snuje się smutnie
Samotna, bezradna
Jak olej na płótnie

W tym pustym pejzażu
Bezpłodne zachwyty
Słońc czarnych zachody
I ja
Wciąż ust Twych
Niesyty

Wśród kopuł skruszonych
Tych świątyń olśnienia
Na próżno wzywam
Twojego imienia

Bo nie ma już Ciebie
I nie mam już nas
I rozkład, upadek
Rząd toczy wszędzie
Wspomnij mnie czasem
Bo nigdy już
Mnie także
Więcej
Nie będzie

24 lutego 2022

Wydarzenia polonijne

Izabela Redesiuk

Targowa mapa w Polsce łączy coraz więcej miast, niemal w każdy weekend od marca do połowy grudnia pojawiają się kolejne wydarzenia, na które zazwyczaj przychodzą prawdziwe tłumy czytelników. Jak na kraj, który statystycznie nie czyta, to fenomenalne zjawisko. Jak na tym tle prezentuje się rozsiana po świecie Polonia?

Szacuje się, że poza granicami Polski żyje około dwudziestu jeden milionów Polaków, a wśród tak licznej grupy musieli znaleźć się również pisarze i czytelnicy. Najwięcej pod względem kulturalnym dzieje się w miastach, gdzie Polonia jest najliczniejsza: Londynie, Chicago, Berlinie, Paranie, Paryżu, Toronto. Lokalnie organizowane są wydarzenia polonijne – jak spotkania autorskie, festyny, na których pojawiają się również autorzy z książkami, audycje radiowe oraz podcasty – jednak nie są one w stanie zebrać takich tłumów, jak wydarzenia w Polsce.

Najprostszym rozwiązaniem dla zebrania rozrzuconych po krajach rodaków okazuje się narzędzie, którego od lat używają niemal wszyscy – Internet, a w szczególności social media. Facebook, Instagram, TikTok, Twitter i inne kanały pełne są grup i stron poświęconych artystycznej Polonii. Coraz świadomiej planujemy i wyrażamy chęci organizowania wspólnych imprez, nawiązując nowe znajomości i kontakty biznesowe. Nowością są również booktoury organizowane przez zaangażowane osoby oraz live'y ze spotkań autorskich w polskich ośrodkach kultury i księgarniach.

Zapraszamy serdecznie do odwiedzenia stron i śledzenia kulturalnych wydarzeń poza granicami Polski, jak również do kontaktu zainteresowanych organizacją i uczestnictwem w takich wydarzeniach.

Strony i grupy warte odwiedzenia:
Księgarnia Bartek: www.facebook.com/ksiegarniabartek
Beti Czyta: www.facebook.com/BetiCzyta
POSK Londyn: www.facebook.com/posklondyn

POSK Dublin: www.facebook.com/poskdublin
Ekskluzywne Stowarzyszenie Przyjaciół Książki:
www.facebook.com/groups/251979172331963
Magiczny kącik – Zaczytani w UK:
www.facebook.com/groups/173872593044122
Polscy twórcy w UK:
www.facebook.com/groups/1174588019954819
Polskie książki w Niemczech – Milbookove:
www.facebook.com/groups/2898542630388987
Babiniec Corbiański:
www.facebook.com/profile.php?id=100067962758487
Książki polskie w UK – handel i wymiana:
www.facebook.com/groups/730712763693028
Booktour.UK: www.instagram.com/booktour.uk/
Relacja ze zlotu w Bath: https://cutt.ly/u3Y4SKT
Spotkanie autorskie z Anną Partyką-Judge:
https://cutt.ly/x3Y7d5n
Spotkanie autorskie z Wojtkiem Filaberem:
https://cutt.ly/V3Y7PaU

Izabela Redesiuk – absolwentka LO o profilu prawno-dziennikarskim. Fanka książek z gatunku fantasy i horroru.

Psychofanka na targach książki

Zofia Brodzińska

Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nigdy nie wstawał o nieludzkiej porze po to, aby przygotować się na targi. Mówią że poranek to najważniejszy element dnia, więc nigdy nie powinien być dla nas katorgą – można go sobie umilić kawą i dobrą książką. A co wtedy, kiedy dobrych nieprzeczytanych utworów na półce brak? Wtedy pojawiamy się na targach my z cudownym nastawieniem, chętni do opowiadania o wszystkich książkach, które są na stoisku. Dla mnie moment porannej kawy jest chwilą, kiedy mogę powspominać sobie emocje i ludzi towarzyszących mi na eventach przez cały ostatni czas. Zacznijmy od początku... Mojego początku.

Był piękny lipcowy poranek, kiedy w Gdyni na bulwarach zaczynało tętnić życie literackie wśród szumu morza i skrzekotów mew latających na niebie. Na swoich stanowiskach pracy i zabawy stawili się: Karolina Salwowska, Monika Litwinow, Mateusz Kasprzyk, Kamil Brach, Franciszek Piątkowski, Kamil Prabucki, Grzegorz Krajczok, Paweł Kopijer, Bartłomiej Sztobryn, Norbert Kościesza, Tomasz Markun oraz Mariusz Łapiński. Wszyscy zwarci i gotowi do promowania czytelnictwa w Polsce. W pewnym momencie przybyła na stanowisko również „psychofanka" Samowydawców. Niektórzy byli zaskoczeni jej otwartością i zapałem do działania, dlatego po chwili zaprosili ją do przekroczenia magicznej bramy stoiska. „Psychofanka" poczuła się tam na tyle swobodnie, że po pewnym czasie zaczęła razem z Samowydawcami sprzedawać ich książki. Tak bardzo pochłonął ją ten świat, że trzeba ją było wyciągać z niego siłą. Następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Co to oznacza? Dla „psychofanki" – nawiązanie wielu ciekawych współprac i poznanie wielu ciekawych ludzi w trakcie jednej imprezy. Dla Samowydawców – kolejny człowiek zauroczony ideą wydawania samodzielnego, a tym samym propagator tej opcji wydawniczej. Wracając do opowieści, mijały miesiące, w trakcie których poznawała od środka

świat samowydawania i szukała okazji do kolejnych spotkań. Niestety przez długi czas każda impreza odpadała ze względu na szkołę i inne obowiązki. Nagle, przeglądając Internet, zobaczyła ogłoszenie o targach w Gliwicach. „Tak jest! Wreszcie się uda spotkać i sprawdzić umiejętności nabyte w Gdyni!". Od razu zadzwoniła do Mateusza Rogalskiego z lawiną pytań dotyczących imprezy. Stworzyła sobie plan działania na czas targów i ruszyła z przygotowaniami. Wreszcie nadszedł ten dzień. Pierwsze targi, na których zaczęła sprzedawać książki, a nie tylko przyglądać się, jak robią to ich autorzy. Żeby punktualnie o 9:00 pojawić się pod Areną w Gliwicach, wstała o 5:00 rano przepełniona ogromem pozytywnej energii i chęci do promowania literatury Samowydawców. Tuż przed 9:00 odebrała swoją wejściówkę i czekała z niecierpliwością na otwarcie drzwi. Po pewnym czasie w tłumie zmierzającym do hali wystawowej „psychofanka" zauważyła Mateusza Rogalskiego zmierzającego z ekipą autorów na przygotowane wcześniej stoisko. Gdy wszyscy razem dotarli na miejsce zaczęła się najlepsza część targów, czyli niekończące się rozmowy z czytelnikami i pasjonatami literatury zainteresowanymi twórczością Autorów Niezależnych. „Psychofance" udało się sprzedać kolejne książki, co spowodowało jeszcze większy przypływ energii na resztę dnia. Niestety tuż po godzinie 14:00 musiała znów uciekać z tej pięknej targowej krainy. Po raz kolejny poczuła ten znajomy, nieprzyjemny stan związany z opuszczeniem imprezy książkowej. Na szczęście już wiedziała, że dwa tygodnie później będzie podbijała krakowski rynek czytelniczy na Międzynarodowych Targach Książki. Po trudnych i mozolnych tygodniach nad szkolnymi obowiązkami najwierniejsza towarzyszka Samowydawców wyruszyła w podróż do dawnej stolicy Polski. Kiedy dojechała już na miejsce i zobaczyła ilość ludzi czekających na wejście do hali EXPO, była zaskoczona na tyle mocno, że musiała wykonać telefon ratunkowy po osobę, która ocali ją z opałów kolejki. Na ratunek, w rycerskiej zbroi, przybył Mateusz Rogalski wraz z przepustkami do bajecznej krainy krakowskich targów. Były to niezaprzeczalnie najlepsze targi w 2022 roku, zarówno pod względem sprzedaży, jak i innych wydarzeń związanych z historiami stworzonymi przez Autorów Niezależnych. Po dwóch intensywnych dniach „Psychofanka" wróciła do

swoich szkolnych obowiązków, myśląc już bardzo dużo o zbliżających się katowickich targach.

Hmmm... Za bardzo się rozmarzyłam. Wróćmy do kolorowej rzeczywistości i już tak na poważnie podsumujmy rok 2022 pod względem targowym. Samowydawcy pojawili się na ponad 12 okołoksiążkowych imprezach, przy czym zgodnie uważają, że najlepsze targi odbyły się w Krakowie. Liczba imprez jest imponująca, tym bardziej jeśli przeliczymy, ile tak naprawdę czasu zostało poświęconego na ich przygotowania. Targi to nie tylko czas spędzony z czytelnikami, ale i wiele godzin ciężkiej, logistycznej pracy związanej z organizacją czy transportem. W tym miejscu chciałabym serdecznie podziękować tym wszystkim czytelnikom, jak i autorom, którzy tworzyli w tym roku wszystkie te imprezy, bo ludzie to atmosfera. Mamy nadzieję, że targi w 2023 roku będą równie owocne jak te tegoroczne oraz że pojawi się jeszcze więcej ciekawych historii do przekazania czytelnikom.

Zofia Brodzińska – z zamiłowania pilotka paralotni i czytelniczka, wybuchowa mieszanka wielu kontrastujących, choć spójnych, cech.

Słowo dali:

Redaktor Naczelny
Mateusz R.M. Rogalski – autor powieści fantasy *Obrońcy Ahury*, Prezes Polskiego Stowarzyszenia Autorów Niezależnych „Samowydawcy", redaktor antologii *Własna Ścieżka* i *Ślady na Śniegu*.

Zastępczyni Redaktora Naczelnego
Monika Litwinow – kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści kryminalnych *Za lasami* i *W gaju*, Redaktorka Naczelna czasopisma „Zajęcia z Psem", właścicielka Centrum Terapii i Edukacji BAJARNIA.
W „Daję Słowo" odpowiada za:
– Słowo osobiste,
– Grę Słów.

D.B. Foryś – z wykształcenia programista i grafik, redaktor po godzinach, pisarz z zamiłowania. Zadebiutowała cyklem powieści *Tessa Brown*.
W „Daję Słowo" odpowiada za:
– skład i łamanie,
– projekt okładki.
www.dbforys.pl

Izabela Redesiuk – optymistycznie nastawiona do świata kobieta z zamiłowaniem do tworzenia nowych światów i historii. Autorka powieści *Przepowiednia*.
W „Daję Słowo" odpowiada za:
– Wysłowione,
– Odmierzone słowami,
– Innymi słowy.

Klaudia Sypniewska – projektantka logotypu czasopisma. Mieszka w internecie. Na co dzień tworzy content i działa jako social media manager. Tworzy, kreuje, projektuje. Jej pies Antek ponoć ma z nią za dobrze, ale jak sama mówi, cóż począć, skoro kocha psy.

Anna Strzelczyk-Cichosz – autorka książki fantasy pt. *Ziemia winowajców* oraz prawdziwy człowiek orkiestra.
W „Daję Słowo" odpowiada za:
– Dosłownie,
– Schwytanych za słowo.

Redakcja
Janusz Muzyczyszyn – poeta, pisarz i redaktor. Pisze od sześciu lat i przez ten czas wydał trzy tomiki wierszy i trzy powieści obyczajowe, prowadzi również bloga.
W „Daję Słowo" odpowiada za:
– Słownik Autorów,
– Słowa dobrane.

Korekta i redakcja pod nadzorem Janusza Muzyczyszyna
Jagoda Biszkont – absolwentka Akademii korekty tekstu. Z wykształcenia archeolog. Wykonuje redakcję i korektę tekstów przeznaczonych do publikacji.
www.kropkajagodabiszkont.pl

Katarzyna Mróz-Jaskuła – od wielu lat związana z branżą wydawniczą. Od dwóch lat prowadzi własne studio graficzne Wielogłoska. Zajmuje się projektowaniem, składem, korektą i przygotowaniem do druku książek.
www.wielogloska.pl

Alicja Szalska-Radomska – redaktorka, korektorka i recenzentka. Uzależniona od literatury, filmu i gier. Zaczytuje się w bajkach, komediach i fantastyce.
www.pracowniamuz.pl

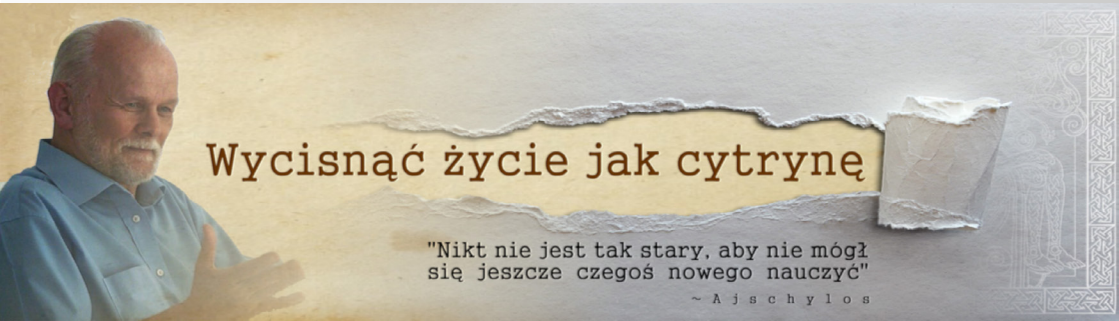

Witajcie, Wielbiciele Słowa!

Kiedy wraz z grupą zaprzyjaźnionych Samowydawców, postanowiliśmy stworzyć dla Was to niezależne czasopismo, mieliśmy głowy pełne pomysłów, kielichy zalane winem i twarze wykrzywione uśmiechami. Banda wariatów chcąca przebić się przez panujące dookoła literackie zatwardzenie. Wiedzieliśmy jedno – nie zrobimy zwykłego, nadętego w sobie czasopisma o książkach jednego sezonu. Daliśmy sobie **słowo**, że to będzie coś wyjątkowego, gdzie każdy z Was znajdzie miejsce dla siebie.

I wiecie co?

Udało nam się! Zamieniliśmy **słowa** w czyny!

Stworzyliśmy darmowe e-czasopismo „Daję Słowo" wraz z dodatkiem „Daję Słówko".

Bogatsi o doświadczenia zdobyte podczas wydawania pierwszego numeru, z umysłami rozpalonymi nowymi pomysłami działamy z następnym wydaniem. Niestety, natrafiliśmy na pewną przeszkodę i nie jesteśmy w stanie samodzielnie jej przeskoczyć. Jednakże z Waszą pomocą będzie ona niewielką kłodą na naszej drodze rozwoju. Mowa oczywiście o pieniądzach.

Kwoty dla nas w pojedynkę nieosiągalne, ale z wsparciem od Was, Patronów, śmieszne i nic nieznaczące. Bo czymże jest 5, 10, a może i 20 zł miesięcznie? Niczym!

Dla Ciebie, Patronie, to nieodczuwalny wydatek. Ale dla nas – to atrament do naszych piór. Dzięki tym wpłatom będziemy w stanie rozwinąć literackie skrzydła. Wsparcie Patronów pozwoli nam ofiarować Wam więcej grafik, opowiadań i felietonów. Z Waszą pomocą, Patroni, wystartujemy z ogólnopolskimi konkursami literackimi. Poprzez odpowiednie programy i wykupione licencje, będziemy mogli dotrzeć do jeszcze większego grona odbiorców, aby z Wami przywrócić zapomnianą moc **słowa**.

Dajemy Słowo, Patroni, że wspólnie stworzymy coś, czego jeszcze w tym kraju nie było!

PATRONAT MEDIALNY